

ADAMA POLANOWSKIEGO

Dworzanina Króla JMci Jana III.

NOTATKI.

UŁOŻONE PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

TOM I.

WARSZAWA.

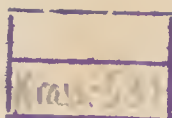
NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1888.



1570 20/10 1916
2976

1570



Дозволено Цензурою.
Варшава 18 Февраля 1888 г.



~~~~~  
Druk Braci Leżyńskich (dawniej J. Ungla), Warszawa, Nowolipki Nr. 9.

1386 1 13



— *Vade retro, Satanas!*...

Precz, kusicielu odemnie! niedosyc ci żem się długiem życiem umęczył, chcesz abym się sam na tortury brał. Spowiadając się z niego, kwoli waszej pociesze a mojej konfuzyi!!

Widziałeś mnie zawsze prawie wesołym, choć bieda to hoc, jakbym albo najszcześniejszym był, albo sobie nieszczęścia nie miał za nic; — więc ci się zdaje że mi żywot płynął jak po maśle — i uciechą będzie czytać gdy wam o nim nakłamię. — Ale — wiesz że ty czym ja, śmiejąc się, owego lisa spartańskiego ukrytego nie miał na piersi, który mi ją gryzł i szarpał, gdym się uśmiechał?? (Lis był czy wilk? ..proszę sprawdzić — o to idzie że kąsał).

Myślisz że życie własne, pełne omyłek, za które się pokutowało, drugi raz przeżyć na papierze, łatwo jest albo miło??

Naostatek, sądzisz że iż ja ci jak na spowiedzi — prawdę powiem? Choćbym chciał niepotrafię.

Jest w ludzkiej naturze, iż mówiąc o sobie czło-

wiek zawsze kłanie, nawet gdy prawdę mówi, — bo, *gnoti scauton* — niemożliwa rzecz!

Więc po cóż się zdało biografję pisać?. Z bajek ludzie tyle się uczą co dzieci — o stworzeniach jakichś na świecie nie ma i cudach, których nigdy nie bywało.

Wiem co mi na to odpowiesz, że nie mojej mizernej biografij żądasz, bo ta ci do niczego, ale chcesz bym ci opowiedział na com patrzył, *et quorum pars parva fuit*.

To znowu sprawa inna. Odpowiedz mi naprzód na to pytanie czy człowiek który widział buty czyjeś może wizerunek jego malować?? Ja zaś w mojem życiu często na widzeniu historycznych butów musiałem poprzestać.

Na to już potrzeba daru osobliwego, odwagi wielkiej i bezczelności nie pośledniej, aby ludzi odgadywać z małych próbek.

Z tem wszystkiem, mój Jordanie, wystawiłeś mnie na pokusę, bo mi się teraz coś o czasach moich pisać zachciwa i mówię sobie, presumpeją byłoby chcieć być lepszym od drugich... — i kiedy drudzy głupstwa po sobie *ad aeternam memoriam* zostawili, dla czego ja mam od nich być lepszy?

Przy czem miłości własnej, zawsze trochę świerbiącej, dogodziło by się.

Za tem, nie będzie to ani biografia, ani historia, ani żadna taka rzecz coby się na kopyt zwykły wbić dała, ale coś swobodnego, — nie roszczonego sobie prawa ani do tytułu ani do znaczenia.. Łóżne karty...

Nie żądam odemnie abym pięknie pisał i przedmiot

mój umiejętnie ci rozplatał jak kucharz rybę. — Pióro puszcze tak jak to się język puszczało przy kominie i ciepłem piwku—a co pamięć przyniesie to się na kartach zapisze.

Niech ci Pan Bóg przebaczy, żeś mnie do tego namówił. *Vale et me ama.*

*Adam Polanowski.*

1698 r.



Z młodszych moich lat — nie ma co pisać, bo ludzie są jako trawa gdy się z ziemi wytyka, wszyscy jednakowi, trudno poznać czy to z tego będzie łopuch czy sałata. Pamiętam tylko że mi dla zbytniej swawoli matka i ojciec prorokowali iż się szubienicy dorobię, lecz, dzięki Bogu nie sprawdziło się, choć prawda, żem dokazywał srodze i kipiało we mnie, a spokojnie na miejscu wysiedzieć nie było sposobu.

Rodzeństwa nas było troje, starszy brat Michał, powolny i nad wiek stateczny, młodsza siostra Julusia, a ja w pośrodku.

Matka nasza najukochańsza, świeć panie jej duszy, nie bardzo była dla mnie surowa, i mawiała (choć nie w mojej obecności) że młodość ma prawa swoje, i najlepsze piwo gdy zrazu szumi—więc przez palce patrzyła na wybryki i folgowwała gdy ojciec dyscypliną i różgami groził. Swawola też owa ograniczała się na znęcaniu nad ptactwem, do którego z łuku się strzelało, na rybołówstwie, na dojeżdżaniu koni, od których nie jednemu guza dostał i sińców napytał.

Do obiecadła, nad którem Michał rad siadywał, ani mnie było napędzić ale przecież gdy na srom przywiązano mnie sznurkiem do ławki i kazano się uczyć — nie przychodziło mi to z trudnością.

Bakalarza mieliśmy osobliwego, niejakiego Kleta Cygańskiego, który *nomen omen*, choć szlachcie, jako cygan się włóczył ode dworu do dworu, to bakałując, to za oficjalistę służąc, to przy kościołach rezydując, a nigdzie nie zagrzewając miejsca. Człek był i na oko nie powszedni, drab jakby z samych kości zbudowany, skóra lśniąca na nim jakby wyprawna, włosy tyle tylko że korona do koła łysiny, wargi odwalone ogromne, a oczy gdyby ślipia kocie świecące, nosił się nędznie, nie zawsze czysto około niego bywało, ale głowę i gębę miał że i statyscie by ich starczyło.

Powiadano o nim iż tak ciekaw był, że żadnej książki z rąk nie puścił aby jej nie przeczytał. Orazą napisać komu, jakąkolwiek bądź, jak orzech zgryść było dla niego, i płacono mu za to a pojono go i karmiono... Grosza by był mógł łatwo sobie przyzbierać, ale potajemnie pił pono, a pod humor pieniądze rzucał ubogim i lada komu, jak plewę.

Ja u Cygańskiego miałem łaskę, choć Michał był pilniejszy i stateczniejszy. Czasem mnie za uszy wytargał, czuprynę mi wymiętosił, ale nigdy się nie pogniewał bardzo, a często i zataił przed rodzicami, gdym co zbroił.

Michałowi starszemu przepowiadał, co się sprawdziło, że do zakonu wstąpi, gdyż w istocie potem, O. Jan brat matki naszej do nowicjatu go w Lublinie wziął, już z niego nie wyszedł, choć ojcu się to bardzo nie podobało.

Z rąk Cygańskiego oddano mnie do infirmy w Łucku, a później razem z Michałem do Lublina, z powodu że tam ojciec Jan, wuj nasz rezydował i w zakonie miał znaczenie a nami się opiekował.

Tu Michał mój pocziwy, natura spokojna i łagodna, jak przylgnął do Ojca Jana, jak sobie upodobał życie klasztorne, tak już pozostał Bogu służąc, mnie zaś mamonie na łup dano. Uczyłem się niezgorzej, chociaż o pierwszą ławę i laury nie ubiegałem, a swawola szła swoim porządkiem i w tej celującym byłem zawsze. Różeg nie brałem — bo bym był ich nie zniósł, ale w karceresie na rekolekcjach mało którego tygodnia nie siadywałem. Miano wzgląd na krew oną burzliwą, której mi pohamować było trudno.

Gdy wreszcie Michał sobie stan obrał duchowny i odwieźć go od tego postanowienia nie było podobna, na mnie przypadło w przyszłości się do gospodarki, a razem i do stanu rycerskiego sposobić, bo co szlachcic musiał żołnierzem być.

Jam sobie tem wcale nie przykrzył.

Śmiało mi się życie obozowe, o którym się nasłuchałem siła, — wyprawy wojenne, potem sejmikowanie a gospodarzenie około roli.

Wszystko to we krwi już było... Od młodu się człowiek nasłuchał, napatrzył, obyczaje te poznał i w nich kochał.

Nim do szkół mnie oddano, tom ci się już w szable umiał ściąć niezgorzej, na konium jeździł jako centaur, a z łuku i strzelby celnie strzelałem i nikomu się wyprzedzić nie dał. — Łuk naówczas do parady więcej służył niż do boju, ale się nim zabawiano chętnie,



równie jak oszczepem. Pozostałości te były prastarych czasów, które konserwowano.

Pamiętam że na tak zwane łuby, w których strzały pierzaste noszono, wysadzano się chętnie, równie jak na ozdobne tarcze, choć oboje tylko na okaz służyły. Nie jeden taki łub, w którym ani śladu łubu nie było, perlami szyty, złotem dzierzgany, kamieniami sadzony, kilka set złotych wartą, tak samo tarcze, które albo giermek niósł, albo na sobie wieszano, lekkie, — łacne do przebicia, dla plendoru tylko chowano, a były malowane, złożone i roboty osobliwej...

Szlachcie około domu w kitlu płóciennym, w kozłowych butach i lada jako chodził, ale każdy najuboższy, po dziadach i pradziadach, miał się w co odziać paradnie, gdy wystąpić było potrzeba... Przechowywały się pasy, lamy, futra, delje z pokolenia w pokolenie. Dopiero za moich czasów, gdy różne mody cudzoziemskie nastąpiły, poczęto się też drogich pozbywać pamiątek i przebierać szpetnie. Przy czem nieraz od tych co obyczajowi staremu wierni pozostali dostało się do brze tym zniemczonym i sfrancuziałym po tebinkach.

Pod koniec mojej szkolnej nauki wąż mi się już wysypywał, a okrutną niecierpliwość czuł aby się z pod feruły wydobyć i w świat pójść. Ale człowiek sam sobą nie dysponował, ojca, matki słuchać było potrzeba. Wyrwał się który niecierpliwszy, bez zezwolenia ich z domu, nie było już po co powracać. Rygor był wielki, ani rzadkością to że młodzieniec pod wążem, na kobiercu ręką ojcowską baty oberwał, za które karzącą dłoń pocałować musiał.

Pod koniec mojej nauki szkolnej, rodzicowi naszemu najlepszemu, nagle się zmarło, po Sejmiku w Łuc-

ku, czasu którego się namęczył, i zirytował, tak że do domu powróciwszy obległ zaraz i już nie wstał.

Dano nam znać do Lublina gdy już nadziei utrzymania przy życiu nie było i spieszyliśmy z Michałem dniem i nocą po błogosławieństwo ojcowskie, aleśmy ojca już na katafalku zastali.

Pogrzeb z sumptem nie małym odprawiliśmy w Łucku u Dominikanów, gdzie w Refektarzu chleb żałobny potem zastawiono, przy którym ja gospodarzyłem, bo Michał choć starszy, już kleryk nie chciał się tego podjąć.

Kilka tylko dni w domu przy matce zabawiwszy, musieliśmy do Lublina powracać, Michał do nowicjatu, a ja do szkoły, której porzucić matka nie pozwalała.

Z mężtwem wielkiem, choć z sercem bolejącem, wzięła się sama do interesów i do gospodarstwa, nie zapominając o wychowaniu Julusi, którem się sama zajmowała, a na wszystko jej starczyło czasu.

Ale też niewiast takich jak ona, starego autamentu, już wówczas nie wiele było u nas.

W życiu jej marnej chwili nie było, wstawiała z kurami, — z nią się też wszystko we dworze do pracy budziło. Obchodziła wszystkie kąty — nie wyręczając się nikim. Rzadko z rana czas przysiąść miała, bo coś zawsze było do czynienia, co ją na nogach trzymało.

Przy pracy i przy modlitwie wspólnej ona przewodniczyła. Nie rzadko jeszcze gość nadjechał, proboszcz, kwestarz—trzeba go było przyjmować, rejestra przepisywać, motki i talki policzyć, wymiaru zboża jeśli nie dopilnować, to na niego najrzeć—i tak cały Boży dzień schodził.

Przy czem i to dodać potrzeba, iż prawne interesa, na których nie zbywało, bo mało która majątność albo spornej granicy, lub jakiego zastarzałego procesu nie miała — pani matka nadzorowała sama, i prawo jej nie było obce... tak że lada jurysta nie podszedłby był, i nie oszukał.

A wszystko to szło, pamiętam, tak spokojnie, cicho, jak w zegarku, że ani słychać było ani widać wysiłku. Przybył obcy człek, witała go obliczem wypogodzonym, dla wszystkich uprzejma, łagodna, chociaż w potrzebie surowa, i gdy co postanowiła nie przełamana.

Na wakacje przybyłem już sam gdyż Michał jak każdy zakonnik rodziny się wyrzekać musiał, tak jak wyrzekał świata. Ze łzami na oczach powitała mnie, gdym jej w ganku do kolan przypadł, sam też płacząc, bo ojciec się przypominał, którego nam brakło.

W pierwszych dniach mowy niebyło o tem, co pani matka względem mnie postanowi. Korciło mnie wielce się o tem dowiedzieć, ale nie śmiał pytać.

Nie nagliłem też, bo mi doma, po szkole było jak w raju. Wszystkom tu miał, za czem w mieście tęskniłem. Konie, psy, las, rzekę, szerokie pola, a sąsiadów tak miłych, którym się przypominało. Byli między niemi i rówieśnicy, i szkolni z Łucka z jednej ławy towarzysze.

Pani matka swobody mej wiele nie hamowała, zapowiedziawszy to, że mógł sobie spocząć i zabawić się, nimbym się zaprzągnął do nowego życia, ale jakie ono miało być, nie mówiła.

Po nieboszczyku ojcu wierzchowych koni, psów łowczych różnych, zostało dosyć, ludzi też w pomoc

do tej zabawy nie brakło. Zapraszali sąsiedzi, między innemi, pomnę, Steccy i Tomaszewscy, z którymi i ojciec żył w przyjaźni.

Czasy były nie wesołe, bo po owem nieszczęsnem panowaniu Jana Kazimierza nastąpiło było jeszcze smutniejsze króla Michała, które zawichrzyły całą rzeczpospolitą podzieliwszy ją na obozy...

Stali jedni, szczupła gromada przy królu przez szlachtę sobie obranym, drudzy przeciwko niemu, a turecka potencja z kozakami na granicach płądrowała i pustoszyła, zanosilo się po okropnych klęskach i Buczańskich traktatach na gorsze jeszcze.

Lecz prawdę powiedziawszy, tam gdzie wojna, ogniem i mieczem nie dochodziła, ledwie ją czuć było i wierzyć w nią chciano. Paliło się nieraz obok, łupilo kozactwo i płądrowali tatarzy, a byle nie dotarli gdzie szlachcie się nie poruszał i na wojska zaciągane zdawano obronę, pospolitemu ruszeniu opierając się do ostatka.

Wichrzyciel wielki i ówczesny Prymas jednooki Prażmowski i jego zauszniczy wbrew królowi, wojnę negowali, nieprzyjaciela ignorowali, ani ludzi ani pic-niędzy nie miłemu panu dawać nie chcieli.

Jeszcze na chwiejącym się tronie siedział ów elekt szlachecki, gdy już jedni księcia Lotaryńskiego, drudzy jakieś francuzkie książątko, inni Neuburgskiego na gwałt forytowali.

Szlachta, choć niby mocy swej dała dowód na elekcij wbrew panom i na przekorę im wyniósłszy ubogiego Michała, za którego się pod Gołębiem gorąco ujęła, złamaną została w prędee, a Senatorowie i panowie tak rej wiedli znowu jak przed tem.

Mnie naówczas mało te rzeczy obchodziły, wszelako mimowoli się o uszy obijało, co się gdzie działo.

Widocznem było iż, choć rakuscy przyjaciele i Cesarscy mieli mir i pewną siłę, francuzka partja górę brała...

Od abdykacji Jana Kazimierza, którego francuzki król namówił do złożenia korony, albo raczej od śmierci Władysława IV, — sprawą królowej Marji Ludwiki pani wielkiego rozumu i energii zgola nie kobiecej; francuzi i francuzkie stronnictwo coraz się pęteźniejszym stawało. Chciał król francuzki w Polsce przeciwko Cesarzowi mieć ścianę mocną, a nad utwierdzeniem jej pracowała skutecznie Marja Ludwika.

Nie lubiano rakuszan i obawiano się ich, posądzając, że na Polskę i jej wolność czyhali, ale też francuzi miłości sobie wielkiej nie pozyskali, krom u tych, co się na ich obyczaj ponawracali, język ich sobie przyswoili, suknie przyodzili.

Pomnę to sam, że na prowincjach u nas, gdy się który z panów, z peruką na głowie, we wstążki i koronki przystrojony pokazał — zbiegano się nań patrzeć, jak na raroga, a śmiechu było pełno.

Z za płota nie jeden do takiego francuza strzelił, taką obrzydliwość miano ku nim.

Mogło się było zdawać, że po śmierci królowej, która abdykację poprzedziła, wpływ ten jej i francuzów ustanie lecz okazało się inaczej.

Przywiozła z sobą była z Francji Marja Ludwika siła młodych i pięknych dobrego rodu, francuzek, które za Paców, za Zamojskich powychodziły.

Pomiędzy temi celowała najpiękniejsza, królowej

najulubieńsza, którą niemal dzieckiem jeszcze przywiozła Marja Ludwika, tak że złe języki bąkały nawet jakoby ukochana ta wychowanka bliższą jej była niż się wydawała... Zwała się Marja de la Grange d'Arquien, pono dobrego ale zubożałego rodu, i w istocie wychowanką była tylko bezdzietnej naówczas pani.

Oprócz niej, panna de Mailly, później Kanclerza. Paca żona i innych wiele ze dworu królowej za znacznych panów powychodziły.

Wszystkie one przejęły po nieboszczce sprawę francuzką i mężów na nią ponawracały, tem łacniej, że pieniądze z Francyi płynęły, a większe jeszcze od nich obietnice.

Mówiłem już o pewnej Marji de la Grange. Dzieckiem była ona nadzwyczajnej piękności i dorastając jeszcze większym zajaśniała blaskiem. Ludzie dla niej głowy tracili, szczególnie młody Sobieski, dzielny wojak, ale jako człowiek krewki i gorącego temperamentu, w niewolę się jej zapisał.

Ale wówczas jeszcze płotka to była dla niej, co szczupaka o złotej łusce mieć chciała. Czuwała też nad tem królowa, aby tę perłę dobrze sprzedać.

Więc choć się pannie piękny i miły, a serdeczny Sobieski podobał ale — miłości czekać kazano, a tymczasem chciwość i ambicja wyswatały ją za starego Zamojskiego.

Z tym jakie było pożycie łatwo zgadnąć.

Na tej nadpodziw pięknej kobiecie sprawdziło się to iż nie wszystko złoto co się świeci, a dziwnie czasem piękność niewieścia w parze idzie z okrucieństwem i nie litościwą rachubą.

Pieszczona, ubóstwiana od dziecka, samolubna am-

bitna, w szkole Marji Ludwiki zestarzałej i ostyglej wychowana, owa cudnej piękności pani, wyrosła na niewiastę, jakiej u nas w Polsce dzięki Bogu, drugiej by nie znalazł.

Po śmierci starego Zamojskiego oddała wprawdzie rękę Sobieskiemu, zdawna kochankowi i niewolnikowi swemu, lecz naówczas już kiedy jego męztwo, rozum, dzielność wielką mu przyszłość obiecywały, której też fundamenta położyło Marszałkowstwo naprzód koronne, potem Hetmańska bulawa.

Więccj już, zdaje się, wdowa po Zamojskim, ulubienica królowej, ani pragnąć, ani się spodziewać nie mogła.

Rozszerzyłem się tu o niej nie bez przyczyny, bo ona i na losy kraju i na moją dolę wpływ miała, choć za panowania Michała wszystkiego co potem nastąpiło przewidywać nie było można, ale mi do niej jeszcze wielokroć powrócić przyjdzie.

Rodzina ta nasza Polanowskich zdawien dawna szlachecka i rycerska, po całej niemal Koronie, na Rusi i na Litwie nawet była porozrzucana.

Naszej gałęzi na Wołyniu ojciec jeden był ostatnią odroślą i, krom rodziny matki, nie mieliśmy nikogo bliższego, któryby głowę domu zastąpił i matce radą w pomoc przyszedł.

Za żywota nieboszczyka ojca z temi innemi się Polanowskimi rozproszonemi, utrzymywaliśmy stosunki, a szczególnie z Aleksandrem Chorażym Sanockim Pułkownikiem w wojsku kwarcianem, słynącym z męstwa i ulubieńca rycerstwa całego. Matka więc i teraz, gdy o mnie stanowiąc przychodziło i szukać gdzie bym się ja, dla dalszego wyrobienia między ludź-



ni pomieścił, — pomyślała o tem aby się zwrócić do Chorażego.

Tylko że nie wiedzieli gdzie go było szukać bo w domu na wsi rzadko siadywał, przy wojsku statecznie będąc, a że się teraz na wojnę zbierało, od regimentu swego ani się mógł ruszyć.

Naprzód tedy list napisała do niego, a z nim któż miał jechać jeżeli nie Leśko!! Widzi mi się że takiego drugiego Leśka dziś by ze świecą szukając nie znalazł, i dla tego o nim coś powiedzieć muszę.

Kto był ów Leśko! — prosty chłop siedzący w chacie na wsi... Młodość prawda pędził na dworskiej służbie, ale potem, ożeniwszy się ze służącą matki naszej poszedł na grunt i gospodarzył.

Bez Leśka ani ojciec ani matka stąpić nie mogli, i muszę mu to przyznać że, gdyby go do Chin posłano, zdaje się, i do nich by drogę znalazł, a sprawił się.

Małego wzrostu, dużej twarzy, z długim włosom jasnym na głowie, oczów niebieskich, spokojny, cichy, milczący jakby trzech zliczyć nie umiał — Leśko miał rozum i zręczność w postępowaniu niesłychaną.

Chodził zawsze powoli, a robił wszystko prędko — nie obiecywał nigdy nic, a z każdą rzeczą radę sobie dał, nikt go nie oszukał. Leśkowi ojciec często tysiącami powierzał pieniędzy, nigdy tego zaufania nie pożałowawszy.

Matka też Leśka szacowała jako klejnot i rzadki był dzień, aby do dworu go nie potrzebowano.

I teraz też, ponieważ o pułkowniku Chorażym Polanowskim nie nie wiedziano kędy się obracał, Leśko tylko jeden mógł go wyszukać.



Przywołano go gdy już list był gotów, kielisze wódki wypił, głowę ciągle ręką przyczesując, wziął pieniędzy na drogę, pokłonił się i tegoż dnia wyjechał.

Niebyło go blisko trzy tygodnie z powrotem, bo — jak się okazało, stał pan Choraży z pułkiem swym około Lwowa, ale znalazł go Leško, pismo wręczył i respons przywiózł — konia nawet nie schudziwszy. Po drodze zaś na jarmarkach nakupił chust i różnego towaru, który potem z zarobkiem sprzedał.

Pułkownik matce odpowiedział iż chętnie by się losem moim zajął, ale jako sam żołnierz do wojska mnie wpisać życzył, a o dworskiej służbie pod te czasy wyrażał się iż o nią trudno było...

Mnie rycerska sprawa dosyć się uśmiechała, nie byłem od tego, ale matka, mając już teraz mnie jednego, bo pierworodnego Bogu ofiarowała — wołałaby była spokojniejsze pomieszczenie, gdzie by codzien życia stawić nie było potrzeba. Zawahała się więc mocno.

Wiedzieliśmy o tem iż u Hetmana Sobieskiego Polanowski był w zachowaniu wielkiem, z tego urosło, iż matka powtóre list do Pułkownika wysłała wyluszczać mu dla czego życzyła sobie mnie dać na dwór czyjś insynuując czyby Hetman dworzanina nie potrzebował.

Niewątpliwem było iż ich chować musiał wielu, bośmy o tem słyszeli że i Polaków i Francuzów i Włocha miał do listów a kancelarję liczną.

Na to pismo powtórne, które już poszło przez ręce duchownych OO. Dominikanów z Łucka do Lwowa, dosyć długo czekaliśmy odpowiedzi.

Nadeszła wreszcie taż samą drogą — pisał Pola-

nowski iż z Hetmanem o mnie mówił, bliższym mnie uczyniwszy siebie pokrewieństwem niż w istocie byłem, i że — choć Sobieski utyskiwał że miał próżniaków nad miarę przy sobie przecieź, na opinie i prośby, przyrzekł mnie przywiązać do swej osoby...

Radość ztąd u nas była wielka, i pani matka natychmiast zajęła się wyprawą. Chociaż mi wielce o to chodziło abym się między obcemi wydał przystojnie i śmiechu z siebie nie uczynił — znając matkę naszą tak byłem pewnym iż wszystko rozporządzi najlepiej, żem się ani chciał mieszać do tego.

Nigdy bym też sam tak się obficie nie zaopatrzył we wszystko, jak ona mnie w tą podróż. Nie było zapomnianego nic ani najmniejszej rzeczy — nie wiedziałem jak dziękować.

Konie najlepsze, wóz węgierski, siodła dwa, kulbakę, wyrostka też we wszystko zaopatrzonego z łaski jej dostałem, żem aż nadto pańsko wyglądał. Sukni podostatkiem, kożuchów dwa pokrytych, wojłoków, kobierców, nawet cokolwiek sreberka i namio-cik obozowy na wozie się mieścili. Grosza też nie chciała abym rychło z rąk cudzych patrzył, więc i kilkaset złotych w talarach bitych do puzderka włożyła.

Pierwszy też raz sygnet herbowy po ojcu na palec włożyłem, przy którym nauka była jak ten klejnot szanować należało. Uzbrojenia, choć wojskowo służyć nie miałem, musiałem wziąć dosyć dla parady, a szabel dla bezpieczeństwa.

Bogu tylko wiadomo jak mi się tęskno zrobiło gdy z domu wyruszać przyszło, choć wprzód tak się w świat chciało!! Obchodziłem żegnając wszystkie

kąty, z każdym parobczakiem się żegnałem, a chwilami serce mi się tak ścisnęło żem im losu zazdrościł.

Matka popłakiwała, Julusia mi się wieszała do szyi... — ów świat co się tak uśmiechał, teraz gdyby kirem powleczoney się zdawał.

Zwlekąłem z dnia na dzień, aż na ostatek — ruszyć musiałem, w imię Boże.

Jakem się rozstawał z panią matką i domem — opisywać nie będę, ani podróży w ciągu której przez niedoświadczenie błąków siła się nastrzelało, za które workiem płacić przyszło.

Hetman czasowo przebywał we Lwowie, wybierając się do obozu pod Gliniany, i tu go zastałem, ale tak był niesłychanie zajęty wojskowemi sprawami, że ani mu listu oddać, ani się przedstawić pierwszego dnia nie było sposobu.

Okolo domu w którym stał, ludzi różnych, gromady czekały ciągle dobijając się posłuchania, wojskowi przyjeżdżali z obozu, przyprowadzano języka — przychodzili mieszczanie, przybiegali posłańcy z majątności jego z pieniędzmi, żydów też siła wartowała... nie licząc Senatorów i panów nawiedzających.

Z tego mi zaraz poznać było łatwo co Hetman znać, jakie miał zachowanie, bo, choć króla się też spodziewano, ale na Sobieskiego wszystkich oczy były zwrócone.

Wystawszy nadaremnie u wrót godzin parę, z desperacją niemal wróciłem do gospody — ale tu mi się szczęściem nastręczył Wardęński, rządca Hetmana dóbr, któremu gdym się wypowiadał z biedą moją, ulitowawszy się, obiecał mi nazajutrz drogę utorować.

Był naówczas, gdy go po raz pierwszy zobaczył Sobieski mroźnym bardzo mężczyzną, w sile wieku, chociaż już nieco otyłości późniejszej widać było początki. Twarz piękna, oko pełne ognia, czoło rozumne, na ustach często uśmiech, postawa pańska i rycerska... Nosił się po polsku i spojrzawszy nań wnet czuć było że to kość z kości naszych, a ród wielki i stary. Groźnego w sobie nie miał nic, a przecież posłuszeństwo wrażał jednym skinieniem...

Czynnym był nieustannie i niezmordowanie, a czasu marnować lada jako nie lubił.

Gdy mnie przywołano, już był uwiadomiony przez Wardeńskiego z czem przybyłem i pokłon mój do kolan, jako ojcu, przyjął uśmiechając się.

— Chłop zdrow, silny jak dębczak, odezwał się — czemuż to do wojska się nie zapisał. U mnie teraz wszelki dworzanin będzie musiał zbroję wdziać...

W tem się zadumał, przystąpił do stołu i zwracając się do mnie począł.

— Już rozkazy wydaję aby tam waści pomieszczono — nie wiem jeszcze, ale może być że wypadnie na początek z listami i parą puzderek do Warszawy, naprzeciw żonie mojej z za granicy powracającejjechać, i przy niej do czasu pozostać, bo ja tu dosyć dworu mam, a tam pani Hetmanowej go braknie. Gotuj że się ewentualnie do drogi...

Pokłoniłem się chcąc odejść, aż się zawrócił.

— A jak tam z końmi! Masz szkapę dobre? — zapytał.

— Niczego — rzekłem chwalić się nie śmiejąc.

— Każe Stebelskiemu zobaczyć — dodał.

Na tem się posłuchanie skończyło, bo już Aron

żyd, dobijał się pilno do drugich drzwi i dwa razy go oznajmywano.

Dnia tego tye tyllko żem się z towarzyszami zapoznał i przeniósł do ciasnej ciupki, którą we dwu zajmowaliśmy z drugim, w kancelarji polskiej pracującym, Morawcem... a wieczorem, wedle zwyczaju, musiałem znajomość moją i inkrutowiny te paru garnkami wina oblać.

Z tego com słyszał i widział strachu wielkiego i grozy nie nabrałem. Pan był dobry, ale, gdy się dowiedziano że mam być wysłanym do pani Hetmanowej — nikt mi nie winszował.

Nie powiedział żaden i uchowaj Boże, złego słowa, lecz z milczenia i min, wiele się domyslać było można...

Tylko żem ja nigdy tchórzem podszyty nie był. Wolałbym być może z panem Hetmanem do Glinian, a potem dalej, jako zapowiadano pod Kamieniec czy ku Chocimowi — ale i Warszawę poznać nie przykrzyłem sobie, na wszystko gotów będąc.

Przeciągnął się ten wybór do obozu, bo jakem już mówił, Hetman niezmiernie był zajęty i na głowie miał nie jedno wojsko — choć ono teraz było najważniejszą rzeczą, ale i własne interessa i cudzych siła.

Drugiego dnia, gdy się Sobieski z kwatery swej wybrał arcybiskupa odwiedzić, mnie Morawiec zaprowadził do jego sypialni i gabinetu, — dla ciekawości. Z obejrzenia ich najłatwiej mi przekonać było można, jak ten człowiek pracować musiał, bo — czegoż tu nie było?!

Na wielkim stole mapp i planów wojennych mnóstwo, sztychowanych i od ręki świeżo przez inżynjerów ryso-

wanych, książek też francuzkich poznaczonych kupy; na innych cebule kwiatów, nasiona, owoce różne, słoje ze słodyczami. — Obok dziecinne stroiki (dla trzyletniego syneczka Jakóba, którego Fanfanikiem zwano). Listów wszędzie stosy, w których mi Morawiec ukazał cyfry, com je pierwszy raz w życiu oglądał, rejestra gospodarskie, komputy wojskowe.

Przy łóżku aż trzy wizerunki pani Hetmanowej po raz pierwszy oglądałem, jeden większy, bardzo piękny, snadź dawniej, gdy młodziuteńką, była wystawujący, dwa pomniejsze w różnych strojach, bo jeden na kształt pasterki.

Morawiec mi ukazał ten, który najpodobniejszym być miał — ale na tym, mimo piękności, oblicze miała tak dumne i pogardliwe iż mi się wcale nie podobala.

Wpatrywałem się w nią długo — ale oprócz tej pychy i nadąsania jakiegoś, nic nie znalazłem czem by człowieka oczarować miała — choć Morawiec mi szeptał że ona z panem Hetmanem czyniła co jeno zamierzyła i gdy by mu była kazała, kraj porzucić, wyprzedać się, opuścić wszystko, przesiedlić za góry — i na to był nawet gotów.

W pokojach przez Hetmana zajmowanych, wszędzie tu jego pracowitość, o której dworacy cuda opowiadali, jawną widać było. Samych książek porozpoczynanych do czytania, po wszystkich kątach wałała się moc wielka.

Morawiec mówił że często o czwartej dopiero nad ranem usypiał, a w parę godzin potem był już na nogach. Koni po kilka na dzień zameczał, bo nigdy jeden mu nie starczył. Przy tem mało kiedy zu-

pełnie zdrów był i leki jakieś bierał, krew często puszczał, wody mu różne z za świata sprowadzano do picia!! Z twarzy zaś tego bynajmniej wyczytać nie było można.

W tych pierwszych dniach małym, ja tu co mógł wyrozumieć, później dopiero wszystko mi się jaśniej przedstawiło.

Człowiek mi się wydawał najszcześniejszy w świecie, na równi z królem lub więcej nad niego mogący, gdyż wojsko całe w ręku miał, a w Senacie co najprzedniejsi z nim trzymali — w dostatki zdawał się opływać, żona jak anioł piękna. Czegoż mógł pragnąć?!

A w istocie samej — troski go jadły, pokoju nie miał. — Na oko się prezentowało wszystko jak nie można piękniej i lepiej, a pod tą pozłotą...

Ale ja wówczas tego jeszcze wcale nie rozumiałem, tyłkom wielką potencję mego pana czułem i widziałem, a winszowałem sobie że mnie pan Choraży Sanocki tu umieścił.

Zapowiedziany mając wyjazd do Warszawy na przeciw pani Hetmanowej, musiałem czekać na listy, które nie rychło przygotowano. — Ale zdawało się nie odmiennem że mnie z niemi nie kogo innego odprawi, boć wolał pozbyć się mało znajomego, niż jednego z tych do których był nawykłym.

W ciągu dni tych miałem czas lepiej się tu rozpoznać i rozszłuchać, choć nie rozumiałem ani części tego co się koło mnie obracało.

Panowie Senatorowie, panie też nieustannie do Hetmana przyjeżdżali, z którymi żywe rozmowy po francuzku się wiodły, — które często i listy już gotowe zmieniać zmuszały, bo tu się jakichś intryg różnych



plątało i krzyżowało bez miary. A co pism przychodziło dnia każdego, kartek, notatek, tego nie zliczyć. Zawóz był nieustanny jak we młynie.

Starsi dworzanie jak Morawiec, który mi bardzo przyjaznym się okazywał, rozumieli tu ludzi lepiej, wiedzieli: kto miły, a kto podejrzany. —

Dla mnie ten zgiełk cały tyle tylko że Hetmana potęgę wpływ dobitnie oznaczał. Musiałem się uczyć co tu które nazwisko wyrażało, przyjaciela czy wroga; bo jedni i drudzy kłaniać się przychodzili.

Nie pełniłem żadnej służby stałej tymczasowo, ale porywano i posyłano pod czas i mnie do innych posług, gdy pilne były.

Jak mi się to po cichem życiu domowem wydawało — trudno powiedzieć — *mutatis mutandis*, jak wyżej powiedziałem, — zdało się jak bym do młyna zajechał.

Dzień i noc prawie spoczynku nie mieliśmy.

Gdy od wojska lub od granicy przychodziły kresy, przyprowadzano języka, budzono nie tylko nas, ale samego Hetmana, o każdej godzinie.

Tak czynnego żywota wyobrażenia nie miałem, — potrzeba było do niego nawyknać.

W końcu dzień wyjazdu do obozu oznaczony został, a ja też zaraz miałem się puścić w drogę, do której byłem przygotowany. Zawołano mnie do Hetmana rano, który z małej chwili wolnej korzystając, jeszcze mi ustną chciał dać instrukcję, to dodając, że od pani Hetmanowej zaleźć będzie, albo mnie przy sobie zatrzymać lub też z listami i posyłką do niego nazad odprawić.

Wardęński mi pieniędzy na drogę miał dać, jakoż



w istocie znalazłem je bardzo ściśle obliczone, i od razu mogłem zmiarkować, że ze swoich dokładać przyjdzie, Dziękowałem więc przezorności matki do-brodziejki, iż mnie uprowidowała. Z góry zaś, wyliczając mi strawne i na konie, pan Wardeński zapowiedział żebym się rządził jak chcę, ale żadnych potem pretensyi nie wnosił o dodatki, suplimenty i indemnizacje, bo tych niedostanę.

— My tu, rzekł — takie mamy ciężary, niesłychane; a i pani Hetmanowa potrzebuje tak dużo, iż ledwie nastarczyć można...

Sam też w kilku dniach tych przekonać się mogłem, iż Hetman oprócz osobistych wydatków, miał do dźwigania i publiczne, bo ze swej szkatuły wojsku często płacił, gdy szcmerło, prochy swoje własne i działa dawał..

Słowem, nauczyłem się tu wiele w krótkim czasie choć nie wszystko rozumiejąc.

Ze Lwowa razem jechaliśmy, Hetman do obozu pod Gliniany, a ja do Warszawy naprzeciw Jego-mości.

Gdym się po tych szumie i zgiełku znalazł sam jeden na gościńcu, z wyrostkiem i masztalerzem, sam sobie pan znowu, aż mi się lżej zrobiło.

W drodze pospieszałem jakem mógł, ale koni zao-szczędzając, bo koń dla szlachcica to więcej niż drugie nogi, — bez niego, ani kroku.

Przypadku dzięki Bogu niebyło żadnego, tyle tylko co z podkowami się kłopotać musiałem, choć zapasne miałem, bo nie wszędzie się kowal znalazł, a nie raz dla niego z gościńca w bok trzeba było skrócić.

Mało to mnie opóźniło i w Warszawie stanąłem

szczęśliwie przed panią Hetmanową, której się dopiero spodziewano. Był więc czas odetchnąć.

Po Lwowie mi się Warszawa wydała bardzo piękna, a ruch tu jeszcze większy, chociaż król się też pod Gliniany wybierał, i koło zamku, frekwencja była daleko mniej żywa, niż przy kwaterze p. Hetmana.

We dworze, który zajmować miała pani nasza, część już fraucymeru i nas dworzan — oczekiwało na nią, z ochmistrzynią i rodzajem marszałka tymczasowego, który był człek niemiły i opryskliwy i wielce godność swą nową noszący dumnie.

Szczerściem był rodem z Wołynia, i familję moją znał, albo o niej słyszał, więc dla mnie dosyć się uprzejmym obiecywał.

Na tym punkcie mojej spowiedzi stanąwszy, pióro mi niemal odmawia posługi, tak człowiekowi trudno się przyznać do — słabości swych...

Słabością ja to zowię przez konsyderacją dla siebie, choć surowiej biorąc, inaczejby denominować należało.

Pierwszego dnia przybywszy oprócz IMPana Łowczyca, który marszałkował, i dwu młodych dworzan przysłych towarzyszków moich nie widziałem nikogo. Dużo było do czynienia z rozgoszczeniem się, postawieniem koni, poznoszeniem rzeczy kosztowniejszych i t. p. Jeść mi dano do izby i cale nieosobliwie, alem o to wiele niedbał...

Nazajutrz, ponieważ wcale do czynienia nie było nic, a o Hetmanowej wiadomości nie mieliśmy, wolnym byłem i do kościoła Ks. Bernardynów chciałem na mszę świętą, gdy w samych wrotach — Ochmistrzynią starą francuzkę spotkałem, również z książką od-

nabożeństwa idącą, a za nią tuż młodziesienkie dziewczątko.

Jak że tu opisać i opowiedzieć wrażenie, które na mnie uczyniło to zaledwie z dzieciństwa wychodzące stworzenie. Wprost przyznaję się — osłupiałem. Takiej piękności, jakiejś delikatnej, niby z powietrza i promieni słonecznych zlepionej, — nie miałem pojęcia, aby ona w świecie naszym mogła się znajdować.

Widywałem ci ja niewiast wiele i pięknych dziewcząt nie mało, ale czegoś podobnego, — do czego by ją przyrównać było można, — nigdy.

Pokłoniłem się im i zdjawszy czapkę jakim stałem olśniony, zapomniawszy się, tak długo przyjsść do siebie nie mogłem, a dziewczę to dojrzawszy, śmiech chusteczką na ustach musiało stłumić. Śmiesznym też w tem zachwyceniu wydawać się im musiałem, sam to wiem, alem mocy nad sobą nie miał, takie mnie ogarnęło zdumienie.

Oczu czarnych, biała jak mleko, śnieżna jak pączek różany, nie zbyt słusznego wzrostu, zręczna jak sarenka, z wyrazem na twarzyczce figlarnym i wesołym — wydała mi się panna Felicja Viviers — aniołem z niebios zstępującym. Paść tylko było przed nią na kolana i chyba się do niej modlić. Cała moja istota zadrgała i poruszyła się na widok tego cudownego dziewczęcia...

Wrota się już za niemi zamknęły, i obie mi znikły z oczów, a jam stał widząc ją jeszcze ciągle przed sobą. Dopiero po dobrej chwili oprzytomniałem i ruszyłem też precz.

Widziałem je idące przed sobą, w pewnej odległości, a panna Felicja parę razy się szybko obejrzała...

Doganiać ich nie myślałem, anim się ważył, w głowie tylko rozbierając, co ta dziewczeczka tu robiła i znaczyła, i czy ona też do fraucymeru Hetmanowej należała...

Wszystko się już na upojenie mnie od razu składało, bo i Ochmistrzyni z towarzyszką, poszły też do Bernardynów, a ja podążyłem za niemi.

Żem się tego dnia roztargniony nie wielce modlił — oczewista rzecz, ani dziw. Razy dwa i trzy poczynałem jedną modlitwę, nie mogąc jej dokończyć. Panna się już krom jednego razu, nie obejrzała się ku mnie.

Uklęknęły obie przed wielkim ołtarzem, gdzie się właśnie msza rozpoczynała i dotrwały do jej końca, poczem obie jeszcze przeszły na prawo do N. Panny ołtarza i tam pomodliwszy się z kościoła się wymknęły.

Zrazu mi się chciało gonić je, alem się rozmyślił odwagi nie miałem i zostałem na drugą mszę cichą, słuchając jej pobożnie do końca. Tegom jednak na sobie wymódlz nie umiał, żeby pozbyć się obrazu dziewczęcia z przed oczów moich...

Samem się tego wstydził przed sobą, lecz też samego siebie poznać nie mogłem, tak mnie widok tej dziewczeczki do gruntu przemienił.

Strach aż ogarniał...

Pomodliwszy się w kościele, wyszedłem w ulicę, a że, mimo, późnej jesieni czas był dosyć pogodny i ciepły — poszedłem ku zamkowi, zabawiając się widokiem miasta i ludzi. Czym jednak wiele widział i nauczył się dnia tego, — wątpię.

Nie wiedziałem jeszcze wcale kto była owa dzie-

weczka, a paliła mnie ciekawość okrutna. Ze stroju wnosząc domyślać się było można, iż chyba do dworu Hetmanowej należeć musiała, co mnie wielce radowało.

Gdym tak przechadzał się około krakowskiej Bramy — natknął mi się wczoraj już poznany towarzysz ze dworu naszego, Szaniawski, czemum rad był bardzo i przystąpiwszy do niego, zaprosiłem na kubek wina do francuzkiej winiarni, tuż pod zamkiem. Szliśmy tedy razem, a jam tylko na myśli miał, jak się od niego o dziewczecze dowiedzieć, nie zdradzając z tem żcm się jej dał tak olśnić.

Szaniawski był mojego wieku wesoły i dziecinny prostaczek, — jak się później okazało — pocziwy i serdeczny chłopak, któregom przyjaźni doświadczył w ciągu życia.

Z rozmowy zręcznie mi się udało na to wpaść, iż bodaj Ochmistrzynią do kościoła idącą spotkałem, o pannie nieśmiałem nawet napomknąć.

— A jużci — odparł Szaniawski — chodziła do kościoła z Felisią Viviers... Nie może być, dodał, abyście i tej nie postrzegli, bo dziewczce śliczne.

Przyznałem się tedy, obojętność calc udając, że w istocie była z nią panienka jakaś.

Szaniawski był w bardzo dobrym humorze.

— Najpiękniejszą z naszego fraucymeru panienkę, rzekł, widzieć się wam udało na początek, macie szczęście. Jestto francuzka, sierota bardzo pani naszej hetmanowej ulubiona, któraby jej była pewnie do Francji towarzyszyła, gdyby na odrę nie zasłała właśnie na ten czas. Dziecko to jeszcze, bo nie wiem czy ma lat piętnaście skończonych, ale gdy wyrośnie

obietuje być piękną osobliwą. Już teraz ludziom głowy zawraca.

Stałem milczący, nie chcąc okazywać ile mnie to wszystko obchodziło.

Dowiedziałem się tedy od Szaniawskiego, że dziewczę było ubogie, na łasce Hetmanowej, sierota, bez rodziny — i pono nawet nie szlachcianka, ale tego trudno było dojść, jak powiadał, bo francuzi wszyscy jakiej by kolwiek byli extrekcyj do Polski przybywszy, sobie nadawali szlachectwo.

Wypiwszy po parze kubków wina, poszliśmy razem do dworu Daniłowiczowskiego, gdzie była nasza kwatery.

Mnie ciągle po głowie owa Felisia chodziła, aż mi wstyd było samego siebie.

Fraucymer mieścił się na drugim końcu dworca daleko od nas i nie spodziewałem się prędko znowu zobaczyć Felisi, gdy na obiad nas do wspólnego stołu powołano, do którego i panny przychodziły z Ochmistrzynią.

Zjawiła się i panna Viviers z innemi, które, choć dosyć przystojne, wszystkie przy niej gasły, *stellae minores*. Mnie się albo na szczęście lub na biedę dostało miejsce na prost przeciwko tego obrazka, tak że moc nad sobą musiałem wielką mieć, aby wciąż w nią oczu nie wlepić.

Ile razy pobieżnie spojrzałem, tylekroć jej wejrzenie nadzwyczaj śmiałe ku sobie skierowane znajdowałem.

Z drną towarzyszką przez cały czas obiadu szepotały, śmieszki stroiły i zabawiały się wesoło.

Siedziała przy niej nie tak już młoda, ospowata,

nie ładna, ale śmiała i dowcipna dziewczyna, która czas dłuższy była w Polsce i bardzo pocieszenie po polsku się mówić nauczyła.

Tu parę razy próbowała mnie zaczepiać, ale z nieśmiałości i tego odurzenia piękną Felis języka w gębie zapomniał. Siedziałem jak mruk z podełba tchurzliwie spoglądając.

Lżej mi się zrobiło gdyśmy od stołu wstali nareszcie...

Wszystko to by opisywania nie było warte, gdyby ten moment na całe moje życie późniejsze nie miał wpływu wielkiego, a owa piękność Felisi nie upoiła mnie od razu i nie uczyniła niewolnikiem.

Doświadczenia nie mając żadnego — padłem ofiarą — bo to co mi się wydawało nie tylko pięknem, wziąłem też w dobrej wierze za anioła.

Następnych dni do stołu chodząc, ośmielony stopniowo przez ospowata wielce śmiałą i złośliwą pannę Blanc, którą tu Sofronisbą zwano — poznałem się bliżej z fraucymerem, a choć tałem się z tem, iż na mnie takie wrażenie uczyniła Felisia, choć strzegłem się patrzeć, nie zaczepiałem nigdy ani słowem — niewiem jak i panna Sofronisba i inne dziewczęta zaraz to odgadły.

Zaczęto mnie nią prześladować.

W trakcie tego — nadjechała pani Hetmanowa i wszystko się z jej przyjazdem zawichrzyło u nas, bo trudno wypowiedzieć jak była wymagająca, dumna i kapryśna.

Znalazłem ją podobną kubek w kubek do tego wizerunku widzianego we Lwowie, który mi się niepodobał.

Piękna była — temu zaprzeczyć nie można, ale ta jej królewska piękność miała w sobie coś odstręczającego dumą, samowolą i takim despotyzmem, iż zdawało się jakby miała prawo cały świat widzieć u nóg swoich. Miłą ani się starała być i aniby może potrafiła. Na palcach przed nią chodzić musiano a skinienia patrząc, na twarz padać.

Pomimo, że bardzo jeszcze wyglądała świeżo i młodo, lecz niekiedy przy małym znużeniu, oko dostrzegało, że o wiele starszą być musiała, niżeli się zdawało.

Z panią Hetmanową, dwór jej francuzki przybył dosyć liczny, panien służebnych kilka, ale ulubiona jej Felisia zaraz nad innemi miejsce przy pani dawne zajęła i można było dostrzedz, że wszyscy ją wielce szanowali i oszczędzali gdyż u Hetmanowej miała nadzwyczajne łaski. Sama nawet stara ochmistrzyni jej się akomodować musiała.

Z panią Hetmanową przybył też trzyletni synek, zwany Fanfanikiem. Jakób, około którego naówczas bardzo pilno chodzono i pieszczono go wielce.

Ale ani dziecko, ani mąż niezdawali się Hetmanowej zajmować więcej nad ją samą.

Wszystkiego jej za mało było, nigdy niczem zaspokojoną się nie okazywała. Zły humor i lekceważenie były chlebem powszednim.

Natychmiast po przybyciu jej, z tych pań, które w Warszawie rezydowały, mało która nie pospieszyła pierwsza się submitować Hetmanowej.

Duchowieństwo też i panowie Senatorowie świeccy szczególnie ci co do partji francuzkiej należeli, na wyścigi przybiegali spragnieni wiadomości jakie z so-



bą przywiozła... Od rana do wieczora gości bywało pełno — ona zaś mało kogo nawiedzać raczyła.

W utrzymaniu domu postrzedz było można razem wielką chęć okazywania splendoru i skąpstwa.

Jak to umiano pogodzić nie moja rzecz.

Drugiego dnia i mnie do siebie przywolać kazała, naprzód się pytając czy po francuzku umiem.

Uczyłem się ja ci tego języka w szkole, ale z niej tak mało wyniosłem, że mi się nie było czem chwalić. Przyznałem się do niedostatecznej znajomości — języka, i konwersacja się poczęła po polsku, którym ona mówiła licho, chociaż rozumiała go dobrze.

Wzięty na spytki, oświadczyłem, co zresztą i w listach stać musiało, iż miałem się do rozkazów zastosować, azali nie zechce mnie z pismami do p. Hetmana nazad odprawić. Na co nieotrzymałem odpowiedzi żadnej.

Nareszcie odprawiła mnie skinieciem głowy.

Z tej audjencji mogę powiedzieć że jeszcze przykrzejsze wyniósł wrażenie, niż z widzenia wizerunku. Straszna mi się wydała, anim pojąć mógł, o czym mnie Morawiec upewniał, iż Sobieski w niej był zakochany do szaleństwa.

Ponieważ nas dworzan nie wielu się przy niej znajdowało, a chciała się okazać prezentować, więc i mnie odprawić jakoś niespieszyła, a jam się też nie napierał, bo mnie tu sam widok Felisi karmił, że więcej nie nie pragnął.

Napisałem—widok—bo w istocie oprócz widoku nie miałem nic. Obawiałem się przystępować bliżej a ona tak dobrze mnie oczkami wabiła i zalecała się jak drugim...

Rychłom się mógł przekonać o tem, że dziewczęciu szło o hołdy, bez wyboru. kto je składał. Passyi to jednak mojej nie zmniejszyło, tyle tylko że ją w sobie dusić musiałem.

Służba ciężką nie była — ale nieustanną — rzadko kiedy mogliśmy wypocząć z Szaniawskim i Drużbickim, kolegami mojemu. Z temi było mi bardzo dobrze. Tak Szaniawski, jak i on, oba nie byli majętni. Z domu im mało co nadsyłano, a jurgeld był skąpy — więc mój worek przydawał się bardzo, nie tylko im ale i panu Ochmistrowi, u którego też zachowanie miałem.

Grosza do zbytku oszczędzać nie potrzebowałem, bo matka w listach zalecając abym rozrzutnym i marnotrawcą nie był, — kazała się też strzedz brzydkiego skapstwa i obiecywała gdy zażądam, nowy sukurs dostarczyć.

Miłość dla Felci naówczas, ba i potem, choć nie raz mi dokuczyła, ale humoru i młodej weselości nie nadwyreżyła.. Miałem taką naturę żem wszystko brał pogodnem czołem, bez kwasu a dręczenia się — gdy mi było bardzo smutno, prowadziłem Szaniawskiego na wino, śpiewaliśmy piosenki, swawolili aby o lichu nie myśleć. Do wzdychania łzawego ani usposobienia nie miałem, ani mi też ono na co byloby się przydało. Owszem, gdy płochę dziewczę zawinilo mi, udawałem jakoby mi z tego wcale nie nie czynił.

Chociaż z góry do nas, od tego co się tam działo około Hetmanowej ledwie kapnęło co czasem, czuć było całą sieć intryg osnutych, snujących się rwących... Tajono się z niemi, każda z tych osób o które chodziło miała jakieś przybrane nazwisko, aby nie wtajemniczeni nie rozumieli o kim mowa, ale Hetmanowa czasem niezmiernie serdecznie z jedną dziś będąc,

nazajutrz z drugą przeciwko niej knowała, a w istocie nie miała nikogo ukochanego, wszyscy jej byli obojętni — myślała o sobie.

Jeżeli się do kogo przymilała, to albo mu już buty szyla, albo jej musiał bardzo być potrzebnym.

Przy tem chciwości grosza takiej jak w tej kobiecie, nie widziałem w żadnej. Gdyby nie to że duma ją zmuszała, od gęby sobie by była odejmowała, aby skarb pomnożyć.

Pomiędzy mężem a żoną — o ilem ja mógł już na ówczas sądzić, nie było podobieństwa charakteru najmniejszego, — i taki niech sobie kto co chce mówi, żadna polska kobieta by taką być nie potrafiła jak ta francuzica.

Najmniejszego serca — dla nikogo... a gdy była dla kogo dobrą, to pewnie tylko że sobie go pozyskać chciała.—Zresztą litości, miłosierdzia—uprzejmości ani śladu, a największe upodobanie ludzi czernić i narzekać że jej się działa nie sprawiedliwość, choć robiła co zamarzyła.

Prosta rzecz że u takiej kobiety, aby łaskę pozyskać trzeba było kłamać, padać, uwielbienie przed nią udawać, pochlebiać bezustanku. Cały fraucymer jej z tej nuty śpiewał. Królowała nad nim; filut Felisia, którą ona dla jej piękności lubiła, celowała w rozpędzaniu się około pani.

Napatrzyłem się tedy na samym wstępie komedji życia — które mi po rodzicielskim domu, po tem czem się młodość karmiła, poczwarną się wydała. O wyprawieniu mnie do Hetmana tym czasem mowy nie było. Ponieważ miałem się w co ustroić gładko, a prezentowałem się niezgorzej, więc Hetmanowa przy

karecie jeździć kazała i około domu chętnie się mną posługiwała. — Ale szczególnej łaski nie pozyskałem sobie.

Z Felisią zaś w której się zakochałem szalenie stosunek był osobliwy.

Naprzód żem wcale tego gatunku kobiet nieznał, myślałem że po prostu starając się podobać, nadskakując, miłość jej okazując — skłonię ją ku sobie. Rychnło jednak postrzegłem że ta w dobrej szkole wyuczona, nie łatwą była do rozmówiania. Chciała mnie mieć jako niewolnika, ale sama nie myślała wcale o mnie.

Tuszyła sobie że ze swą pięknością, przy protekcji Hetmanowej, która ją niemal jak własne dziecko pieściła — dla zabawki, gdyby pieska lub papugę — nadzwyczajny jakiś los zrobi. Wiedziała że i jej pani tyle tylko że ze starej szlacheckiej rodziny, ale uboga z pomocą królowej Maryi Ludwiki dobiła się bogactw i świetnych małżeństw.

Więc czem dla niej był taki pan Adam Polanowski, dworzanin pana Hetmana. Prezenta odemnie przyjmowała, posługiwała się chętnie, mrugnęła czasem oczkami — ale serce ani drgnęło.

O czem ja przekonawszy się wziąłem na kiel. Była druga dosyć przystojna i stateczna panienska przy Hetmanowej polka, panna Jagnieszka Skorobohata. Choć mi tak dalece w oko nie wpadła, nawróciłem do niej, a Felisi dałem na pozór pokój. A co mnie to łgarstwo kosztowało, Bogu wiadomo. Zaś najsmutniejsza rzecz, że Skorobohata, jak to nasze wszystkie poczciwe dziewczęta, afektowi memu uwierzywszy, poczęła mi dawać dowody że mi sprzyja.

Francuzka była zła, więc nuż szydzić ze mnie i z niej, i zabiegać abym się do niej powrócił.

Mówiła po polsku tak jak jej pani, to jest bardzo źle... — ale o to nie dbała, bo godziła na takiego małżonka coby pół francuzem był, jak i Sobieski, który po francuzku gdyby rodowity francuz szwargotał.

Przy pierwszej zręczności poczęła mi drwiąc winszować „konkiety“ odpowiedziałem jej lekko i niewdając się w dłuższą rozmowę, szedłem precz. Napadła mnie tedy powtórnie z innej beczki.

— Wacpan się gniewasz na mnie?

— Ja! a tożby za co? spytałem.

— Albo ja wiem odparła..

— A ja pannie Felicji zaręczyć mogę że ani się gniewam, ani też zbytnio o przyjaźń staram, bo wiem że jej nie dostanę.

— Dla czegoż?

— Panna Felicja wysoko patrzy a ja dla niej za małym jestem.

— Któż to powiedział panu?

— Są takie rzeczy że ich mówić nie potrzeba, same się w oczy rzucają.

Nadaśała się i poszła. Był tedy niby rozbrat między nami, ale uważałem że ją to nie pokoiło.. Nie zbliżałem się umyślnie, alem też nie unikał.

Najgorsza zaś że z serca, jak raz je zajęła, tak jej było nie wygnać...

Com wycierpiał — to tylko sam wiem, bom się chciał przezwyciężyć nadaremnie.

Jakby dla odetchnięcia i wypoczynku, nagle, gdym już sądził że w Warszawie na Hetmana czekać będę, kapryśna pani nasza, gdy ją coś tknęło, zawołać mnie

kazała i oznajmiła że z bardzo ważnemi listami mam jechać, Hetmana gonić, który gdzie się obracał — spełna niewiedziała — tylko że go koło Chocima szukać należało.

Jesień, plucha, drogi najgorsze... mnie więcej nad wyrostka i masztalerza brać z sobą nie godziło się — oddalenie znaczne, — wreszcie i Kozacy a Tatarowie na przesmykach... otóż co miałem przed sobą. Ale młodemu na to graj, a z ciężkiem sercem, właśnie najlepiej w taki wir...

Pokłoniłem się więc i ruszyłem gotować aby na-  
zajutrz na koń siaść, a było co robić, bo i konie kuć i węzélki wiązać i mój wóz i rzeczy bezpiecznie umieścić musiałem.

Szaniawski mi zadrościł, drudzy głowami kręcili, a byli i tacy co mi życzyli abym ino cały powrócił.

Z pannami nie było czasu się żegnać tylko z daleka. Hetmanowa, gdy raz postanowiła mnie wysłać, już się niecierpliwiła abym jednej godziny ruszał. Ekspedycja dla mnie gotową była.

Wyruszyłem tedy, mając zlecenie po drodze jeszcze w Jaworowie i we Lwowie pytać czy bym innych do Hetmana posłańców dla bezpieczeństwa nie mógł wyszukać, aby razem z niemi się przez niepewne szlaki przedzierać.

Pierwszy raz w życiu, niedoświadczony narażałem się na taką imprezę zuchwałą, która i daleko wprawniejszemu trudną by była — ale, właśnie to że mi doświadczenia brakło, żem niebezpieczeństw wielu nie przewidywał, czyniło mnie odważniejszym.

Znaczniejsza część podróży wypadła lepiej niż się

mogłem spodziewać — we Lwowie zaś istotnie znalazło się różnych posłańców, opóźnionych wojskowych, a nawet handlarzów, którzy się do obozu dostać chcieli, i ztąd już nie sam, ale w kilkanaście koni podążyłem dalej.

Chodziły pogłoski że Hetmana około Chocima szukać było potrzeba.

Król podówczas chory leżał już we Lwowie, gdzie go w samą wigilię zwycięstwa pod Chocimem, śmierć miała od żywota męczeńskiego wyswobodzić.

Podróż dalsza może bezpieczniejszą była z powodu że nas się większa zebrała gromadka, ale wyżywienie siebie i koni, pomieszczenie, często sam pochód bywał utrudniony przez to że zbieranina się znalazła ludzi różnego rodzaju i nadto zuchwałych i zbyt przezornych a tchórzliwych. Skończyło się na tem, że raz i drugi zmuszony się skłócić, musiałem samowolnie wziąć komendę nad całą kupą, zagroziwszy iż ich porzucę.

Szło potem rażniej, ale kraj ogłodzony, pusty, przewodników pewnych brak, głód, chłód, bieda dokuczyły.

Droga się przewlokła do zbytku, tak że gdyśmy już ku Chocimowi się zbliżyli, dostaliśmy języka iż Turków Hetman zbił okrutnie, rozproszył, nasiekl, że Hussejan Pasza salwował się w kilkanaście koni, łup wielki zabrano i t. p.

Z wielką więc otuchą, a weselem i już bezpiecznie podążaliśmy do obozu, ciągle się krzyżując z posłańcami Hetmana, którzy wiadomość o odniesionym tryumfie wieźli do kraju.

Razem z tem, wprzód jeszcze nimeśmy nadażyli



pod Chocim, dowiedzieliśmy i tej smutnej nowiny zarazem, że Hetman Pac, zaraz po odniesionem zwycięstwie, przy którym kooperował, nazad z Litwinami do domu odciągał, nie dając się namówić, aby z niego korzystać.

Ponieważ tryumf ów cały Hetmanowi naszemu słusznie przypisywano, bo Pac bitwy nie radził i w wigilją jej cofać się życzył — zazdrość i inwidja spowodowały iż Sobieskiego samego rzucał... Nie było bowiem wątpliwości że pozbawiony litewskich wojsk i on też na tem poprzestać będzie musiał...

Zastąłem Hetmana jeszcze rozgorączkowanego swem zwycięstwem, ale razem oburzonego na Paca.

W obozie wesołość, — pomimo złej pory, wszystkich szczęśliwych i sławiących Sobieskiego, który ojczyznę uratował. Już ani wątpiono teraz iż Kamieniec odzyskany zostanie.

Mnie, gdym się zjawił z listami od żony, Hetman tylko że nie uścisnął i nie całował, pytaniom nie było końca. Jak jejmość wyglądała, czy zdrowa była, czym Fanfanika widział i jak się hodował.

Nie dość było listów — zaledwie mnie od siebie odpuścił, już biegł Morawiec nazad wołając, — dla tych informacji. Najmniejszej rzeczy nie zapomniał, która się ukochanej Marysienki tyczyła. Musiałem więc opowiadać, kto bywał, czy z domu Hetmanowa wyjeżdżała i do kogo, czy się na służbę i wygody nie uskarżała, nawet czy piece stare w domu Daniłowiczów, dobrze izby ogrzewały.

Zwycięstwo odniesione i listy otrzymane, mimo ostrej pory roku, Sobieskiego można było powie-



dzieć, odmłodziły, choć się to na nogi, to na krzyże uskarżał.

Na Paca tylko i Paców wogóle pioruny ciskano, bo nie dosyć iż o mało Chocimskiego zwycięstwa swoim uporem nie wyrwał z rąk Sobieskiemu, ale wszystkie jego skutki, paraliżował odciągając — bez pytania samowolnie.

Dla mnie wszystko com tu w obozie i Chocimiu zastał, nowem było i ciekawem. Co tylko wojna z sobą przynosi tegom się napatrzył — i pijanych tryumfem a szczęśliwych i pokaleczonych okrutnie a bolejących, i pozabijanych w kwiecie wieku...

Łupu tureckiego też mogłem nakupić za bezcen, co wlażło, bo proste ciury najkosztowniejsze rzeczy w pół darmo dawali, napraszając się. W zdobytym zameczku, do którego się kupców siła schroniło, kupi różnej nabrano i rozerwano bardzo wiele; na żydach, ormianach i grekach.

Hetman właśnie był powrócił do obozu z wycieczki, którą przedsiębrał naprzeciw ciągnącemu Hussejnowi w pomoc Kapłanowi Baszy który zawczasu się o chocimskiej klęsce dowiedziawszy uszedł.

W czasie oddalenia się Sobieskiego, Pac z Litwinami odszedł, a tu ze Lwowa jeden poseł naprzód zaraz po mnie nadbiegł iż król bez nadziei życia, dogorywa, a drugi że zmarł.

Muszę tę sprawiedliwość oddać Hetmanowi iż, choć do króla Michała srogi żal miał za wyroki Gołąbskie, — przecież śmierć jego do serca wziął, i nad losem się litował.

Tu już dalej przeciwko turkom, po wyjściu Paca, po odkomenderowaniu Sieniawskiego Chorążego koron-

nego w pomoc Mołdawanom, nie było co poczynać. Trzeba było myśleć o zimowych kwaterach dla wojska na granicy, bo wiosna z sobą wojnę przynieść musiała.

Hetman też, który wobec turka tak dzielny był co umiał wojsko nicustannie się burzące i skłonne do związków utrzymać w ryzie, którego myśmy wszyscy i bali się i kochali, tak był stęskniony za jejmością, i niecierpliwy pośpieszenia pod słodkie jej jarzmo, że na łeb na szyję wszystkiem rozporządzał — zastępców dobierał, szukał ktoby go wyręczył, aby co prędzej do najukochańszej Marysienki się dostać.

Jak tylko wojsko się rozłożyło, — Hetman już po konwokacji puścił się w podróż dla spotkania z żoną, pilno mu tak było, iż prosił ją aby naprzeciw do Lwowa wyjechała, — bo go ani elekcja, ani publiczne sprawy nie obchodziły w części nawet tak gorąco jak połączenie się z żoną, za którą gdyby młokos tęsknił, rozpadał się, o niczem nie myślał tylko o niej.

Miałem tedy przed oczyma obraz passyi jakiej dotąd nie tylko nie widział, alem się nie domyślał aby człowiek mógł być nią do tego stopnia opętany. Choć połowy objawów tej namiętności widzieć nie mogłem — była ona tak w oczy bijąca, że ślepy by chyba poddaństwa pana Hetmana nie dojrzał.

Jejmość czyniła z nim co chciała.

Rozumem, nauką, charakterem wszystkiemi przymiotami stokroć ją przewyższał, tymczasem ona królowała, rozkazywała, a on stawał się przy niej najniższym sługą i ślepyim rozkazów wykonawcą.

Placiła mu za to, żał się Boże, prawie ciągle kwaśną minką, wymówkami, złym humorem, bo jej nigdy

nie było dosyć na niczem. Hetman bez ograniczenia we wszystkim jej słuchał, — tylko gdy o wojsko szło i obowiązki względem rzeczypospolitej — wymykał się i głuchym czynił.

Na konwokację, jakem pisał, Hetman stawić się nie mógł, bo wojsku liberny obmyślać musiał, rozkładać je na granicach i na oku trzymać. Dopiero na sejm elekcyjny podążyliśmy wielkim dworem ale wojska z sobą nie prowadząc tak gromadnie jak drudzy, także ostatniego kwietnia ostatni też był nocleg przed Warszawą.

Jaka była miłość wielka i nadzieje w Hetmanie pokładane przekonać się mieliśmy zręczność po całej drodze niemal, bo go ciągle spotykano, wyjeżdżano naprzeciw, a orszak się nas co godzina powiększał. Na ostatku, nie licząc pomniejszych mieliśmy z sobą Aleksandra Lubomirskiego wojewodę Kochańskiego, i Stanisława Jabłonowskiego wojewodę ruskiego, obu przyjaciół wiernych...

Zwycięzcę Chocimskiego wszyscy witali jako wybawcę i przyszłego rzeczypospolitej oswobodziciela, Senatorów mnóstwo, szlachty całe gromady stały przypatrząc się uroczystemu wjazdowi Hetmana, który też wystąpił bardzo pańsko...

Wojska nie było wiele, trochę pancernych i regiment dragonów, ale więźniowie tureccy, janczarowie z muzyką swą osobliwą, potem sam pan z łukiem na ramieniu, z tarczą złotą — piękny choć malować — tylko mu na skroń laur włożyć — oczy rwali.

Zajechaliśmy do pałacu Kazimirowskiego, który dla Hetmana był wyznaczony i gdzie ona też mogła się wygodnie pomieścić.

Pan Bóg to wiedzieć raczy, azali naówczas w początku Sejmu, powstało w czyjej myśli aby Hetmana królem wybrać. Jeżeli kto się z tem już nosił ukrywając, to chyba jedna Hetmanowa, a ta jeśli się komu zwierzyła, tylko Jabłonowskiemu, z którym się często na osobności po cichu naradzała, przed mężem tając z temi konszachtami.

W Warszawie zastaliśmy wszystkich rozgorączkowanych, Paców zabiegających i intrygujących z królową wdową... z prymasem... jednych z Kondeuszem, drugich za Neuburgskim, innych za Lotaryngskim, który miał Eleonorę zaślubić, chociaż ta gotową była i za francuza wybranego wyswatać się byle się przy koronie utrzymać.

Zgiełk, ruch, wrzawa, a Litwa z koroną, możne dwory między sobą w ciągłych waśniach bij, zabij. Nie było dnia żeby trupów kilkudziesięciu po ulicach i na drogach nie zwleczono.

Hetman jak był ustrojony paradnie, musiał w prost nie na swą kwaterę jechać, ale naprzód do dworu księcia Michała Radziwiłła Hetmana polnego, który na przyjęcie jego się wspaniale przygotował i ugościł. Sławiono w nim zwycięzcę, ale najmniejszego nie było znaku aby go na tron wynieść zamysłano.. Gdzie się człowiek posunął tylko o Neuburgu, Kondeuszu i Lotaryngskim słyhać było.

Ja naówczas, jako młodzik, więcej się tą nielitościwą a płochą Felisią zajmowałem niż polityką i elekcją, ale o uszy mi się ciągle coś obijało, bo drudzy o niczem nie mówili tylko o niej, więc w ostatku i we mnie się ciekawość rozbudziła.

To dobrze pamiętam, że w pierwszych dniach po

przybyciu naszym do Warszawy, chociaż Hetmana z weneracją wielką przyjmowano wszędzie, i on tu obok Prymasa najpierwszym był — wszelako nikomu na myśl nie przychodziło, drugi raz Piasta wybierać, gdy się na jednym sparzono. Wiedzano też i znano że Sobieski francuza popierać przyrzekł.

Jednakże coś musieli Pacowie przewąchać, albo się obawiali niespodzianki bo puszczo no szmermel, aby naprzód Piasta ekskludować; choć się żaden kandydat nie stawiał. Byłoby może do tego przyszło, ale co godzina nowy niepokój nowe myśli sprowadzał.

Nigdy podobno tylu kandydatów do tej nieszczęśliwej korony Polskiej się nie zgłaszało, co teraz, gdy ona zewsząd zagrożoną była...

Nie notowałem sobie podówczas, ale się dla żartu nauczyłem na pamięć litanij którą jakiś żartowniś, jowjalista ułożył z imion kandydatów.. Zabawiano się nią na Woli... powtarzając i przepisując, chociaż większej części książąt tych nikt nie znał i ledwie kto popierał.. Dwóch tylko znaczniejszą liczbę popleczników miało.

Snadź już tę koronę za tak łatwą do zagarnięcia poczytywano, że po nią było tylko rękę wyciągnąć.

Stali w owej Litanij, o ile ja sobie przypomnieć mogę, Tomasz Sabandzki książę, którego tu żywy człek nie znał, drugim książę Modeny, a o tym wiedzano tyle iż dobry katolik był, Jerzy królewicz duński już przez to podejrzany że luter; tak samo jak syn Elektora brandenburgskiego. O tych obu ani Nuncjusz ani duchowieństwo słuchać nie chciało, a panowie dysydenci tej siły nie mieli ażeby ich sami wybrali, — za temi szli francuzki Verdome, idem Konde-

usz, hrabia Swessjonu, jakiś książę bawarski, Jakób książę Yorku brat króla angielskiego, Don Juan austriacki syn Filipa III, z nieprawego łoża (co szlachtę w passję wprawiało, bo u nas do cechu bękartów nie przyjmują), na ostatku jeszcze byli: syn Cara Moskiewskiego Aleksego, książę Siedmiogrodzki, no i ów Neuburg i Lotaryński, Papież zaś miał ochotę forytować księcia Alfieri, tylko mu Nuncjusz odradził.

Było więc w czem wybierać, do Piasta się niepotrzebując uciekać.

Ta mnogość kandydatów, właśnie naówczas gdy pośpiech i zgoda były najpotrzebniejsze, jednych do rozpacz przyprowadzały, w drugich pusty śmiech budziły, bo połowy ich nikt poważnie za pretendentów przyjąć nie mógł i na żart niemal wyglądało iż ich imiona na wierzch wypływały właśnie gdy termin elekcji wyznaczony był krótki, czasu na rozpusty wcale nie mało zostawało, turek zagrażał, a o obronie myśleć było potrzeba *ante omnia*.

Przyszło do tego iż panowie Senatorowie duchowni, zestraszeni tą ewentualnością iż elekcja zwlec się może, nakazali na tę intencję czterdziestogodzinne nabożeństwo, z wystawieniem przenajświętszego Sakramentu po wszystkich kościołach, aby pan Bóg umysły do zgody i jedności nakłonić raczył.

Nam się wszystkim naówczas zdawało, jakoby Neuburgski lub Lotaryński niezawodnie otrzymać musiał, a u nas tylko o pierwszym z nich lub Kondeuszu mówiono, oczekując co poseł francuzki z sobą przyniesie który z przyjazdem się opóźnił; na co pani Hetmanowa szczególniej się żaliła.

Być bardzo może, o ile ja sobie po latach tylu

przypomnieć umiem i kombinuję dziś, *post testum*, że Hetmanowa potajemnie, ewentualnie elekcję meżowską na myśli miała, nikomu się tego, oprócz wojewody ruskiego nie zwierzając. — Było to jednak tak przysłonięte, zakryte iż się tego nikt nie domyślał.. Rachowano na to iż w ostatniej godzinie i gdy głosy rozbite zostaną, a Elekcja pilną będzie — wszyscy zgadzają się na zwycięzcę turków.

Składało się po myśli. Przybył od Wołochów poseł w imieniu turka ofiarujący pokój i zwolnienie z haraczu, byleby go w posiadaniu Kamieńca spokojnem zostawiono. Ale po Chocimskim pogromie, nikt słuchać nie chciał takich ofert.

Zaraz potem znać dano od granicy że Kaplan Basza ciągnie pod Chocim, że na Jassy turycy napaść zamierzają, Soczawę chcą zdobyć, że Tatarowie już na Pokuciu plondrują — że Sułtan się z tem odzywa iż polacy bez jego zezwolenia króla wybierać nie mogą... wszystko to tak umysły podburzało, iż na gwałt chcia-no Elekcję przyspieszyć aby rzeczpospolita dłużej bez głowy nie pozostała.

Ale nim by do wyboru przystąpiono, szlachta była tak nerwowa, tak różnie myśląca, a panowie tak zazdrośni o siebie i swe stanowiska i zgoda zdawała niepodobieństwem.

Pacowie tymczasem, jakby przecuciem jakim, wraz z adherentami swemi w Litwie i koronie, poczęli, jakom mówił, naglić aby naprzód Piasta wyłączyć.

Mówiło to za niemi, iż z Michałem wszystkie kłęski na Polskę spadły powtarzano więc — *non bis in idem*.



Byłoby do ekluzij przyszło może, ale się wielkopoleanie rozmyślili, lub im kto podszeptał żeby się z tem nie spieszyć — i zażądano od nich aby wprzód wszystkich kandydatów pod pręgierz postawić i przedyskutować ich zalety i defekta...

Tak tymczasem Piastowi została otwarta brama, chociaż żaden się nie ukazał, co by nią ohotnie miał wjechać, a dawni kandydaci, Kondeusz, Neuburg, Lotaryngski byli we wszystkich ustach i — kieszeniach — Pacowie Sobieskiego nienawidząc, ponieważ on francuz był — jak naówczas się wyrażano, do obozu Cesarskiego się zaciągnęli.

Z wymienionych w litanji kandydatów, duńskiego i brandeburskiego, przeciwko którym Nuncjusz w imieniu Papieża się oświadczył, nie przypuszczono nawet do zalecenia się.

Jeszcze to teraz powtórzę, iż ja com przy dworze Hetmana był, patrzył, słuchał, a choć młody, ciekawie chwycił wszystko, nie dostrzegłem ani najmniejszej oznaki ażeby Sobieski myślał o koronie dla siebie.

Do ostatniego momentu nic nie transpirowało.

Po za szopą co się działo — trudno to opisać i dosyć że bójki i strzelania codzienne, nawet po ulicach. Na Woli zaś posłów cudzoziemskich, poznawszy od Nuncjusza i Cesarskiego słuchano, potem pomniejszych Francuzki się spóźniał i nie było go, na co u nas narzekano; tak że dopiero piętnastego Maja nadażył, gdy już nie wiele mógł zrobić, bo termin Elekcji był za pasem.

Przypisywano mu później że on Hetmanowi dopomógł do korony, ale na to czasu nie miał, a mnie



się zdaje i instrukcji. Gdy się elekcja dokonała, wołał pewnie Sobieskiego niż kandydata cesarskiego lub innego, któregoby musiał zyskiwać, — a ten duszą i ciałem francuz był. I po przybyciu swem, pierwszego niemal biskup Forbin odwiedził Hetmana i żonę jego.

Mówilem już co się na mieście działo... gdzie władza marszałkowska nie była zdolną porządku utrzymać i często przez szpary patrzeć musiała, na bijatyki i kłótnie. Jedną z najznacniejszych była pomiędzy czeladzią i dworem księcia Konstantego Wiśniowieckiego, brata Dymitra, którego ludzie zajęli kwatery, wprzód pono przez litwinów zamówione.

Litwa bojownicza na miejsce przybywszy i dwory zastając zajęte, jęła się siłą i gwałtem Wiśniowieckich rugować, ci też za broń chwycili, i czoło im stawili, a bój się i walka wszczęła tak zjadła i krwawa, że zabitych z obu stron kilkunastu liczono, a rannych dwakroć tyle...

Rozerwano ich potem i zmuszono do uspokojenia — ale sprawa, inkwizycje i godzenie trwało dni kilka, które marnie strawiono dla tej waśni.

Przez cały ten czas my z pocziwym Szaniawskim razem przy osobie Hetmana zostawaliśmy. Widywaliśmy go w domu i w polu, między Senatorami i pośród przyjaciół, a nikomu z nas w myśli nie powstało przysięgłego króla w nim przeczuwać, tak spokojnym był, pogodnego oblicza, wesołym nawet... czy że dysymulować umiał doskonale albo w istocie nie myślał o koronie.

Przy stole, z gośćmi jeśli mówił to o Turkach, Chocimie, Soczawie, Kamieńcu i pilnej potrzebie cią-

gnięcia na nieprzyjaciela, dopóki by się go większe kupy nie zgromadziły i pozycij, nie zajęły mocniejszych.

Honory mu czyniono wielkie — ale te Hetmanowi należały, a jako zwycięzca, który traktaty Buczackie poszarpał, zasługiwał na nie.

Od niego też jednego odzyskania Kamieńca, odparcia Turków się spodziewano...

Wszyscy go jako tryumfatora na ręku nosili, co w Pacach tem większy gniew i zazdrość obudzało, bo było zarazem wymówką przeciw nim, którzy poniewoli tylko bili się pod Chocimem, a zaraz potem precz do domów pociągnęli, i niedali ze zwycięztwa korzystać. Sobieski im to głośno wyrzucał, a nie mieli się czem tłumaczyć.

Zazdrość była jawna, prywatna brzydka. Jabłonowski, Lubomirski, wojsko całe wynosiło Hetmana, gdy ich nawet obronić nie było komu. Ztąd złość niewypowiedziana...

Na placu elekcyjnym unikano się wzajemnie, Pacowie świeccy i duchowni, dwu biskupów, kanclerz, hetman chodzili osobną gromadą. Patrzano na siebie z ukosa...

Na Litwie dosyć silni Pacowie przecież mieli i tam przeciwko sobie Sapiehów, z którymi Hetman stał dobrze i Radziwiłłów, — z którymi był spokrewniony przez siostrę. Siły więc nierówne były, lecz na warcholenie i zawichrzenie Paców stało.

Królowej wdowie Hetman należne uszanowanie okazywał, ale ona wiedziała dobrze iż go sobie pozyskać nie może, a samą Hetmanową nienawidziła... Trudno też było dla królowej wielki szacunek mieć,

przypominając jak z królem nieboszczykiem żyła, jak teraz intrygowwała, gotowa się sprzedać za koronę choć serce Lotaryngskiemu oddała.

Biskup marsylski Forbin, który tak bardzo się opóźnił z przybyciem, natychmiast wszedł z Hetmanem w stosunki ścisłe — ale żeby go miał popierać, lub z myślą tą jechać — nie może być. — Wiele zaś pomódz nie mógł, bo sam tu miru nie miał. Znajomych nawet ludzi, ani stosunków, a polecony był z Paryża, Hetmanowej i Sobieskiemu.

Wszyscy o pośpiech wołali i nie było dnia, żeby goniec nie nadbiegł od kresów naglający o obronę — *Periculum in mora*, wołano jednym głosem, a tu Neuburg i Lotaryngski tak stali, że gdyby na nich głosowano, na dwie prawie równe części podzieliłyby się wota, i zgoda nie możliwą była, bo żaden nie myślał ustąpić.

W ostatku szukając takiego na którego by się wszyscy zgodzić mogli, stawiono ks. Modeny, jako dobrego katolika, ale tego nikt nie znał i nie go zresztą nie zalecało. — Zaledwie o nim mówić poczęto, gdy ponownie wiadomość przyniesiono, że Tatarzy na Pokuciu plądrują.

Hetman a razem Marszałek, w ciągu ostatnich dni gdy już terminznaczony dla Elekcji upływał, niezmieennie był czynny ze swego urzędu marszałkowskiego, a gdy pod szopą do zbytku się zawieruszyło, stukając laską o ziemię dwa razy ją połamał...

My z Szaniawskim, gdy wchodził umieliśmy się wcisnąć pod szopę, i staliśmy słuchając u drzwi. Tak się nam też dostało jego przemówienie, to jest votum usłyszeć...

Z początku dosyć nieśmiało i cicho odezwał się z tem że Polsce potrzeba nie takiego wodza i króla, któryby się dopiero uczyć musiał, ale doświadczonego i dojrzałego; potem coraz głośniej i wymowniej za królem — żołnierzem przemawiając, — wotował za Konduszem...

Krótkie to przemówienie ogromne uczyniło wrażenie. Pomieszali się wszyscy, rozbity obóz francuzki na nowo się około tego imienia zjednoczył, — tylko Pacowie, nie chcieli go dopuścić.

Ze wszystkich stron ich adherenci nosić się z tem poczęli że Kondusz znanym bezbożnikiem był, z kalwinem Radziwillem poufale przestawał, w piątki z mięsem jadał, z obrzędów religijnych się naśmiewał — a Ludwik król dla tego forytował go do Polski, aby się pozbyć z Franeji.

Pomiędzy tymi co Kondusza chcieli a Pacami i rakuskiemi stronnikami, w tych dniach do takiego rozdrażnienia przyszło iż można się było krwi przelewu obawiać.

My, jak w tęczę patrzyliśmy na naszego pana, ale ten tak był spokojnym a na oko chłodnym, jakby się niczego nie obawiał, gdy z przeciwnej strony po Pacach poznać było można iż w nich wrzało i kipiało.

Królowa wdowa, której zastępca Prymasa pomagał — trzymała dotąd za Lotaryngskim, który niemiął żadnej nadziei aby go wybrano... Pacowie szli z nią. Powiadano że do niej wysyłano poselstwo, ale to z niczem powróciło... Hetman i kanclerz litewski spodziewali się jeszcze Lotaryngskiego przeprowadzić,

w najgorszym razie Neuburga — o Kondeuszu zaś ani słuchać nie chcieli.

Dano znać naszemu panu w porę że Pacowie ze swym kandydatem do koła pojechali... gdy po ogrodzie Kazimirowskiego pałacu z francuzkim posłem się przechadzał. Słyszałem jak się odezwał do biskupa.

— Bądźcie spokojni, ja też jadę do Koła, rakuśzanina nie dopuścimy nigdy.

Siadł zaraz na koń i popędziliśmy na Wolę.

Nigdy miasta jeszcze nie widział w takim pośpóchu jak dnia tego, sklepy zamykano, w niektórych domach też wrota stały zaparte, żydzi się wynosili — kupy zbrojne zewsząd zdążały na Wolę, zdawało się że przyjdzie do starcia i krwi rozlewu,

Gdyśmy z Hetmanem i niewielką garścią przybyli pod Szope, ruch między Litwą wszczął się taki, jak gdyby na raz i na naszych rzucić się chciała. Ale biskup Tzebicki zaintonował *Veni Creator* — i wszyscy musieli mu wtórować, a przez ten czas i poostygali nieco, rozważywszy co z rozruchu wyrosnąć może.

Natychmiast potem Województwa się rozdzielać poczęły i stawać pod chorągwiami, a Hetman przy ruskim się umieścił... obok przyjaciela swego Jabłonowskiego. — To była godzina rozstrzygająca i myślę że na nią Wojewoda liczył...

Podniósł tedy głos bardzo śmiało i wymownie, a nadewszystko gorąco, tak że i słuchającym serca się rozgrzały...

O Neuburgu mowy być nie może — mówił, Lotaryński rakuskim jest kandydatem, niechcemy go... ja głosuję przeciw... — Przeciwno mianowaniu Kondeu-

sza nie miałbym nie do nadmienienia, ale Kondeusz starym jest i zmęczonym, a nam potrzeba dzielnego i w sile wieku wodza... Kondeusz nie zna ani kraju, ani wojen naszych. — I po cóż bohatera tego szukać mamy za granicami naszymi, a do cudzych uciekać się Bogów, gdy w swoim gnieździe mamy jedyne go człowieka, wodza który już dowody dał męstwa, rozumu i dzielności.

Przerwano mu wołaniem — *Piast! Piast!...*

Jabłonowski coraz goręcej ciągnął dalej zalecając już Sobieskiego... i przypominając zwycięzkie jego bitwy, Słobodyszcze, Pohayce, Chocim...

Ledwie mu dokończyć dano, tak wszyscy jednocześnie wołać zaczęli...

— *Vivat Piast, Vivat Joannes!*

Patrzyłem się na niego, gdy się to działo — pobladł nieco, ale wnet odzyskał spokój i panowanie nad sobą. Prosił o głos... i odezwał się za Kondeuszem... dla aljansów i opieki mocarstw obcych — których Piast za sobą mieć nie mógł.

Ale przerwał mu kasztelan lwowski poważny mąż, i krótkie przemówienie zakończył.

— Palec w tem Boży widzę, wotuje za Sobieskim.

Za nim już jednym chórem zgodnym wołać zaczęto okrzykując go, Aleksander Lubomirski w Krakowskiem, Czarnecki z Podlasiem, dalej województwa już wszystkie, a nawet wielka część Litwy Sapieżyńskiej i Radziwiłłowskiej — tylko Pacowie pociągawszy z sobą dwu Wiśniowieckich — krzyczeli za Lotaryngskim i królową Eleonorą, ale ani ich słyszeć było, ani słuchać chciano... — Znalazłszy się

w bardzo szczupłej kupce, bo jeszcze im odpadło dużo w samym ostatku... utonęli prawie z uporem swoim nadaremnym.

Wszystkie te mowy, krzyki, radosne nawoływania się — spory, zabrały czasu do wieczora... Mrok padał już gdy Jabłonowski z Lubomirskim na biskupa Krakowskiego nalegać poczęli, aby okrzyknął króla, którego jednogłośnie obrano...

Tymczasem Sobieski obejrzawszy się postrzegł że Pacowie wszyscy z Wiśniowieckimi i wierną sobie Litwą z placu zjechali, nie bez celu...

Zabrał zaraz głos, i oświadczył że z urzędu swego marszałkowskiego, obowiązany będąc do strzeżenia aby się prawu zadość działo, na ono ogłoszenie zgodzić się nie może, dopóki Litwa i ci co opór stawili, nie zostaną pozyskani... — Gdyby innej opozycji nie było, dokończył podnosząc głos—ja *veto* moje stawiam i niedopuszczę...

Za czem, gdy już mrok padał co raz gęstszy, wszyscy się z pola rozjeżdżać zaczęli, ale Hetmanowi towarzyszył orszak ogromny z okrzykami, a wszyscy go, mimo wzdrygania się jego, królem już zwali.

W kazimierzowskim pałacu, Hetmanowa już przez biskupa marsylskiego uwiadomiona o wszystkim i pierwszy raz... Najjaśniejszą panią utytułowana, dowiedziawszy się że mąż nie dopuścił okrzyknięcia i z powodu Paców wszystko zwłókl, narażając elekcję swą na nieprzewidziane zmiany, — przyjęła go gniewem i wyrzutami.

Nie pochwalę się abym tam był, na to patrzył i słuchał, ale wiem z najlepszego źródła że między małżeństwem wszczął się spór żwawy i niemal kłó-



tnia. Wpadła Hetmanowa z gwałtownością wielką na niego, wyrzucając mu że siebie, ją i przyszłość dzieci, jakiejs fantazij poświęcał... Słuchał dosyć zimny, z początku mężnie się opierając.

Powtarzały panny, które u drzwi słuchały, całą tę między małżeństwem rozprawę, w której i łez i gniewu i pogróżek zażywała Hetmanowa, a ci co znali ją i jego wiedzieli dobrze na czém się to skończyć musi, i że Sobieski w ostatku znużony, przeciwko przekonaniu ulegnie...

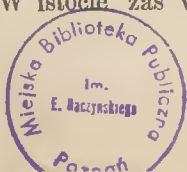
Tym czasem jednak zakończyło się pono tem iż Hetman powiedzieć miał do żony.

— Nie chcę aby mnie Pacowie tak na tortury brali, jak Prażmowski i my wszyscy mężczyźni tego nieszczęśliwego Michała... — Pomsty Bożej się lękam, Paców znam, niechcę ich mieć przeciw sobie, życie nam zatrują. — Wyboru ani korony nie przyjmę, jeżeli się oni nie zgodzą...

Przez calutenką noc, ani Hetman, ani żona szczególnie nie udała się na spoczynek, nawet chwilowy...

Przybiegali posłańcy z doniesieniami, wyprawiano listy, wszyscy byli na nogach, tak samo u nas jak na zamku, w klasztorze OO. Jezuitów, u Bernardynów i t. p. Pacowie na Pragę się cofnawszy, tam obozem rozkładali, a słyhać było że z wieczora jeszcze przeciwko Elekcij protest do Akt w imieniu Litwy zapisali...

Mnie dopiero później na to wszystko otworzyły się oczy—bo naówczas patrząc co się działo, wiedziałem tylko iż się panowie rozgorączkowrywali, gniewali, występowali, — ałem sprężyn tych machinacj nie dopatrzył. W istocie zaś wojna to była, pomię-





dzy Kanclerzyną Pacową, z królem francuzkim spokrewnioną, dumną i ambitną jak Hetmanowa, a nią, która po Maryi Ludwice energję jeśli nie rozum i przebiegłość odziedziczyła.

Dodawszy do tego królowę Eleonorę, która Prymasem i obozem rakuskim władała i nim się posługiwała, — choć mężczyźni walczyli z sobą, — wojna była kobieca...

Jam też tej nocy dla mnie pamiętnej, nie wyszedł bez szwanku...

Posłano mnie do pana Wojewody Krakowskiego z kartką, od którego powracając, wstąpiłem do winiarni francuzkiej, w której świeciło się, bom i głodny był i spragniony.

Tu ledwie się do kubka docisnąć było można, taki tłok i gąszcz ciasne izdebki napelniała.

Jeszcze po winie gęby nie otarł, słyszę za sobą, na stole stojącego oratora, który wrzeszczy w niebogłosy...

— Co wy mi Hetmana Sobieskiego zalecacie? Sławicie jego zwycięztwa, albo to światu nie wiadomo z kąd jego moc i bogactwa pochodzą? Od wszystkich brał, gdzie tylko urwać było można... Płacili mu Turcy, płacił Neuburg, sypał Kondeusz... albo to nie cudowna rzecz, że gdy mu kto zawadzał, to go nagle choroba sprzątała... Zapytajcie z czego zmarł król Michał i kto mu upiekł tę cyranke, która go zadławiła? kto sprzątnął Prymasa, gdy niewygodnym stać się mógł...

Mnie słuchając krew buchnęła do głowy... i drżącą ręką szabli dobywszy, z krzykiem się rzuciłem na

stojącego a perorującego ze stołu szlachcica, któremu na ziemię ściągnął...

W izbie ciasnota była wielka, ludzisków różnych kupa, jedni za mną, drudzy za obalonym stawać poczęli... Ja już spełna nie wiedziałem ani co czynię, ani na co się ważę i ledwie się podniósł z ziemi orator, z szablą na niego wpadłem.

— Bij się, szelmo!!

Zaczęto nas rozrywać nadaremnie, bo mną taka złość miotała, taka jakaś siła wstąpiła we mnie, żem się i dziesięciu nie dał, a Litwina Suszkę, który tak przeciw Hetmanowi bluźnił, po łbie raz i drugi ciąwszy, — byłbym dobił, gdyby mnie gwałtem nie oderwano od niego...

Nie czułem tego nawet że sam też cięty w ramię ranny byłem i nie opamiętałem się aż w ulicy, bo mnie poznawszy niektórzy uprowadzili poniewoli właśnie gdy się litwa mścić za Suszkę zabierała...

Tum się dopiero obejrzał że mi ciepło w rękawie, ale że ręką władać mogłem — nicem sobie z tego nie czynił, i ledwie chustką zawiązawszy, pospieszyłem do kazimierowskiego pałacu...

Alem już do Hetmana samego z odpowiedzią pana Wojewody nie mógł dostąpić, bo przy świetle się okazało żem cały był krwią własną i ranionego umazany, a we łbie mi się też kręciło i padłem na łóżko jak martwy.

Dopiero nierychło, gdy Hetmana Felczer żyd nadszedł zawołany i ranę opatrzył a mnie orzeźwił, do zmysłów przyszedłem...

Tłumaczyć się z tego co się stało niepotrzebowałem, bo Michałowski, dworzanin też Sobieskiego

świadkiem był w winiarni całego zajścia i powodu jaki miałem, ujmując się za cześć pana.

A choć tej nocy zasnąć prawie czasu nie miał, przyszedł Hetman sam do mnie.

— Bóg zapłać, Polanowski, rzekł pochyliwszy się nademną — ale powinieś wiedzieć że psie głosy nie idą pod niebiosy, a w takiej kupie ludzi nie porywać się jednemu z szablą... Łaska Boża że cię nie rozsiekali.

Na co ja mdłym głosem odparłem.

— Człowiek niepocziwej potwarzy słuchając pomiarkowania niema...

A Hetman uśmiechając się, bo już mu spieszo było — odparł tylko.

— Janasz powiada że was rychło wykuruje, tym czasem leżeć spokojnie...

Rad nie rad w tej godzinie, 'gdy mi najgoręcej się chciało, patrzeć i słuchać zamknięty w dusznej izbie, przykuty do łóżka męczyć się musiałem i polewką mnie karmiono, a wściekły głód męczył...

Szaniawski mi wiadomości wszelkie do poduszki przynosił...

— Nie stało by nas wszystkich ilu jest przy Hetmanie,—powiedział—gdybyśmy za francuzką się ujmować chcieli... On jak on, ale ona się ma z pyszna, aż uszy więdną. Odgrają się że choćby królem obrany został, co pewno nastąpić musi — jej koronować nie dopuszczą...

Ale o tem ja i wszyscy wiedzieli zdawna, że krom rozkochanego w sobie małżonka, Wojewody ruskiego, którego sobie starała się pozyskać, kilku osób do ro-

dziny należących, miłości nie miała u nikogo, ani się też ją pozyskać starała.

Zrażała dumą, mało powiedzieć królewską — bo się za bóstwo jakieś miała, a czci dla siebie wymagała nadzwyczajnej. Rzadko ją widzieć było można z wypogodzonym obliczem, rzadziej jeszcze od niej dobre słowo posłyszeć. Jak się czasem z mężem obchodziła, któremu wszystko była winna, choć się jej zdawało, że on jej wszystko zawdzięczał o tem tylko my domownicy wiedzieliśmy.

Hetman to wszystko z niewymowną łagodnością i słodyczą znosił.

My, obcy nie obdarzeni taką świętą cierpliwością jak on i nie wdrożeni do ulegania, nieraz patrząc i słuchając zaciskaliśmy pięście mruczając — Aj dałbym ja ci dał!

Od Szaniawskiego tedy wiedziałem jak Hetmanowa, nie zważając na to co mąż mówił i zamierzał niesłuchanie była czynną z jednej strony, z drugiej Pacowa i królowa — i co na nie wszystkie wygadywano, szczególnie na piękną Hetmanowę, której faworom dla wojewody ruskiego przypisywano że on za Sobieskim głos podniósł.

Oprócz niego Aleksander Lubomirski i książę Michał Radziwiłł i wielu innych elekcją Sobieskiego gorąco popierali pomiędzy senatorami, bo u szlachty i tak miał mir wielki, jako dzielny żołnierz i dowódzca.

Pani Hetmanowa zaś obietnice przyszłych łask w rozdawnictwie wakansów nie szczędziła i oprócz tego samej rzeczypospolitej chciała od męża więcej pono przyrzekać, niż to na co fortuna jego starczyć mogła.

Gdyby nie Szaniawski, który o mnie pamiętał, następnego dnia bym był mógł z głodu zdechnąć i wszyscy by o mnie zapomnieli takie było w pałacu zamieszanie, latanina, niepokój, — przybywanie ciągle gości rozsyłanie na wszystkie strony taka jeszcze, pomimo wyboru, niepewność co z niego wyniknie.

Hetman król wszystko to z wielkim znosił spokojem, ale co się z nią działo i że przeżyła tę gorączkę — ludzie się wydziwić nie mogli, bo na przemiany to się radowała to desperowała, odgrażając że się z Polski wyniesie, że znać jej niechce, jeżeli dozna sromoty... — Do biskupa Krakowskiego, do wojewody ruskiego, biegały a biegały posły.

Pacowie tym czasem na Pradze osobnym obozem stojąc obliczali się ze swojemi siłami, ale te okazały się za szczupłe aby mogli wydać wojnę. Wdał się w pośrednictwo marszałek Połubiński, jeden z Ogińskich. Pozyskano biskupa Wileńskiego, — i w końcu mięknać poczęli, choć Kanclerzyna upokorzona — rozpaczała..

Już tego dnia by był biskup rad nie rad, mimo nalegań i prośb królowej wdowy ogłosił Jana królem, ale Sobieski wbrew żonie, wbrew wszystkim oświadczył iż korony inaczej nie przyjmie tylko jednogłosnie i zgodnie ofiarowanej, — *nemine contradicente*, jak prawo chciało..

Nie powątpiewano już tej nocy że nazajutrz okrzyknięty zostanie królem i Szaniawski mi relację z tego zdał że w mieście i na Woli radość, ogień, strzelania i śpiewania, a pijatyka aż do rana bywały.

W pałacu znowu mało kto mógł zmrużyć oko, bo

spokoju nie było ani w kuchni, ani w stajniach ani na pokojach. Hetman tylko nad ranem poszedł do łóżka, gdy sama ona listy dyktowała i rozsyłała.

Tu mi się godzi wspomnieć o moich nieszczęśliwych z panną Felisią stosunkach. Jużem ją znał, i każdego dnia lepiej, wiedziałem że płochą była a wedle wzoru pani swej i opiekunki postępowała we wszystkim, ale na co człowiekowi rozum się zdał, gdy nim passja owładnie.

Wszyscyśmy z królewskiej powolności dla żony szydzili, a jam słowo w słowo takim był dla tej dziewczyny jak on dla swej Marysienki. Robiła ze mną co chciała, z nieba mnie do piekieł strącając i z otchłani dzwigając jednym paluszka poruszeniem.

Nie wiele ją to kosztowało, tak słabym byłem dla niej.

Dopóki nie się jej lepszego nie stręczyło, bywałem i ja dla niej dobry, uśmiechała się, — podarki przyjmowała, rączki do pocałowania nie broniła — a no trafił się ktoś pokażniejszy a spojrzał na nią i okazał jej że mu obojętną nie była, szedłem w kąć i znać mnie nie chciała.

Naówczas poprzysięgłem sobie iż nie spojrzę na nią nawet i zbliżałem się do Skorobohatej, która była dobrego serca dziewczęciem, szczerze mi sprzyjającym.

U Felisi nie trwało nic — po mnie raz wstąpił w łaskach niejaki Bartkowski herbu Świnka, którego my całą Świnia przezywaliśmy, bo otyły był i ciężki, ale za bogatego uchodził. Ojciec jego starostwo miał i za króla Michała dla syna prawo następstwa sobie wyrobił, *jus communicativum*.

Zawsze więc już jam mu nie mógł sprostać.

Ten pono nie długo w jej sercu gościł, jeżeli tę gospodę sercem się zwać godziło.

Nastreczył się przy Jabłonowskim będący młody i ładny chłopak, wojskowo służący Kostecki — który oszalał niemal dla niej..

Na mnie więc ani patrzeć nie chciała, ale za razem francuz inżynier świeżo z Francji przybyły zjawił się na naszym dworze i przylgnął do niej.

Kostecki się o tem dowiedziawszy że panna z nim po ogrodzie przy pałacu, który rozległy był i bardzo piękny, wieczorami sam na sam długie odbywa przechadzki — odstręczył się i porzucił. Francuza Hetman wyprawił do zameczków, które chciał mocniej opatrzyć, Bartkowskiego też gdzieś nie stało, — mogła przyjść znowu kolej na mnie.

A było to właśnie pod ten czas gdy leżałem ranny.

Zdziwiłem się mocno z Ochmistrzynią starą widząc ją wchodzącą do mnie... Byłem *sit venia verbo*, tak głupi, że m to wziął za dobrą monetę, za dowód jej serca litościwego i na nowo rozgorzałem. Szaniawski nie chcąc mnie martwić, z tem o czem wiedział, zamilczeć wołał.

Panna usiadłszy na chwilę, — jako towarzyska Ochmistrzyni nie wiele mówiła, ale się uśmiechała i okazywała taką miłą dla mnie, iż mi mogę powiedzieć, sił i zdrowia dodała.

Chociaż i inne osoby do naszego dworu należące odwiedzały mnie też z kondolencjami, z powodu że m dla czci królewskiej cierpiał — bytność u mnie panny

Felisi wzięłam za szczególny dowód jej łaski. — Znowu mi głowę zawróciła.

Rana moja nie była niebezpieczną, ale się goiła powoli i mnie trzymała między czterema ścianami właśnie podówczas kiedy było najwięcej do słuchania i widzenia.

Szczęściem że dobrzy przyjaciele Szaniawski i Morawiec, na przemiany przychodzili i przynosili co który posłyszał. Morawiec zaś, choć na to nie wyglądał, z cicha pęk — niezmiernie umiał zręcznie chwycić w powietrzu plotki i podglądać a podsłuchiwać.

Przez te dni przyszła królowa chodziła w gorączce, bo wdowa po Michale, która naprzód z Lotaryngskim chciała panować, potem gotową była francuza poślubić, naostatek teraz z pomocą Paców powzięła szaloną myśl, aby Sejm Sobieskiemu kazał się z żoną rozwieść, a ją poślubić.

Ukrywano to przed Hetmanową, ale przed nią żadna się intryga utaić nie mogła. Trzeba było widzieć jej wściekłość gdy się dowiedziała o tem!!

Próżno Hetman klęcząc z palcami złożonemi poprzysiegał jej, że prędzej się korony zrzecze, niż sobie warunek taki da narzucić, ona sama z siebie miarkując, nie uspokoiła się dopóki naostatek *Pacta Conventa* nie zostały spisane i poprzysiężone. Dopiero się uczuła panią — a że zemstę na wszystkich tych co przeciwko niej stawali — do póki żywota wywierać postanowiła... O tem i mówić nie potrzeba.

O każdym kroku królowej wdowy wiedziała Hetmanowa, bo za nią i do Bielan i do Częstochowy



słała swoich — a nie odetchnęła aż *Te Deum* odśpiewano i Jana uroczyście królem okrzyknięto.

Od tej chwili poczęło się można powiedzieć panowanie jej nad Rzeczpospolitą całą z wyjątkiem nieprzyjaciół którzy jej przebaczyć nie mogli tego nadzwyczajnego szczęścia i których ona też nienawiścią ścigała do końca. Była zawczasu już dumną i wymagającą czci i hołdów — teraz wszelką miarę straciła i baczność. — A że jej kłaniano się, podano przed nią, że najwięksi panowie, książęta, duchowieństwo dla męża ją szanowało — a wedle naszego obyczaju uniżenie bardzo się zachowywało... musiało ją to upoić.

W życiu mojem to zawsze postrzegałem w narodzie naszym, że — jedno z dwojga, albo się uniżał i korzył, padając do stóp i całując nogi, — albo stawał się zuchwałym i grubiańskim. Środka między temi krańcami, mało kto się trzymał... Królów zaś u nas, nawet rokoszanie wenerowali... jako pomazańców bożych...

Razem z panowaniem przyszła królowa musiała rozpocząć wojnę, nie, jak mąż z Tatarami i Kozakami, ale z Kanclerzyną i mnóstwem zazdrosnych a dumą jej obrażonych.

Wedle zwyczaju odwiecznego, powinien był odbyć się teraz pogrzeb nieboszczyka króla i obojga królestwa koronacja, ale tę musiem było odłożyć, bo wojna się odkładać nie dała, a Sobieski może też myślał że się umysły uspokoją i przejednávają — bo mu donoszono iż nieprzyjaciele koronacji królowej przeskodzić się gotowali, a przynajmniej wywołać burzę i dumną kobietę upokorzyć.

Zaledwie *Te Deum* odśpiewano, gdy już przyszła królowa, wraz z posłem francuzkim i swojemi przyjaciółmi i przyjaciółkami tak czynnie się krzątać poczęła około rozdawnictwa urzędów, starostw i wszystkich tych jakimi król rozporządzał—że sobie wrogów namnożyła bez liku.

Trzeba ją było widzieć pod ten czas, naprawdę swem szczęściem i potęgą upojoną, dwakroć dumniejszą i kwaśniejszą niż kiedykolwiek była, mściwą — rozkazującą—despotyczną i nie szanującą nikogo. Jedni tylko posłowie obcych mocarstw, Nuncjusz szczególnie i biskup marsyliński byli wyjątkami — bo dla nich pewny respekt miała — obu ich potrzebując, co do innych — nie oszczędzała nikogo.

Można sobie wyobrazić ile nienawiści, sarkau, gniewów obudziła przeciwko sobie. Z kobiet nawet te z którymi dawniej w przyjaznych była stosunkach, wszystkie zrażone się od niej cofnęły i jawnie lub skrycie poprzehodziły do obozu nieprzyjacielskiego.

Król zaś, wyjąwszy gdy szło o wojsko i obronę granic, we wszystkich innych sprawach, ślepo jój był posłuszny. Gdy się w czem oparł, dąsała się, zamykała, niewpuszczała go do siebie, nie dawała rączki dotknąć i w końcu wymogła co chciała.

W rozdawnictwie urzędów,—musiał Sobieski, choć ze wstrętem dopuścić aby zaprowadzony za Władysława i Kazimierza system, który Marja Ludwika do końca utrzymywała,—nie został zmieniony.

Wiadomem było że za wszystko sobie francuzka płacić kazała—a wychowanica jój natychmiast przejęła ten obyczaj, o czem król choć wiedzieć niechciał, ulegał i milczał. Zwało się to porękawicznem, było ni-

by podarkiem dobrowolnym—ale się targowano, jak na jarmarku, kto da więcej i na zasługi nie zważano wcale, tylko na zapłatę.

Nigdy to nawet tajem i tajonem nie było, w początkach ostrożniej, potem śmieliej oferty się czyniły— a ten co zapłacił głośno mówił co królowej dał.

Ztąd wszędzie, nawet po miejscach publicznych paskwilusze i urągowiska rosły, ktoby chciał za wszystkie się ujmować i rąbać, prędko by go nie stało.

Trąbiono o tém po mieście, ale że obyczaj ten wprzód nastal niż Hetmanowa królową—było się czem zasłonić—że tak zawsze się praktykowało.

Mnie ręka porąbana, choć rana się zdawała mało znacząca, nie dawała jeszcze w świat wyjść—nosiłem ją na opasce,—niechciała się goić, a władnąć nią nie mogłem.

Matka moja, która dla gospodarstwa i interesów oddalić się z domu nie mogła—pisała a pisała żądając abym dla knuracji i spoczynku na wieś do niejjechał—a mnie tu ta niepocziwa Felicja przykutym trzymala, tylko się wymawiał przed jejmością doktorami, o których tu łatwiej było.

Tymczasem dworu naszego liczba urosła, ludzi przybyło i coraz potężniejszych,—więc i moja łaska u francuzki coraz zaczęła mniej się okazywać. Powrócił naprzód ów inżynier, który nad Prutem i Dniestrem zameczki opatrywał,—i myślał że dawne swe prawa odzyszcze, ale tu znalazł przy pannie, oprócz mnie kaleki, com się nie liczył—drugiego francuza też ze dworu biskupa Marsylskiego, i jednego polaka na przyprzążce.

Ja póki z izby nie wychodziłem, i nie patrzałem

na to, o czem mnie poczciwy Szaniawski niechciał informować oszczędzając umartwienia, o niczem nie wiedząc najlepsze miałem nadzieje, ale raz pierwszy siadłszy znowu u marszałkowskiego stołu—gdzieśmy razem jadal, przekonałem się iż abszyt dostałem, a o dziewczynie płochój nie było co i myśleć.

W początku o małym się z téj aprehensyi nie rozchorował na dobre—ale na koniec przemógł się i postanowiłem na czas jakiś do matki zjechać, aby Felusię z oczów stracić.

Zameldowałem się więc z rana, gdy się oddziewał król, który o mnie dobrze pamiętał, zobaczywszy mnie zawolał rękę postrzegając na chnście.

— A cóż to waś jeszcze nie wydobrzezał! nie mówiono mi o tém nic—przecież staranie o tobie mieli?

Pokłoniłem się dziękując i prosząc o dozwoleńie pojechania do matki.

— Jedź rzekł Sobieski, ale młodemu się na wieś zakopywać nie życzę. Wieś nie ucieknie, a młodość drogą jest. Ja o waszmości pamiętać będę, i czy przy dworze, czy w wojsku miejsce się dla was znajdzie.

Kazał mi dać wiatyk, choć skromny, którego przyjęcia odmawiać nie wypadało, i tak francuzki nawet żegnać nie myśląc, zaraz się do podróży sposobić poeząłem.

Ale dziewczyna była jak młoda tak już dobrze wyedukowana—więc choć miała podostatkiem wielbieli i mnie puścić nie chciała, a manewrowała tak żem z nią mówić musiał, a zalotne jój wejrzenie wziąć z sobą do Połonki do domu.

Wiedziałem bardzo dobrze iż na nią rachować, na lodzie budować było, ale czy pasja rozumuje!

Jechałem precz z taką w sercu tęsknicą, jakbym tu największe szczęście porzucił.

Dopiero gdy w znajomych okolicach, a zbliżać począł do gniazda, serce się poruszyło i zapomniałem o wszystkim myśląc tylko o matce, którą widzieć miałem, i o Julusi i o domu...

Coraz pospieszając, bo mnie teraz coraz mocniej ciągnęło do swoich, nocą przybyłem do Polanki, gdy już wszystko spało.—Co za radość była, aż do łez, jakie witanie—ile nścisków, co pytań?! niepotrzeba pisać!

Matkę znalazłem trochę postarzałą i jakby zmęczoną, Julusię znacznie wyrosłą, a największą niespodzianką było dla mnie że i Michała zastał, któremu ojcowie, w towarzystwie drugiego starszego kleryka, na parę dni do domu przybyć dozwolili. Bóg wie czybym go gdzieindziej był poznał, tak się z twarzy, ruchów, obyczajów, w głosie nawet i całej postaci odmienił.

Spoważniał bardzo—ale go nie znalazłem smutnym, a gdy w cztery oczy pytałem czy mu dobrze było i czy z wyboru stanu zawsze był rad, odpowiedział mi że zupełnie się czuł szczęśliwym.

Matka się skarżyła, że jej gospodarstwo, interesy i wychowanie Julusi trochę na lata jej przychodziło za ciężko..., ale do pozostania w domu mnie nie namawiała, powiadając że powołania słuchać należało, do czego komu Bóg dał ochotę.

Nieprzyznałem się przed nią, ani nawet przed Julusią do tego, że gdyby nie owa przekłeta francuzka, która mnie oczarowała oczyma bazyliuszka—pewniebym był na wsi pozostał.

Jak się tylko w sąsiedztwie dowiedziano iż dwo-

rzanin króla JMci, przybył w odwiedzinę do matki, drzwi się u nas nie zamykały, tak wszyscy ciekawi byli odemnie dowiedzieć się o elekcję i o tem co się w Warszawie działo. Na prowincji z wyborni wszyscy byli radzi, na Hetmanie nadzieje wielkie pokładano, a o królowej to mało co kto wiedział, tyle tylko że francuzką była, a to za nią nie mówilo, bo Marją Ludwikę pamiętano, która miłości nie miała—choć pono od téj nowéj królowej daleko była lepszą.

Czas mi tu szedł do jesieni, mogę powiedzieć piornem, zasłyszałem i Szaniawski mi doniósł, że król się na odzyskiwanie Ukrainy i przeciwko tatarom a turkom wybierał. Chciałem i ja ztąd pospieszyć wprost do niego, czy do Lwowa, czy do Żółkwi, lub gdziebym o nim zasłyszał, ale ręka się uparcie jątrzyła, mimo balsamów i plastrów, które matka na wagę złota przepłacając sprowadzała.

Śmiech powiedzieć dopiero gdy te leki porzucił, a prostą babę przywołano, która ranę obmyła i jakieś ziela zgotowawszy niem mi okładać zaczęła rękę,—prędzej ognia się pozbyła i goiła.

Ale pomimo to, i jesienią i zimę przebyłem przy matce, tak że dopiero w r. 1675 mogłem się na nowo wybrać do króla na służbę.

Ręka była zabliźniona zupełnie, a jednak mi w niej pozostała jakaś sztywność, której długo się nie mogłem pozbyć.

Przez cały ten czas, wierny mi przyjaciel Szaniawski regularnie pisywał, a choć listy, różnemi drogami przychodziły nie rychło—miałem ciągle wiadomości odedworu. Donosił mi że Felcja zawsze adoratorami chodziła otoczona, ale że w coraz większych była

u królowej łaskach, więc nie bardzo na kogo patrzeć chciała, coraz wyżej nadziejami sięgając. Królowa się nią posługiwać lubiła, bo jej myśli odgadywała, a u nóg leżała pokorna... i wprost adorowała ją jak bóstwo.

Zarazem jednak w fraucymerze królowej nienawiść ku niej była wielka, bo nikomu nic dobrego nie wyświadczyła, a donosiła i zniechęcała panią od swoich towarzyszek.

Jako się tedy postanowiło, żem powrócić miał na usługi do króla, tak się speśniło. Na nowo tylko wóz, konie i wszystkę moją wyprawę matka opatrzyła, aby mi na niczem nie zbywało i żeby się mnie pan pułkownik Polanowski nie wstydził. Wziąłem też jedynym koniem więcej i jedynym pacholkiem, tak że z wyrostkiem miałem ich trzech do posług,— a więcej nie było potrzeby.

Już na samem wyjeździe Szaniawski mi dał znać, że król sobie życzył, abym wprost do niego do obozu przybył, gdy ja dla francuzki tej nieszczęśliwej spodziewałem się zostać przy królowej. Nie twierdzę tego zapewno, ale Szaniawski, który mnie oderwać chciał od tych niezdrowych amorów, jak on je nazywał—przyczynił się może do tego, abym jej nie mógł widywać zbyt często...

Z listów dorozumiewałem się tego co mnie spotkać miało przy królu.. Nie ukoronowanego jeszcze przesładowały intrygi, i nawet na życie czyhano, o czem mało kto wiedział, bo sprawa uduszona została, ale to pewna, że mu truciznę gotowano i że podczaszego oddalić musiano.

Na Paców cała rzeczypospolita za nową zdradę



oburzona była, gdyż tak jak z pod Chocima, tak znowu z Ukrainy od króla precz odeszli, samego zostawiając... Hetman jednak zmiarkował wkrótce potem że nienawiść powszechną ściągnął na siebie, bo mu publicznie imieniem zdrajcy w oczy ciskano. Pacowie w rakuską opiekę ufali, a królowa Eleonora w Toruniu siedząca spiskowała...

Powtarzano powszechnie jakby Sobieski Wojewodzie ruskiemu miał to często powiadać.

— Los Michała i mnie nie minął, mści się opatrność za to cośmy mu dali cierpieć!!

Jakem króla znalazł, gdym powrócił do niego, opowiedzieć mi trudno—męczennikiem mi się zdał i chwylami rozpacz go ogarniała...

Wojska przy nim nie pozostało nad kilkanaście tysięcy, kozactwo, tatarowie i ogromna siła turecka w części niszczyła już kraj, a więcej jeszcze zagrażała mu zawojowaniem. Zdradzany przez swoich, pomimo największych ofiar, największych wysiłków Sobieski wątpił już azali podola nawale...

Prawda, że Paca odejście nawet Litwę przeciwko niemu tak podniosło, iż musiał króla przebłagać i naprawić co zawinił, chociaż teraz to trudniej przychodziło, bo nieprzyjaciół miał czas wzmódz się w siłę.—Sobieski, który się spodziewał jako zwycięzca dopiero sięgnąć po koronę,—zawiedziony w nadziejach, niemal do szaleństwa był doprowadzony. Nigdy go też nie widział czynniejszym i tak niezmordowanym.

W sierpniu już Lwów był zagrożony,—król miał wszystkiego kilkadziesiąt tysięcy żołnierza, Litwę w to licząc, a Naraddyn, który już pode Lwowem leżał, poprzedzający Ibrahima Paszę, nierównie wielmożniej-



sze prowadzącego zastępy, sam czterdziestu tysiącom dowodził.

Gdyśmy do Lwowa z królową i całym dworem przybyli, już jedno tylko z ust Sobieskiego słyszeć się dawało—albo tu paść lub zwyciężyć...

On też jeden w początku męstwo okazywał i w Bogu nadzieję, a niemi drugich natchnął, bo gdybyśmy przybyli do miasta, tylko łzy i narzekania słyszeć było, a kto mógł uchodził precz... Dopiero gdy go ujrzano krzającą się, ciągle na koniu, działa rozstawiającego, wojsko opatrującego, a pogodnie okazującego oblicze—duch też wstąpił i w wojsko i w mieszczan.

Na dwa dni wprzód nimesmy pod murami turek nadciągających ujrzeni, łuny stały do kola po całych nocach aż strach i groza patrzeć było...

Sobieski z góry to zapowiedział, że hyle się turecy ukazali, niedając im obozem się położyć, natychmiast na nich rzucić się musi.—Wszystko to tak przygotowanem było, ażeby Nuraddyn większych sił niż wistocie były, miał wyobrażenie. Dla tego jak pod Zbarażem i Beresteczkiem, użyto fortelu, iż kopijników lance i proce osobno w zaroślach zatknęto, przestrzeń niemi znaczną zajmując, która zdala jak wojskiem osadzoną się wydawała...

Przed wyciągnięciem z miasta, w kościele OO. Jezuitów król, królowa, hetmanowie, starszyzna, pułkownicy przed obrazem ś. Stanisława Kostki modlili się ze łzami...

Patrzyłem na Jana wówczas, alem na jego twarzy tylko zapał i niecierpliwość widział. Wprost z kościoła, żonę ze łzami w oczach uściskawszy, Fanfenika całując—konia dosiadł.

Choć to było w końcu sierpnia, ale dzień burzliwy i straszna zawierucha z gradem i śniegiem nas poprzedziła... gdy turecy zaledwie się rozkładać mieli.

Sreka ich mnogość stała przed nami, tak że przy pierwszym starciu jazda nasza złamać się dała, ale król przyskoczył sam wołając.

— Albo niech mnie ubiją tu, lub zwyciężyć musimy! Naprzód!

Próżno go jako wodza i króla powstrzymywać chciało, żołnierzem był tylko w tej chwili—ani Radziwiłł, ani Lubomirski, ani Pac, którzy go odciągli, niemogli nic...—Puścił się na czele pułków, a to tak wojsko całe zapalem wielkim przejęło, iż z góry runęło impetem okrutnym na Turków, którzy go nie wytrzymali...

Kto zna sposób ich wojowania wie to, że raz złamani, gdy, wedle wiary swój, widzą w tem rękę przeznaczenia iż ginąć mają, już się nie opierają. Dla tego popłoch na nich rzucić pierwsza rzecz, bo z łasem walczyć nie umieją.

Jak skoro tył podali, już było tylko ścigać i zabijać—choć—na oko samo, bo liczby Turków dokładnej nie znał nikt, było ich pewnie trzykroć tyle co nas—a uchodzili tak ścigano i zabijano po drodze, że ich ranek następny o osiem mil ode Lwowa zastał.

Nikt tak dobrze charakteru Muzułmanów, sposobu wojowania ich nie znał jak Sobieski i to mu dawało wielką wyższość nad innymi wodzami... — Zapobiegł aby się do kupy zebrać nie mogli, kazał ścigać pojedyncze oddziały, a gdy raz zwycięstwo na naszą pochyliło się stronę, już wiernie nam służyło... Dopiero i duch i męstwo i ufność w siebie powróciły.

Muszę też to przyznać wszystkim, których w boju

przy królu widziałem, że, niewyjmując francuzów, dzielnie się i z mężstwem niewypowiedzianem, wzorem króla—potykali. Biskup Marsylski Forbin, na com patrzył, dwa konie miał zabite pod sobą, a kawaler de Maligny, nikomu się wyprzedzić nie dawał. Powzięłem respekt dla narodu tego, o którym dotąd z samych kobiet sądząc, cale inne miałem wyobrażenie.

O sobie tego powiedzieć nie mogę abym kontent był, bo mi ta ręka przeklęta—jeszcze słaba nie dawała być czynnym, iżem stał a patrzył, a serce mi się w piersi tłukło jak młotem. Zrywałem się z koniem nie jeden raz, aż mnie Szaniawski za cugle chwytając strzymywać musiał. A jak całe życie do guzów i ran miałem szczęście wielkie—iż mnie nigdy nie mijały, gdziekolwiek ich napytać było można, tak i pode Lwowem, choć stałem na boku za dworem, kula mi skroń drasnęła i skórę zdarła—z czego tylko śmieliśmy się i plaster zaraz położony przez parę tygodni ze mnie bohatera czynił. Kula snadź słabą była, bo się po kości ośliznęła, za co panu Bogu niech będą dzięki.

Cudem było ześmy się nawale turków opierać mogli, ale króla rozpacz ogarniała że mu podchajce wzięto i spalono, a Ibrahim szedł na Trębowlę, choć zamek z położenia samego bronić się i trzymać obiecywał..

O tem oblężeniu Trębowli siła się nasłuchałem rzeczy sprzecznych i do wiary niepodobnych, ale to poświadczyć mogę iż niedarmo Clurzanowskićj żonie dowódcy przypisują iż się turkom oparła, aż król z odsieczą nadeignął. Wistocie ona nietylko na zamku czuwała—mężowi dodawała mężstwa—ale sama z pistoletami na czele oddziałów jeździła na wycieczki

i tak się potykała odważnie, że ją najstarsi żołnierze podziwiali — niewiasta była godna mężczyznę się rodzić.

Gdyby nie ona byłby Trębowłę ten sam los spotkał co Zbaraż, który tchórzając, zabiwszy Dezotela francuza, tam dowodzącego turkom zdali, w nadziei że ich oszczędzi.

W Trębowli też schroniona uboga szlachta i osadnicy z okolicy już się zrywali zamek poddać, ale im Chrzanowska zagroziła że wpierv w powietrze zamek wysadzi, niżeli dopuści poddania.

Chrzanowskiego później za to Sejm uszlacheił, bo chociaż żonę szlachciankę miał, rodem z Kurlandij (von Fresen)—sam prostej kondycij człowiekiem był..

Chrzanowska turkom tak się dzielnie opierała że do wściekłości ich doprowadziła, bo i dział mieli dosyć, i ludzi podostatkiem, a przecież zamku nie dostali, a gdy o królu zasłyszeli, tak się ulękli że od oblężenia ustąpili, uchodząc ku Kamieńcowi.

Ale nie pospieszili się oddalić i przez rzekę przeprawić gdy król na nich wsiadł i bitwę stoczył krwawą, która dla nas szczęśliwie się skończyła, bo turcy od niewolników zasłyszawszy o królu, nie czekając reszty, na pobojo wisku zostawując kilka tysięcy trupa odciągnęli pod Kamieniec.

Samo imie Sobieskiego już starczyło aby ich trwożą przejąć i precz odegnąć, tak że Ibrahim aż za Prut i Teret się przed nim cofnął.

Pan Bóg mu błogosławił i Polskę przez niego z wielkiego uratował niebezpieczeństwa, chociaż nie było końca na tem, bo Kamieniec został w ręku turków, a odwet w którym się kusić musieli, zagrażał. Ale

król przynajmniej wytehnąć mógł i na nowe zdobyć się siły.

Ja z rozkazu pana, z listami jego do Żółkwi go wyprzedzić musiałem, gdzie zwycięzcę już po całym świecie wysławionego, posłowie mocarstw obcych powitać mieli,—choć on pewnie mniej to sobie ważył niż ucałowanie rączek najukochańszej Marysienki, za którą jak tęsknił, jak do niej posyłał, jak jój listów żądny był, tego ja wypowiedzieć nie potrafię.

W Żółkwi znalazłem królowę, jeżeli to być mogło, teraz jeszcze nowemi męża tryumfami i sławą jego, po całym świecie rozniesioną — dumniejszą niż przedtem była. Przystąpić do niej było trudno, takiego balwochwalczego poszanowania wymagała, a w pojęciu swoim na świecie całym chyba równiej jój nie było. Kto chciał u niej, nielaskę ale bodaj wejrzenie łagodniejsze pozyskać, musiał padać, cześć i wenerować, jako dawniej poganie czcili swe bóstwa i okadzali.

Nie było jednej z pań, krewnych i najdostojniejszych naówczas niewiast, z którą by w zgodzie wytrwała, a w końcu się nie skłucila — że od niej uciekać musiały. Nikt z nią nie mógł wyżyć, krom tego nieszczęśliwego męża, a i ten cierpiał więcej niż się rozkoszą napawał...

A co to był za człowiek!! Gdyby nie ta jedna jego słabość dla żony, która wcale miłości warta nie była i mówiła czasem mu w oczy że go nie kochała, bez skazy bohaterem swego wieku i narodu nazwać by go można. Do czego się kolwiek wziął, w każdą sprawę serce wkładał, a to jest największa w świecie rzecz... Na wojnie cały był żołnierzem, życia sobie nie wając wcale—na polowaniu tak samo łowcem był

namiętnym, z uczonymi rozprawiając, co niezmiernie lubił, gotów był całą noc na dyskusjach spędzać, o spoczynku, jadła i napitku zapominając, naostatek tak samo i w tem nieszczęsnem kochaniu miary nie było u niego.

Pomimo, że go pierwszym bohaterem swojego wieku głoszone, dmy nie miał najmniejszej, a kondycij swój ludzkiej nie zapominał — pobożny, modlił się gorąco, duchownych szanował, a przez to jednak z tatarami, z żydami poufale obcując nigdy ich wiary nie tknął. Dla służby pan najlepszy, a komu przyjacielem był, temu do żywota wiernym pozostał.

W Żółkwi, choć i nowe budynki naprędce powznoszono dla pomieszczenia koni i służby, choć domowi musieli wszysej niemal po chałupach się tulić, miejsca zabrakło dla wszystkich co się tu zjechali, aby Sobieskiemu winzować i starać się go sobie pozyskać. Cudowne jego oręża sukcesu, nad przeważnemi siłami ottomańskimi odniesione, imię jego i narodu daleko rozniosły tak że od Perskiego Szacha wspaniałe przybyło poselstwo z podarkami, które przeciwko Carowi Moskiewskiemu przymierza jego szukało.

Przybyli też z powinzowaniem posel Cesański, króla Angielskiego, Transylwański, Elektora Brandeburskiego, nie licząc biskupa marsylskiego Forbina, który tu u królowej szczególnie był w łaskach, a chlubił się tem nadaremnie, że on Sobieskiemu do korony był pomocą.

Ze wszystkich francuzów jakichem się tu napatrzył dosyć, bo ich zawsze pełno było, książdz biskup Marsylski zawsze mi się najwięcej francuzem wydawał, w którym krew narodu tego i temperament był zaw-

sze najwidoczniejszy. Biskupa takiego u nas znaleźćby trudno i do dawnego sobie jemu podobnego wyobrazić...

Chodził, mówił, przymilał się, dowcipował, jak gdyby więcej o świecie niż o Bogu myślał. Towarzystwo kobiet bynajmniej go nie zrażało, ani galanterja, na którą patrzył obojętnie. Przy tem przepych, elegancja, wystawność, pański ton—cóż na pół rycerskiego, dla mnie go tak osobliwym czyniły, że się go napatrzeć nie mógł.

Było zresztą i innych wiele do widzenia rzeczy dla mnie nowych—i dla całego dworu naszego, jeden tylko król dosyć obojętnie patrzył i słuchał, a splendory mu i tytuły nie czyniły żadnego wrażenia...

Więcej może niepokoił się zbliżającą koronacją, o którą królowa nagliła, chociaż była brzemienną i przez to nakazywano się jej szanować.

Wiedziano dobrze w Żółkwi że królowa Eleonora wdowa, dotychczas jeszcze w Toruniu przemieszkująca intrygowała z Pacami, aby sejmiki i szlachta nie dopuściły koronacji margrabianki d'Arquien po Arcyksiężniczce austriackiej — ale intrygi te się nie wiodły. Nie mogąc zapobiedz koronacji knowano przynajmniej aby w kościele czasu jej—rozruch i skandal wywołać, o czem też Sobieski, a wprzód jeszcze ona była zawiadomioną i obmyślano zawczasu środki, ażeby do kościoła niepewnych ludzi nie dopuścić.

Dość o tem napomknąć aby dać wyobrażenie co się u nas na dworze działo, i jaka panowała gorączka a niepokój. Posłów wesołą twarzą przyjmować musiano, gdy w duszy gniew i troska się gnieździła, gdy



codzień na wszystkie strony listy i posły się rozechodziły.

Mnie, że już zdawna jako zbyt dobrodusznego niezdatnym do potajemnych knowań uznano—więc chyba z ważnemi pismami tylko czasem byłem wysyłany, a ustnych poleceń mi nie dawano. U królowej też miru nie miałem. Za to król JMi lubił królewskich rozmów słuchać, a bodaj listy czytać nie każdy potrafił. Mogli głośno mówić co chcieli, nie rozumiał nikt nie, jeśli wtajemniczonym nie był...

W kółku królowej, szczególnie, nikt się własnem nazwiskiem nie mianował, ale miał przydane sobie, czasem nie jedno, ale dwa i trzy różne, aby gdy listy kto podchwyci, nie doszedł z nich nic. Pisywali królestwo do siebie cyframi, ale to była nader uciążliwa rzecz, odczytywać je potem.

Wolano się więc posługiwać tym umówionym językiem.

Król w listach się zwał Orondatesem, Feniksem, prochem (la poudre), Celadonem, Jesienią (automne) i Sylwandrem; królowa Astrea, Bukietem, Klelją, Korynką, Mandaną, Słowikiem, Różą...

Krewnych królowej zwano Bêtes, Jana Kaźmirza aptekarzem, królowę Marję Ludwikę Girouette. Po abdykacji Kaźmirz zwał się już tylko kupcem paryzkim (marchand de Paris)—Michała Wiśniowieckiego przezwano Małpą, a matkę jego Viola di Gamba.

Niezliczyć tych różnych przydomków, często obelżywych, czasem dowcipnych.

Zamojski Wojewoda Sandomierski chodził pod nazwiskiem Wołu (Boeuf), Jan Zamojski Fleta lub Konia



fryzyskiego, Stanisław Jabłonowski mianował się Dożą, pani Dônhoferowa Podkomorzyna Egypcjanką, Dymitr Wiśniowiecki Śledziem, Kondeusz Czapłą, Jerzy Lubomirski Jaskółką... i Żmiją. Morsztyn Podskarbi i Prosiakiem i Wróblem bywał... Stanisław Rewera Potocki pod koniec zszedł u nich na stary pantofel...

Listy się nazywały konfiturami, zdrowie Odorem, Elekcja, Myślą albo Widmem, miłość pomarańczą, rozwód Intelligencją—Później jednak król tego języka zaniechał...—lubił mnie i papiery a pieniądze powierzał często.

Pod koniec roku 1675, wyprzedzając dwór z poleceniami króla, musiałem jechać do Krakowa, gdyż nie dalej jak w Styczniu, koronować miano oboje królestwo..

Opisywać tych obrzędów jakie wedle starodawnego obyczaju towarzyszą koronowaniu nie będę, bo się to znajdzie u innych. Wiadomo powszechnie, iż jakby dla przypomnienia nowemu panu znikomości wszech rzeczy ludzkich, koronację poprzedza pogrzeb zmarłego króla. Na ten raz zaś, co się do tak nigdy nie trafiło, nie jednego ale dwu monarchów poprzedników pogrzebać miano, bo i zmarłego we Francji Jana Kaźmirza ciało sprowadzono i Michał Wiśniowiecki czekał niepochowany na swego następcę.

Mogłem się przypatrzeć ceremonjom wielce wspaniałym, które w cudzoziemcach podziwienie wzbudzały, szczególniej gdy rycerze we zbrojach konno, do kościoła wpadając, przy katafalku kopije i godła panowania kruszyli...

Pielgrzymka do grobu Ś. Stanisława męczennika, zamordowanego przez Bolesława Śmiałego — pokutni-

cza można powiedzieć, należy też do koronacyjnych obyczajów...

Lecz — sam dzień koronacji najmocniej niepokoił i króla i królowę — i przyjaciół ich, wiedzano bowiem, że stronnictwo Elconory wdowy, austryjackie, i wszyscy zazdrośni a niechętni, nie śmiejąc przeciwko Sobieskiemu wystąpić, gotowali się w kościele królowej jeśli nie przeszkodzić to przynajmniej zatruć tę chwilę uroczystą.

Od rana też, jak tylko kościół otwarto wcisnęli się do niego i ci co go niedopuszczyć byli powinni. Do tych oczywiście my wszyscy ze dworu króla należeliśmy, a porozstawiano nas tak wszędzie, że gdziekolwiek śmiał się wyrwać warchoł z sykaniami albo wykrzykiem, było komu zatkać mu gębę.

Mieliśmy też rozkaz, w razie nieprzyjaznego wołania jakiego, zagłuszyć je — vivatami.

Chociaż, Bóg widzi, królowej nigdy wielkim wielbicielem nie byłem, a za pana naszego żal do niej miałem — przyznać każe prawda iż piękną bardzo była jeszcze naówczas, choć młodość miała za sobą. Tego jednak dnia, czy to dla cierpienia stanowi swemu właściwego, czy z trwogi, wydawała się prawie brzydką, i dziwnie zmienioną. Dumą tylko i srogością wejrzenia nadrabiała, choć widać było iż drżała ze strachu i nogi pod nią się chwiały.

Na Sobieskim religijne skupienie ducha i nie mniejszą też obawę widać było, bo czuł co często powtarzał, że się na nim to spełnić miało, co z jego pomocą Michała umęczonego do grobu wtrąciło.

Gdy nadeszła chwila ta straszna, koronowania Marii — czuć było po całym kościele podburzenie jakieś

dawano sobie znaki—starali się odedrzwi wejść ludzie nieznani—wszystko zwiastowało niebezpieczeństwo. Aleśmy czuwali, a oprócz nas Jabłonowskiego dworzanie, Radziwiłła Sapieżyńscy—i co było bliższych przyjaciół Sobieskiego.

Marja Kaźmira szła tak blada, iż można się lękać było by nie omdlała—a ciężkie ubranie, mogło się też przyczynić do tego, ale miała siłę nad sobą wielką, a gniew i ressentymen ją podwajał.

W chwili gdy koronę na skronie miał wkładać Arcybiskup... w istocie sykanie i urywane jakieś wyrazy słyszeć się dały z różnych stron, ale natychmiast zalukano je vivatem, a po kątach nawet do starcia przyszło... które niepostrzeżone wprędce i bez wybuchu się skończyły...

Przy uczcie na zamku i zabawach, które nastąpiły, królowa już całą swą odwagę, dumę i despotyczny charakter jawnie odzyskała; na twarzy jej jaśniała radość niewypowiedziana i szyderskie napawanie się tryumfem, gdy król poważny był i smutny.

Słyszałem sam gdy Lubomirskiemu powtarzał.

— Weselszym bym był, gdybym rzeczypośpolitěj Kamieniec przyniósł za tę koronę, którą mnie obdarzyła!!

Nazajutrz, jeszcze w rynku krakowskim przyjmował król uroczysty hołd i podarunki miasta Krakowa. Królowa na to z kamienicy naprzeciw z orszakiem swym patrzyła, postarawszy się o to, aby Jakubek konno przy ojcu wystąpił — otoczony Senatorami i rycerską młodzieżą, jako królewicz i książę.

Ni muiěj ni więćej wszystkie teraz myśli i stara-

nia ku temu skierowane były, aby familij tron zapewnić i dynastję nową ufundować.

Głównym pomocnikiem królowej do tego, jak we wszystkich innych jej zabiegach i intrygach był szlachetny, zacny, ale tak jak i król słaby dla niej—rozkochany, podbity, niewolnik Wojewoda ruski Jabłonowski. W oczy bił ten jej stosunek z panem wojewodą, który też królowi był najwierniejszym, ale królowej więcej posługiwał nie jemu.

Spodziewała się też ona za te usługi wymódz na mężu dla niego buławę wielką—co się na ten raz nie powiodło...

Co król z tego powodu wycierpieć od niej musiał i jakim cudem oprzeć się jej potrafił a Jabłonowskiego sobie zjednać iż mu za złe nie miał, że go mniejszą buławą kontentował, tego ja wytłumaczyć nie potrafię.

Być może iż stan zdrowia królowej, która wkrótce potem na świat córkę wydała, ułatwił Sobieskiemu to trudne zadanie. Wziął więc wielką buławę Dymitr Wiśniowiecki, a inne też wakanse, zdaniem wszystkich tak rozumnie były rozdane, aby ukoić i przejednać nieprzyjaciół.

Olszowskiemu dostało się arcybiskupstwo, a pieczęć Wielopolskiemu, który siostrę królowej, Marję Annę miał poślubić...

Nie moja rzecz o tem pisać, co na Sejmie pod obrady przyszło — pamiętam tylko ogólną tę impresję, że rozum króla i przezorność jego, a troskliwość o dobro rzeczpospolitej wysławiano, i to że Sobieski ciągle powtarzał a bił w jedno, że przedewszystkiem potęgę otomańską złamać było potrzeba, a kraje zagarnięte przez kozactwo i Turków odzyskać.

Królowa co innego miała na myśli.

Przed wyborem Sobieskiego, za panowania Michała jeszcze, odbyła podróż do Francji, po której nieprzyjemne jój pozostało wspomnienie, gdyż u dworu téj konsyderacji i miejsca nie mogła pozyskać, do jakich rościła sobie prawo.

Zdawało się jój teraz, że ukoronowana królowa, gdyby się do Francji udać mogła, odwet by uzyskala i na równi z rodziną francuzką panującą, stanąć by musiała.

Zdaje mi się, że dworujący a nadskakujący jój biskup marsylski, któremu kapelusz kardynalski przyobiegała, pomagał ile zdołał, ale wszystko się rozbiło o nieprzewyciężony opór Ludwika XIV, który królowi elekeyjnemu ani tytułu „Majestas“ przyznać, ani na równi go z sobą nie chciał stawić...

Posłano z tem szwagra królowej markiza de Bethune, spodziewając się, że pomyślne przywiezie rozwiązanie.

Na dworze głooszono tylko, że zdrowie królowej, ostatnią słabością mocno zachwiane, koniecznie się domagało jakichś mód francuzkich i francuzkiego powietrza.

Niecierpliwiła się tak królowa, bynajmniej nie powątpiewając, że Ludwik XIV, którego ojcem chrzestnym dla dziecięcia swego wybrała, musi nledz jój wymaganiom — iż nieczekając nawet powrotu posła, wyruszyła w drogę, czemu Sobieski oprzeć się nie mógł..

Zabrawszy więc sobą Jakubka najstarszego i dwór świetny a liczny, do którego ja, dzięki Bogu nie należałem, wyruszyła z Żółkwi do Francji. Myśmy swobodniej oddychali. gdy jój nie stało i cieszyliśmy się

wypoczynkiem,—gdy nagle i wcale niespodziewanie, w furi i gniewie, królowa razem z Markizem de Bethune, do Żółkwi powróciła.

Starano się potem całej tej podróży już rozgłoszonej i powrotowi nadać inne znaczenie, ukryć doznany zawód—gniew i pragnienie zemsty—ale—szydła w wor-ku nieutać. Nieprzyjaciele się radowali—Sobieski był wielce markotny, choć pilniejsze sprawy go zajmowały.

Od tej podróży, można powiedzieć, poczęła się niechęć wielka i gniew na Francję— a krzyżowanie wszelkich jej do pozyskania sobie Polski zabiegów—co się później czuć dało.

W kilku słowach o tem mówię, bo trudno się rozwodzić—ale myśmy na skutki patrzyli i cierpieli, a u dworu każdy gniew królowej i jej woła wnet się mocno czuć dawały. Z dnia na dzień ci co u królowej wprzód w łaskach byli—popadli w nienawiść. Mściwą bowiem była i nieprzeblagana, gdy kto jej miłość własną podrażnił.

Jam naówczas, ani głęboko, ani daleko młodem i nie wprawnem oczyma nie sięgał.. wielu też rzeczy sobie wytłumaczyć nie umiałem, które później zrozumiałem dopiero.

Moje nieszczęśliwe rozmiłowanie w tej francuzce trzymało mnie tylko przy dworze, ałem się starał więcej przy królu niż przy królowej służbę sprawiać, co się nie zawsze powodziło. Królowa mało mnie znała, i nie lubiła pewnie, com z jej oczów czytał, ale wiedziała o tem że mi zawierzyć było można, czem się nie cały jej dwór mógł pochlubić; często więc od króla żądała, aby mnie oddał na jej posługi.

Przyczyniało się do tego faworn, wcale mi nie pożądanego, że na nieszczęście w oko wpadł najulubieńszej ze sług, powiernicy i niemal przyjaciółce, bez której królowa żyć nie mogła, pannie Federba...

Wstyd o tem mówić i pisać. Było ich dwie przy królowej, nienawidzących się wzajem, zazdrosnych o siebie, trzęsących całym dworem i więcej może niż nim, panna Letreu i ta Federba.

Z prostych panien służebnych, umiały się jęj stać tak niezbędnymi, że się bez nich obejść nie mogła.

Jam naówczas, jak ludzie powiadali, niczego wyglądał, młody byłem, przystojny, zdrów, podczas wesół, a wiadano też że z dobrego rodu pochodził nie bez grosza był.

Niewiem zaprawdę jak mogłem się podobać Federbie, która była już nie zbyt młodą, i dobrze przywiądała i, choć z twarzy nie brzydka, ale wychudła strasznie, tak że ją służba do kościotrupa porównywając, kostnłą przeżywała.

Letren daleko baczniejsza, powolniejsza, chytrzejsza może i ostrożniejsza, nie miała ani w części tego niezmordowanego ducha intrygi, tęg czujności i daru szpiegowania co Federba, przed którą się nie ntaić nie mogło. A miała też u królowej mir nadzwyczajny i gdy co chciała na nią wymódl, zabiegała tak, że mimo Letreu, która się starała przeszkodzić, zawsze postawiła na swoim.

Wiedzieli o tem wszyscy, iż Federba, kając sobie płacić zaprzystęp do królowej, za jęj laski, za każdą pomoc, dorobiła się już dosyć pięknego grosza, a że miała przytem wpływ wielki—na starających się o jęj kościatą rączkę niezbywało. Lepszych odemnie było



kilku, ale skarał mnie pan Bóg tem, że się we mnie rozkochała.

Z początku temu wierzyć nie chciałem, anim przypuszczał, gdy mi pierwszy Szaniawski oczy otworzył. Było to czasu pobytu owego w Żółkwi przed koronacją, gdy ścisk był niezmierny.

Staliśmy z nim razem pod strychem w izdebce takiej, że ledwie między dwoma na ziemi siennikami naszeni przejść było można. Szliśmy zwykle spać nade dnem znużeni tak że i do rozmowy ochoty brakło.

Powiada mi nagle śmiejąc się przyjaciel.

— Pilnuj no się Adasin, bo cię Kostucha zabierze.

— Co tobie? jaka?—spytałem.

— Niewidzisz nic?

— Cóż mam widzieć?

— Toć Federba cię oczyma zjada i za tobą biega nie bez kozery...

We mnie się wszystko zburzyło.

— Słuchaj—rzekłem głupie to żarty—daj mi pokój bo gniewać się będę. Cożem ja u ciebie nie wart więcej nad to, żebym Federbie służył?

— Nie myślę wcale żartować—poważnie odparł Szaniawski—ale widzę żeś ślepy, bo patrzysz tylko na Felicję, która się od ciebie odwraca, a tymczasem stara Kostucha za tobą biega!! albo ci to wielkie szczęście przynieść może, jeżeli ambitnym zechcesz być, albo—pomstę jej na siebie ściągniesz, co niebezpieczną rzeczą jest...

— Bój się Boga — zawołałem — cóż ona mi zrobić może? W najgorszym razie ode dworu mnie odsadzi? pojedę do domu...



Na myśl mi przysła Felicja i westchnąłem mimowoli.

— Prawda, dodałem, że téj francuzicy nieszczęsnej nie widzieć, śmiercią by było dla mnie.

Przekonał mnie Szaniawski, różne drobne przypominając okoliczności, iż w istocie Federba miała coś do mnie, jakbym jój był do czegoś potrzebnym. Nie przypuszczałem jednak żeby to miała być miłość—bo na samą tę myśl—dreszcze mnie przechodziły, taki do tego kościotrupu wstręt miałem.

Nazajutrz już na haczności będąc—przekonałem się iż Szaniawski prawdę mówił, alem pocieszał się tem, iż jój może, wiecznie intrygującej, do innéj sprawy jakiejś u króla byłem potrzebnym. Ostrożnie i grzecznie starałem się z drogi schodzić...

Postrzegłem i to że francuza inżyniera mocno u Felicji popierała, aby mnie zrazić do niej. Siadaliśmy codzień dwa razy razem do stołu... tego uniknąć nie mogłem. Prawie zawsze albo Letreu lub Federba naprzemiany z nami jadaly, rzadko obie, bo jednéj z nich królowa potrzebowała nieustannie.

Służba ta ich przy Pani była szczególnego rodzaju... Spełniały niby około osoby jój, nawet najpospolitsze obowiązki przy wstawaniu, ubieraniu, kąpielach i t. p. ale to im tylko służyło do przynoszenia plotek, do zawiązywania intryg lub do odbierania rozkazów różnych, które spełniały. Często też po całych dniach się jedna z nich gdzieś odprawiona absentowała. Ci, którym o łaski królowej chodziło, co o wyjednanie czegoś się starali, jak w dym szli do jednéj lub drugiej.

Ludzie utrzymywali, że choć Federba więcej się

poruszała i wydawała czynniejszą, Letreu tłusta, blondynka piegowata z włosami rudawemi — jeszcze od niej była przebieglejszą.

U obu inaczej jak prezentami i to znacznemi, albo wprost pieniędzmi — interesu zrobić nie było można, a znały tak stosunki i usposobienia królowej, że od razu mogły powiedzieć co łatwem, a co trudnem było do przeprowadzenia...

Wpływ ich na królowę był tak wielki — czemu mi się zrazu wierzyć nie chciało, że siostra rodzona, która za Wielopolskiego wychodzić miała, księżna Radziwiłłowa siostra króla, inne panie i panowie, nie wyjmując Wojewody ruskiego Jabłonowskiego musieli je sobie zjednywać... Niema mowy o tem nawet że król też te potęgi szanował, nigdy się z niemi w walkę nie wdając.

Pozwalał sobie czasem żartów z tego iż królowa tak im ulegała, ale Marja Kaźmira wpadała w gniew, a Sobieski na klęczkach najukochańszą Marysieńkę przeblagiwać musiał. Wszystkim było wiadomem iż do królowej najprostsza i najpewniejsza droga, prowadziła przez garderobę.

Mnie dotychczas było to obojętném, bo chyba dla pozyskania Felisi byłbym się starał o łaski Letreu lub Federby. Teraz zaś i ta moja głupia, nieszczęśliwa miłość była tak zdesperowana, że tylko patrzeniem i napawaniem się widokiem Felisi, musiał się karmić.

Rozum mi powiadał że z tak płochego, a w takich przykładach wydawanego dziewczęcia, żony przywiązanej i wierniej, która by się domowem szczęściem na wsi kontentowała, mieć nie będę. Desperowałem więc

abym ją mógł pozyskać, bo ona też nie chciała mnie, a pomimo to ciągnęła, rwala ku sobie—i gdzie tylko ją widzieć było można, słowo przemówić, pewniem nie chybił.

Wstyd mi było passyi téj, spowiadałem się z niéj i modliłem na intencję, aby mnie Bóg z tych utrapionych więzów wyzwolić raczył. Ilem razy próbował — nie wytrwałem.

Na ratunek wzywałem Skorobohatę, gwałtem się usiłując do niéj przywiązać, i — kto wie—może by to się w końcu powiodło, ale Federba, dojrzawszy tego—tak chodziła okolo królowej, okolo rodziny Skorobohatych, że ją *insperate*, przemocą za mąż wydała... Dziewczę do mnie Ignące już opierało się nadaremnie, rodzice chcieli tego, partja była dobra—stało się po woli Kostuchy...

Ciarki po mnie chodziły.

Szaniawski mi jedno radził.—Proś się na wieś, do matki, zejdź jéj z oczów...

Rada pewnie dobrą była, ale zejść jéj z oczów znaczyło też i Felisi nie widzieć—a ja sobie mówiłem,—tyle mojego szczęścia że choć na nią patrzę i nasycam się tém.

Przyznałem się przyjacielowi, który takiej miłości jak moja—niezrozumiał, — miał słusność, ale co tu pomógł rozum, kiedy człowiek chodził jak pijany.

— No—a cóż poczniesz gdy za mąż wyjdzie? pytał Szaniawski.

— Tak samo się za nią włożyć będę jako i teraz rzekłem. Ludzie to czarami zwali i trunkom jakimś miłosnym przypisywali takie bezrozumne zamilowanie,

dziś się śmieją z tego, ale pasij téj leczyć się nie nauczyli.

Dawał mi siebie za przykład Szaniawski, że on wcale się tak kochać jak ja nie był zdolnym—czego mu winszowałem--ale ludzie nie wszyscy są do siebie podobni.

Znając przywiązanie do mnie Szaniawskiego i obawy jakie miał—lękałem się aby i on potajemnie się nie starał na czas jakiś mnie od dworu oddalić i zakładałem go na przyjaźń naszą, aby tego nie czynił — powtarzałem mu ciągle—tyle mojego że ja ją widzę!!

Coraz jawniej owa fantazja Kostuchy ku mnie — okazywać się zaczęła. Już i drudzy prześladowali nią, a co gorzej, gdy który miał sprawę jaką, zwracali się do mnie, abym pomagał i pośredniczył, czemu się stanowczo opierałem. W dodatku ta jój miłość śmiesznym mnie czyniła, bo wcale powabną nie była .. ani miłą.

Ale obawiano się jój jak ognia.

Czasu podróży do Krakowa i koronacji trochę byłem od niej wyswobodzony, ale za to i Felisi widywać się było trudno, a ta mnie nie szukała, wprost czasem drwiąc ze mnie, bo pewna była że jedném słowem potem przyciągnie ku sobie.

Lecz dość o tém. Musiałem u samego króla się prosić aby mnie do siebie wziął, bo już po Sejmie na gwałt się wybierał na wojnę. Wszystko dobrze rozważywszy com miał lepszego do uczynienia?

Trzeba się było gwałtem oderwać od niegodziwej téj dworki, uciekać od prześladowającej mnie Federby— a w ostatku i nie gnuśnieć wśród tych babskich intryg.

A i to mnie ciągnęło żem króla kochał i widział go

wydanego na łup niegodziwym. Cała potęga pogańska ciągnęła z tym Baszą, którego Szatanem zwano, a u nas jeszcze chodziły plotki że król nie na Turków wojsko zbierał, ale chciał Prusy wojować dla siebie i iść w pomoc Francuzom!

A tu tymczasem siła nieprzeliczona pod nowym Seraskierem już nad granicę ciągnęła .. — a Turcy przez szpiegów swoich wiedzieli, że Sobieski ledwie garść miał do stawienia przeciwko nim.

Ale nigdy Sobieskiego liczba nie ustraszała. Był on takim wodzem iż dla niego położenie, rozstawienie, stan wojska—chwila stanowiła o wygranej, a nie wielkie ufcie. Na przewagę liczebną nie rachował.

Miałem zrzęčność to już powiedzieć iż Turków znał doskonale, których raz załamać było dosyć aby im na całą wyprawę męztwo odjąć. A czemu mi trudno wierzyć, ale co po ludziach chodziło że w wielu razach wodzów, gdy tylko przychodziło do układów z nimi, wprost kupował pieniędzmi...

Nie podaję tego za prawdę, lecz już to że utrzymywano jakoby się to działo—coś znaczy.

Gdy król cokolwiek ludzi mógł zebrać i wystąpić, trzeba się już było na własnych śmieciach bronić, tak Turcy daleko wtargnęli.

Cała ta wyprawa, można powiedzieć cudowną była i więcej powinna Sobieskiemu przynieść sławy, niż wszystkie jego zwycięstwa...

Niewiem czy który inny Hetman byłby się ważył na tak śmiale, zuchwale można powiedzieć stawienie czoła wojsku kilkakroć liczniejszemu we czterdzieści tysięcy niespełna, dając się otoczyć i zamknąć w zewsząd opasanym obozie... Słyszałem starych żołnierzy

rozpowiadających, że tak samo pod Podhajcami zmógł nieprzyjaciela, choć był przez niego obleżonym.

Szliśmy pospiesznie, przez Dniestr się przeprawiwszy po nad brzegami jego, aż do ujścia Stryja, który przebywszy też, posunęliśmy się pod Żurawno.. Tu się wszystko miało rozwiązać..

W Żurawnie już o turkach dostaliśmy języka, że cała ich potęga o mil kilka od nas była. Nie mieliśmy czasu do stracenia, trzeba było leż obozem i zaraz się okopać nimby nadeszli turecy... Piechotę więc zostawiwszy z łopatami i rydlami, król z jazdą posunął się naprzód zabawiać nadchodzących, póki by okopy nie były gotowe.

Mało co posunawszy się dalej ku rozległej dolinie, jużśmy ztąd mogli widzieć, jak okiem zajrzeć całą, zalaną, zasypaną, niezliczonemi namiotami i stadami koni i ludzi.

Jezu miłosierny!! Widząc te tłumy dziczy a licząc się z tem cośmy mieli z sobą, dreszcz przechodził, zguba zdawała się nieuniknioną.

Wozilem wówczas za królem to czego mógł potrzebować pod ręką — stałem zawsze blisko, mogłem się się twarzy przypatrzeć — nigdy na niej trwogi nie widział najmniejszej. Ile razy położenie stawało się trudne, ożywał się, poruszał widocznie, budził, dawał rozkazy — i zdawał tylko niecierpliwi najmniejszą zwłoką.

Ze wzgórza gdy przed nami się widok roztoczył na to olbrzymie mrowisko, przeżegnał się i krzyż w powietrzu zakreślił.. stał milczący trochę i wnet z Lubomirskim, który przy nim był, prawie wesoło rozmawiać zaczął.

— Cofać się potrzeba w porządku do okopów — rzekł, ale jak najpowolniej—nie sędzę aby oni bardzo napierali, nad Swieczą trochę może ich potrzymamy... tymczasem wał powinien być usypany...

Cały jeden dzień staliśmy nad tą rzeczką, którą turecy wbród po różnych miejscach zaczęli przechodzić. Gdzieniegdzie do małych utarczek się zrywano... w końcu już musieliśmy do okopów wniść, chociaż naprawdę jeszcze było co koło nich robić, ale łopaty nie próżnowały...

Żórawno mała miejscina, na prawym brzegu Dniestru w Pokuciu, leży w widłach u ujścia Swieczy do niego, majętność ta należała wówczas do Sapiechów.

Całą obroną nędzny wał zapadły w ziemię, darniną okryty... Zamku nie było nigdy tylko dwór pański, albo gubernatorski, około którego też wał drugi taki sam, a po rogach cztery usypy, na których ustawiano małe działka, dla obrony od tatarów, którzy tu często zaglądali, ale wiadomo że oni na obleganie czasu nie mają.

Idąc dalej w górę Dniestrem rozkłada się nad brzegiem piękna, szeroka równina, płaska, jak stół... nie więcej jak w pół mili od Żórawna, a jeszcze dalej poczynają się trzęsawice i błota, nie do przebrnienia.

Z błot tych głękokiem korytem płynie dosyć znaczny strumień wody. Ten przerzyna równinę całą, obraca kilka młynków pod miasteczkiem w przekopie i uchodzi do Dniestru.

Na przeciwnym brzegu rzeki téj, wznoszą się pagórki i wzgórza gęstym okryte lasem—poniżej i powyżej Żórawna.

Myśmy się położyli obozem w téj części doliny,



która jest między miasteczkiem a błotami. Lewe nasze skrzydło osłaniało po części Żórawno, w części rzeczulka Świecza, którą wszędzie w bród przejść było można w tej porze roku—chociaż wiosną i po ulewach, wzbierała gwałtownie i niosła się bardzo łatwo. Prawe skrzydło nasze osłaniały błota, a na tyłach mieliśmy Dniestr i lasy na wzgórzach. Od nieprzyjaciela z frontu usypany był okop świeży poczynając od miasteczka aż do błota, o ćwierć mili od strumienia z niego wypływającego, którego koryto równolegle z naszymi okopami się ciągnęło.

Ledwieśmy do obozów weszli, gdy król z konia nie zsiadając począł objeżdżać obozowisko. Dwóch francuzów inżynierów, Dupont, Lubomirski, i nas kilku towarzyszyliśmy mu. Rozmowa z francuzami wszczęła się bardzo żywa—i zaraz, jak stał król ponaznaczał miejsca na reduty, które niezwłocznie sypać się zabrano, bo niebyło chwili do stracenia, zamiast jednego okopu osadzonego działami, starczyło na dwie linje fortyfikacji, na których artylllerja rozstawiona być miała, tak że gdyby turcy jedną linję zdobyli, druga się mogła opierać i kulami ich zasypać.

Do roboty okolo okopów wzięto się nie zwlekając tejże chwili—ale turcy też szli za nami tak w trop, że się na to patrzyli, jak nasza piechota z łopatami się uwijała.

Król jak sam mówił, spodziewał się, że nieprzyjaciel widząc nas okopujących się, będzie się starał przeszkadzać. Rachował tak dalece na to — iż pulki stały gotowe do odparcia.

Tymczasem Seraskier, któremu pono niewygodnie



było w dolinie, spokojnie się rozpoczął rozkładać też, o sobie naprzód myśląc nie o nas.

Drugiego dnia przekonawszy się o tem, Sobieski uśmiechać się począł. Słyszałem jak mówił do Dn-ponta.

— Przechowali Szatana, wódz z niego nie tęgi gdy mi daje spokojnie się tu fortyfikować—i nie przeszkadza. Będzie za to musiał drogo zapłacić.

Korzystając z téj niezdarności Seraskiera, kazał jeszcze Sobieski redut kilka sypać między lasem a błotem które później się wielce przydały.

Ja com po raz pierwszy widział ten kraj, choć nasz Wołyń mn. miejscami nie ustąpi, niemogłem się piękności jego nadziwić—choć go to plugawstwo pogańskie szpeciło. Lasy, wzgórza, rzeka—cud—jakie mi się to wydawało śliczne, ale gdzie było po za nasze obozowisko wyrzeć, wszędzie namioty tureckie i tatarskie niby kretowiska, wojłokami pokrywane siedziały skupione.

Tureckie obozowisko dzieliła od nas rzeczka Świecza, o której mówiłem. Od téj począwszy ciągnęło. się ono daleko po za błota, w koło otoczone tatarami

Ja z początku nie umiałem rozpoznać jednych od drugich, ale rychło się nauczyłem.

Języka ciągle różnego przyprowadzano, król miał też tatarów swoich na usługach, którzy się weiskali do obozu i przynosili wiadomości.

Nuradyn Sułtan stał po drugiej stronie rzeki na górach ze znacznym oddziałem wojska.

Strach było pomyśleć spojrzawszy do koła—bośmy byli jak w wianku otoczeni, tak że ani od nas, ani do nas się precisnąć nikt nie mógł.

Patrzałem na króla tylko, ale na twarzy jego, oprócz wielkiego zapалу i ochoty nie nie było można czytać, nie spróżnował chwili, koń stał ciągle gotów, ledwie zsiadł, często suchym kawałkiem chleba się pożywiwszy, ledwie do namiotu wszedł, już go wywoływano i znowu na koń, na drugi koniec obozu.

Ze wszystkiego widać było iż Sobieski o Seraskierze miał daleko lepsze wyobrażenie, niż doświadczenie później poznać go dało.

Spostrzegliśmy że i on, który z taką ogromną potęgą naprzeciw naszej garści się położył, nie czując się bezpiecznym okopywać się począł, na co król ramionami ruszył, bo mu te szanse nie były potrzebne, a nam dawał czas do lepszego obwarowania się. Francuzcy inżynierowie uśmiechali się, a Sobieski mruczał.

— Bogu dzięki—djabeł nie tak straszny jak go malują.

Mnie—com po raz pierwszy w obozie był i na wojnie, wszystko naówczas niepomierne dziwilo. Jak skoro miałem chwilę czasu wolnego, wybiegałem z Morawcem aż do drugiego okopu, aby na obóz turecki patrzeć.

Na Świeczy postawili mosty, bo ona między nami a nimi płynęła, jakim mówił, posypali koło nich reduty, a działa poustawiali.

Do utarczek prawie nie przychodziło, choć u nas ciągle czujność wielka była—bośmy się co godzina napści spodziewali.

Polapani tatarowie powiadali że Seraskier do kola nas otoczywszy, spodziewał się głodem wziąć i dla te-

go się nie spieszył—cwszem umyślnie zwłóczył, myśląc że bez wojny i krwi przelewu, zmusi do poddania się.

Całą tak niedzielę wypoczywaliśmy, nie spiesząc z wyzywaniem ich.

Król tylko oko na nich mając—czekał.

Szóstego czy siódmego dnia dopiero ruszyli się za Świeczą, wyszli ku niej ciągnąc za sobą ogrom wyciętego chrustu i gałęzi, bo myśleli groblę na rzeczce sy-  
pać dla przejścia.

Nam się już tak naprzykrzyło z założonemi rękami że Lubomirski się wyprosił także wyciągnąć z obozu ku rzeczce i choćby stanąć aby im pokazać—że i my pogotowiu jesteśmy.

Sądziliśmy że jak już chróstów nagromadził kupy i hacieć począł—tak poprobuje do nas przejść.

Ale przyszło południe—nadszedł wieczór—turecy się zminęli postawszy i do swego obozu powrócili — nie zaczepiwszy nas .

Czysto wyglądało to na jakąś zabawkę. Ukazał się oni za Świeczą, występują nasze pułki także, patrzymy na siebie zdaleka—godzina—dwie—turecy powracają do obozu, a cokolwiek później my także.

Stary żołnierz, który zawsze jest wesółej myśli — choćby już mu wnątrzości wydzierano, żarty sobie stroił z Seraskiera—choć byli i tacy co mówili.

— Niebójcie się! mądry on jest! nie lekceważyć go.

Dwudziestego dziewiątego Septembris znowu z obu stron jak na monstrę wyciągnęły wojska a z prawej strony Seraskier od błota postawiwszy część jego, sam przez mosty się przeprawił i naostatek podstąpił pod reduty nasze, które naprzód były wysunięte.

Król gdy mu dano znać, wyjechał sam rozpatrzyć się i dragonów swych z pułkiem wyprowadził aby nieprzyjaciela odegnać.

Była to pierwsza utarczka krwawa, do której nasze wojsko szło spragnione—chciwe boju—z wielkim zapalem, ale i turcy też walczyli zajądliwie. Można powiedzieć że ważyło się zwycięstwo kilka razy, ale nasze posiłki stały w gotowości, uchowaj Boże porażki; a pod wieczór turcy musieli się zwinąć i nazad za mosty, za Swiecz uchodzić, także dragonom pierwszy bój się poszczęścił.

Przez godzin trzy się ucierano.

Nazajutrz myśleliśmy że się to ponowi, ale turcy zostali w obozie i małe tylko oddziały występowały niby na harc, a postawszy nad rzeką wracali nic nie przedsiębiorąc.

Z naszej strony, ile razy oni wyszli ku nam, myśmy też stawili się na przyjęcie, ale od Septembra dni ostatnich do ósmego Octobris, nie przyszło do starcia. Naszym się to oczekiwanie sprzykrzyło, ale król kazał mieć cierpliwość.

Ósmego wysypało się ich daleko więcej, a za pierwszymi oddziałami tuż szli Janczarowie i z pochodu król zaraz odgadł że pomiędzy nasze reduty chcieli się wcisnąć, zostawując za sobą janczarów, którzy mieli pierwszą linię naszą zdobywać, odciętą od wojska. Do tego niedopuszczono i zaraz z prawego skrzydła puściła się jazda na nich z takim impetem że ich złamała i zmusiła za forty umknąć.

Seraskier sam pod buńczukiem zielonym dowodził i jak tylko zobaczył uchodzących, natychmiast im po-

silek posłał—tatarowie też ruszyli się w pomoc kupami, ze zwykłym swoim wraskiem.

Z naszej strony Sobieski nie ograniczył się na pierwszych pułkach i sukurs wyprawiał, tak że walka się zawiązała około pierwszych fortów zjadła wielce, i można powiedzieć że się tu ważyły losy całej wyprawy chwilami gdyby uchowaj Boże, jazda nasza złamać się dała i pierwszy szaniec opuściła.

Król z konia nie zsiadał. Dotąd cały bój się na prawym skrzydle toczył, ale w tem Seraskier z tych wzgórzów na których stał od lewego, spuścił się z dosyć silnym oddziałem, wpław przez Dniestr, potem przez Swiecz i natarł z drugiej strony, aby tu odciągnąć część sił, gdyż rachował na to że król ich wiele nie miał

Z bijącym sercem patrzałem na to, przy królu stojąc—który kilka razy to na prawo, to w lewo chciał sam się rzucić, ale go nie puszczano.

Na prawem skrzydle ciągle walka była najzajadlejsza, trzeba było coraz nowe posiłki wyprawiać, a tatarowie przez błoto przebrnąwszy usiłowali tył zająć naszym, ale tu działa ich tak przywitały że nie mogli się dalej posunąć. Huk był straszny, bo ogień nie ustawał.

W środku zaś wojska oba nieruchome stały.

Jak się zaczęło około południa, tak dopiero nad wieczorem skończyło tem, że nasza artylerja zmioła tę ciżbę, okrutną moc jej nabiwszy i nie dając iść dalej.

Pod jej zasłoną nasi napadłszy dzielnie naostatkiem przegnali napastników, których siła uchodząc w błocie się potopiło na prawem skrzydle, a na lewem też się

im nie lepiej powiodło. Dosyć że o mroku z téj strony Świeczy trupy tylko leżały, a żywi wszyscy przez mosty i wplaw, jak kto mógł salwowali się do swego obozu.

Dopóki życia mojego dzień ten mi będzie pamiętnym, mogę powiedzieć żeśmy oczy wypatrzyli, jak stanąłem z wlepionym wzrokiem w ten bój straszny, takem ich już do zmroku odwrócić nie mógł.

Zapomniałem o głodzie, — ogłuchłem, zdrętwiałem stojąc tak gdyby ślup, a gdy wszystko się skończyło mrok padł, a Morawiec mnie począł za rękaw sukni targać, jakby z drugiego świata zstąpiłem, zobaczywszy go. Cała moja dusza była przez ten czas na bojuwisku...

Z naszej strony zabitych nie było wielu, przecież najdzielniejszych padło kilkunastu, a rannych mniej więcej ciężko nie policzyć było... Turków, jak słyszałem potopionych i pobitych do trzech tysięcy z tatarami rachowano.

Przez całą noc potem, opatrywaliśmy rannych, jeść dawano i pić zgłodzonym i zmęczonym, a radowano się i Bogu dziękowano za zwycięstwo...

Nazajutrz, jak się spodziewać tego było można, turcy spokojnie w obozie leżeli.. od którego językaśmy mieli, że im dla koni na paszy zbywać zaczęło, bo na kilkanaście mil w koło kraj był zniszczony i wycieńczony, że nie w nim oprócz gałęzi poschłych znaleźć nie było można.

Trudno temu uwierzyć będzie co powiem, choć to tylko piszę na co patrzyłem i czegom dotykał. Staliśmy tak opasani wkołuśienko, że i myszy do nas dostać się było trudno. Król bardzo tęsknił nad tem, że

od żony wiadomości nie miał, ani o sobie jój mógł dać znać, gdy dziesiątego octobris, jak dziś pomnę, w parę dni po téj bitwie—nocą się zjawił na naszych czatach na samem skrzydle Tatarczyn... Widziałem go, więc zaświadczyć mogę, iż wistocie niktby w nim niepoznał przebranego posłańca, który szyję wążąc ode Lwowa się tu przekradł do króla z pismami.

Był to nie jaki Drażewski, znany z tego iż przez długą u tatarów i turków niewolę, tak się wyczył ich mowy, obyczajn, nawet modlitw i nmywania, tak się opalił,—a nawet twarzą stał podobnym do téj dziczy, iż go w świecie nikt niemógł wziąć za kogo innego tylko za rodowitego tatarą.

A i temu uwierzyć trudno, iż miał pasję do przekradania się i zwodzenia tatarów i turków... Sam się zawsze ofiarował na to niebezpieczeństwo, bo dosyć było podejrzenia, ażeby go strzęśli, a listy miał pozaszywane, w czapce, w kożuszku... w skurzniaach nawet...

Gdy królowi o Drażewskim powiedziano, iż ze Lwowa przybywał, wybiegł sam na przeciw niego i tylko że go nie uściskał... Tym czasem zaraz poczęliśmy go rozdziwać i pruć co na nim było, aby się do pomiętych papierów, pomoczonych i zabrukanych dostać...

Z tych się król dowiedział, że Radziwiłł Hetman Polny Litewski pode Lwów przyprowadził dziesięć tysięcy Litwy, ale z niemi do naszego obozu przerznać się nie było można myśleć nawet. Oprócz tego we Lwowie siedzieli szwagier królewski Bethune i anglik Hyde. Pierwszy z nich przywoził jakiś order od francuzkiego króla... Anglik, który sobie tatarów wyobrażał narodem jako drngie, szannjącym prawo pospo-



lite, uparł się trębacza posłać paradnie wystrojonego z tłumaczem, którego mu dał Radziwiłł, domagając się aby go przepuścili jako posła do króla do obozu...

Tatarowie spotkawszy ich, po swojemu się z niemi obeszl i pościnali, a głowy posłali Seraskierowi, za czem anglikowi ochota odeszła probować pod Żurawno się dostać.

Oprócz tych wiadomości, miał król list od Jójmości, który całował i czytał i nacieszyć się nim niemógł, a serca mu przybyło jeszcze, tak się tem uradował...

Drażewski, któremu mogło jednéj takiéj przechadzki być dosyć,—już trzeciego dnia, wypawszy się i posiliwszy do króla poszedł ofiarując się z listami nazad do Lwowa.

Chłop był, jakom mówił, przysiadz patrząc na niego że tatarzyn, bo nawet nos miał płaski i zkądśiś oczy wziął pokoszone jak u tatarów, mały, gruby, czarny, niezgrabny, ale nieopłacony ..

Gdy się napił, a był w dobrej myśli, począł tataru udawać i na dywaniku przysiadłszy tureckie majufes odprawiać, ręce podnosić, składać na piersiach, czołem o ziemię bić, tylko było patrzeć a dziwować się.

Ksiądz kapelan nasz mu to wyrzucał, iż się mahometańskiego nabożeństwa wyuczył, ale on tłumaczył się, że pan Bóg po turecku rozumie, i będzie wiedział jako Drażewski Chrystusa się dla mahometa nie zaparł, choć go pono tatarzy gwałtem obrzezali..

Po téj bitwie Seraskier snadź powrócił do pierwszego swego postanowienia, aby nas głodem wziąć...

Żołnierzom było łatwiej, bo żywności, choć ładajakiej mieliśmy jeszcze dosyć, ale konie cierpiały i byłyby wyzdychały nam z głodu, gdyby nie ten zrabek



lasu, który okopany był pomiędzy obozem naszym, a Diestrem, gdzie się szkapy jako tako żywiły. Koń zaś nasz z biedy i strzechę je i gałęzie ogryza, wychudnie prawda, ale by wodę dobrą miał, będzie się trzymał...

Seraskier zaś sam tak cierpiał z końmi swojemi jak i my, a może gorzej, bo ich daleko więcej miał, a w okolicy na mil dziesięć i dwanaście zdźbła trawy nie było.

A że się pogańcowi po dwakroć nie powiodło zmódrz nas w potyczkach, forteln postanowił zażyć cale nie spodziewanego, a przynajmniej nie zwykłego, bo się chciał jak do twierdzy do nas przekopami dostać.

Dzień i noc pracowali nad niemi, ażeby nie dać robotnikom spoczywać, Seraskier kazał swoje namioty rozbić wśród robotników janczarów i doglądał a przyspieszał...

Wysypali tak siedem redut czyli kawalerów naprzeciwko nam wymierzonych, a prędko i jak oddawano im sprawiedliwość, bardzo zręcznie. Całą swoją ciężką artylerję, działa ogromne jakich w oblężeniach używają zaciągnęli na te baterje, których naliczono dwadzieścia kilka, a z tych około piętnastu olbrzymich.

Ciągnęły się one po nad strumieniem wzdluż, a że im spoczywać nie dano, bo po całych dniach waliły a waliły do naszych nie bardzo oddalonych szanców, szkody nam wyrządzili dosyć, ludzi nazabijali, a co najboleśniej było królowi Żebrowskiego stracił generała, którego kula na pół przecięła. Temu grobowiec kazał wznieść król, na jaki nas stało...

Z namiotów ludzie poczęli się wynosić do dołów, które sobie kopali, ale Sobieski ze swoich nie nstąpił,

i nie zmienił nawet miejsca, w którem stały, powiadając że — Bóg kule nosi, a komu ona przeznaczona, nie minie.

A no gorąco nam było bardzo...

Trwało to sporo czasu, aż czy sam król czy francuzcy inżynjerowie, odezwali się z tem, żeby z naszej strony też przekopy w stronę turecką rozpocząć.

Dosyć, że poczęto się kopać i sunąć ku nim, czego ja, przyznając się, nie mogłem zrozumieć, na coby się to zdało ..

W wojsku naszym, choć mu na wielu życia potrzebach zbywało, a położenie było niemal zrozpaczone, — trwogi nie mogłem dopatrzeć najmniejszej. Żartowano sobie i podkpiwano jak w najlepszy czas. Król także czoła nie zmarszczył...

Tym czasem konie żyły gałęzmi, a, co trzymano w sekrecie, nam mogło prochów zabraknąć... Było ich omal, by na straszny ogień turecki trzeba było odpowiadać.

W tureckim też obozie, cośmy przez połapanych tatarów wiedzili, konie padały jak muchy, a z tego ścierwa końskiego, choć je zakopywano, fetor był do niezniesienia. .

Trwało to do dwudziestego pierwszego października. Myśmy po troszę odsieczy i dywersij się spodziewali, na to licząc: że pogańcy nie wytrzymają w polu, na mrozie i o głodzie.

Jakim cudem się to stało, iż w końcu Seraskier przysłał jeńca naszego proponując pokój — tego wytłumaczyć nie potrafic.

Śluchałem narady i odpowiedzi i negocjacje z niemi.

Naprzód sobie król zawarował, że o haraczu mowy

być nie może — ani on o nim słyszeć chce. Potem ofiarował stoczyć bitwę, byle turecy za Strumień ustąpili i plac mu dali., naostatek Seraskier zmiękł — i pokój został zawarty; w tych warunkach, w jakich myśmy się znajdowali, nie do wiary. Wszystko zaś to winniśmy byli tylko Sobieskiemu, jego mężstwu i téj znajomości tureckiego charakteru, jaką on miał.

Powiadano potem, że Seraskier się dał podarkami ująć, a choćby i tak było, o czem wątpię, sztuką było do tego przyprowadzić taką siłę przemagającą, ażeby pokój, ze wszech miar dla nas chlubny i korzystny, Porta zawrzeć była zmuszoną z garścią ludzi opasaną do koła.

Sławiono, prawda, Sobieskiego ze wszystkich jego wojennych czynów, ale kto na niego patrzył zblizka, temu się zdaje, że go jeszcze nie dosyć szacowano. On musiał i mężstwem i rozumem iść przeciwko wszystkim... a naostatek i z szablą naprzód, aby dać przykład. Tego co on przewidywał nigdy nikt nie widział wprzód, a jemu jakby było objawione z góry.

O sobie, czasu téj wyprawy pod Żórawną wiele do powiedzenia nie mam

Było to moje pierwsze pole, gdzie prochu wachał i kule świszczące słyszał, a niebezpieczeństwo widział codziennie nraty życia albo wolności.

Śmierć lub tatarska niewola. Gdyby się człowiek bił, łatwiejby te czarne myśli znosić przyszło, ale stać i patrzeć a medytować o lękach... nie najmilsza to rzecz.

Nasłuchaliśmy się też z Morawcem wszelakich przypuszczeń, bo niektórzy już pęta i śmierć widzieli nienniknione, a było takich dużo.

Nawet stary żołnierz chwilami wątpił...

Mówilem to już, iż miałem do guzów szczęście, jakoż i tu w obozie, choć w pole nie wyciągnąłem, nie minęła mnie pamiątka tatarska.

Poszliśmy z Morawcem na prawe skrzydło przypatrywać się harcom z tatarami, a że trochę opodał w polu zobaczyliśmy leżącego dragona pod krzakami, i zdalo się nam, że go może ratować można, biegiem pusciliśmy się ku niemu.

Zdalo się, że tatarów nasi odpędzili i że ich już tu nie ma wcale.

Nie miałem na sobie tylko kaftan łosiowy spodem a na wierzchu kożuszek, zbroi żadnej.

Wtem, gdy my już do trupa się zbliżamy, nie wiedzieć zkąd świsnęło kilka strzał i czuję w ręku lewym jakby mnie szydłem kto przebódl.

Siedzi strzała tatarska i dygocze.

Chciałem wyrwać zaraz, bo mówiono o zatrutych, ale tak głęboko poszła żem dostać nie mógł. Trzeba było nazad do obozu zawrócić i tu mi dopiero Janusz, rozciawszy trochę ranę, dostał strzałę z niej, którą na pamiątkę zachowałem.

Rana mi się bardzo długo jątrzyła, tak żem z nią powrócił, ciekło z niej, ciekło i zagoić nie było można, a i na starość w tem miejscu czuję rwanie na słotę.

Takich drobnych wypadków siłaby można przypomnieć różnych; co najszczególniejsza zaś, że kto miał polegnąć prawie zawsze przeczuwał coś, niepokoił się, spowiadał nawet...

Wiele razy mi się to widzieć zdarzało.. Z wieczora siedziemy najlepszej myśli u kubków, aż wyrwie się który i zawoła: — Jutro mnie kula nie minie...

Śmieją się z niego, on sam też wesół, nie sobie z tego nie czyni — a nazajutrz — sprawdziło się.

Po zawarciu tego pokoju wszyscy się cieszyli, że wypocząć cokolwiek będą mogli, a i król też — choć on z łaski żony i Paców nigdy spokoju zażyć nie mógł.

Biedny człowiek, bez téj żony żyć mu było niepodobna, tak ją kochał, albo raczej taką ona miała jakąś siłę przyciągającą dla niego — tak mu jój brakło — a z nią nieustanny spór był, wałka, męczarnia, bo nigdy nie ją nie zaspokajało.

Dla siebie i rodziny swojej, doszedłszy do tronu, chciała nadzwyczajnych godności, tytułów i zapewnienia na przyszłość miejsca, jakie miała zajmować, wśród najślawniejszych rodów monarchicznych. Marzyła dla syna o tronie polskim, dla córki o wyswataniu ją za panującego, a że przeszłości, niestety, zmienić nie było można, w której familja de la Grange d'Arquien nie tak świetne miała imię, starała się we Francji dla ojca i brata o tytuł książęcy, o nadanie dziedzicznego parostwa.

Ludwik XIV potrzebował i pragnął aljansu z Polską, rad był sobie ująć Sobieskiego, ale nadzwyczaj surowy gdy szło o dostojność, o nadawanie przywilejów rodowych — jakby na przekorę czynił trudności królowej, przyprowadzonej do rozpacz. Uwielbienie jój dla króla Francji powoli zmieniło się w nienawiść i pragnienie zemsty.

Napróżno starano się to załagodzić małemi grzecznościami — Maryja Kazimira się niemi zaspokoić nie mogła.

Tymczasem te intrygi we Francji, nieprzyjaciele

króla inaczej tłumacząc rozgłaszali po między szlachtą że on Polskę Francji w hołdownictwo oddawali że ją zabiegami temi poniżył. Wszyscy austrijaccy przyjaciele mający Paców na czele—stosunki z biskupem Marsylskim, z innemi agentami Francuzkami obracali się przeciw królowi.

On, dla zabezpieczenia sobie domowego spokoju, choć często przeciwko przekonaniu — opierając się, w końcu żonie ulegał. Więcej ona z Jabłonowskim i francuzami rządziła się niż Sobieski.

On, jak nie na wojnie, to był w ogrodzie, na łowach, albo na rozmowach lub przy czytaniu z którego się coś mógł nauczyć.

Ludzi szczególnie lubił, z którymi mógł o religijnych i filozoficznych przedmiotach rozprawiać, a gdy mu na nich zbywało, śmiech powiedzieć i przyznać, alem na uszy słyszał, z Janaszem i Aronem faktorem swym, godzinami o Biblii i o talmudzie rozpytnącego rozkazującego sobie różne rzeczy objaśniać — dyskutował i sprzeczał się zawsze mu kogoś było potrzeba do tych mądrych pogadanek, w których niezmiernie się kochał...

Trafił się duchowny uczony, to go przytrzymywał, niepuszczał i z nim kwestje wszelkie kontynował, często do późnej nocy. To było jego najulubieńsze zajęcie. Książek w których zasłyszał, że się ukazały, szczególnie francuzkich był łakomy, a kto mu ich dostarczył, łaskę sobie zdobywał. Pomimo to między wesołemi wesół, i pożartować lubił i przez grzeczność wina się dla towarzystwa napił, chociaż pijanie i nałogowych bankietników nieznosił.

Z pustogłowami też nie rad obcował. Właśnie gdy

królowa przez męża się starała we Francji o owo księstwo i parostwo u króla, trafiła się przygoda osobliwa, której by uwierzyć trudno, gdyby wistocie prawdziwą nie była.

Łotra jakiegoś kawał, pono chudzina i szlachcie nie osobliwy, jak to się we Francji wszystko kupuje, tytuł sobie i urząd Sekretarza królowej JMci kupił. Matka jego, może tylko zdaleka widziała Sobieskiego gdy był we Francji młodym jeszcze, a może tylko zasłyszała, że jako młody a krewki różne tam miłostki w Paryżu i stosunki pozawiażywał.

Syn tedy z nią naradziwszy się postanowił z wyniesienia na tron Sobieskiego korzystać i nadać pana Brisacier za syna jego .., narodzonego po wyjeździe z Francji..

Uknuło cały spisek, a sekretarz królowej Francuzkić sfalszował list od niej do króla Polskiego, w którym poświadczała to iż wistocie Brisacier zaś żądał aby za protekcją jego mógł otrzymać tytuł książęcy i parostwo!!

List ten tajemnie powierzono niejakiemu doktorowi Akakij w Gdańsku — który interesa francuzkie miał na pieczy, zalecając mu ażeby do rąk własnych samego króla doszedł potajemnie. Musiano pewnie zastrzedz ażeby królowa go nie widziała.

Znalazłszy pewną zręczność i zaufanego człowieka, francuz pisma te jakoby królowej polecającej swego sekretarza i jego, doręczono Sobieskiemu.

Nie byłem przy tem, ale co piszę tom od najlepszego przyjaciela królewskiego słyszał, i wierzę w to jak w ewangelję.

Przeczytawszy owe listy — król formalnie osłupiał.



Nie był ci bez grzechu w czasie swojego pobytu w Paryżu, ale owój jejmości pani Brisacier nie pamiętał wcale.

— Boże mnie skarz — rzekł przytomnemu przyjacielowi, któremu listy były powierzone — Boże mnie skarz jeżeli sobie przypominam tę kobietę...

Ani wiem ani rozumiem... Lat upłynęło wprawdzie wiele, zapomniało się niemało — ale gdybym serdeczniejsze miał stosunki—juściż bym o nich pamiętał i cośkolwiek by z nich pozostało w sercu.

Powiedziałbym że.. oszustwo jest, na moją kieszeń wymierzone, ale królowa jejmość sama świadczy i zapewnia że świadomą jest tego i ręczy za uczciwość tych ludzi...

Król w piersi się bił.

— *Mea culpa!* mszczą się grzechy choć późno na człowieku!! Ale uchowaj Boże dowie się o tem królowa!! Ona mnie wszystkie młodości mojej Hanusie i Kasie po dziś dzień wspomina... będąc się miał za tę... Jakże się ona zowie? Brisacier! Brisacier! śmie... I ruszał ramionami uśmiechając się — ani wiem ani rozumiem.

Co tu począć??

Nosił się z tem król, słysząc, zafrasowany mocno przez dni kilka, wzdychał, radził z przyjacielem—naostatek w wielkiej tajemnicy, nieśmiejąc odmówić królowej francuzkiej, postanowił list do Ludwika z interwensją za panem Sekretarzem wystosować. Ale łatwo przewidzieć było, że w Paryżu, gdzie na straży wszechpolskich stosunków, był de Bethune szwagier królowej i ojciec jej—owo pismo się nie utai.. i.. dojdzie do wiadomości Marysieńki.



Tymczasem choć zwlec burzę chciał, której uniknąć nie było można.

Stary Markiz d'Arquien, ojciec królowej sam chodząc okolo otrzymania przywileju na księstwo i parostwo—dowiedział się zaraz że król, zamiast pisać za nim, wstawiał się za jakimś chudopacholkiem... i nie wiadomo za co i dla czego!

— Narobilo to wrzawy w Paryżu, a ztąd przyszła ona do nas.

Naturalna rzecz, królowa się dowiedziała pierwsza i wpadła jak burza na męża.. Jednemu Bogu wiadomo jak się to między nimi skończyło, ale jejmość po kobiecemu rozpatrując się w całej intrydze, dojrzała w niej jakieś oszustwa i fałszu.

Poszły rozkazy do Francji dochodzenia czy istotnie królowa list pisała za swym Sekretarzem... i—okazało się że o niczem nie wiedziała, że pismo było po prostu sfalszowane...

Ukarano fałszerza pono wygnaniem i więzieniem wraz z matką, ale co król wycierpiał — to przy nim zostało. Żona mu za ową niewierność imaginacyjną dobrze odpokutować kazała. A że Ludwik XIV od dodania księstwa P. d'Arquien się grzecznie wymówił, chcąc go orderem kontentować, gniew powstał wielki tak że niemal z dnia na dzień z paryzantki Francji, królowa się stała austryjackiego aljansu i austryjackich tu przyjaciół opiekunką. W takich to my żyliśmy niustannych przemianach, zachodach i troskach. Bo z Francją jawnie zrywać nie chciano—oszczędzano ją i królowa zemstę knując, zawsze się uiby z weneracją odzywała o Ludwiku XIV, tak jak on z uwielbieniem dla Sobieskiego.

Lecz nim co więcej o tem powiem, muszę też cokolwiek o sobie wspomnieć jak mi się działo.

Król, któremu pod Żurawnem się wysługiwałem jak mogłem, a widział mnie ciągle pilnym i statecznym, przy tem dobrej myśli, bo smutnych twarzy koło siebie nie znosił — polubił mnie dosyć i czasami nawet, jak bywał poufałym, baraszkował sobie ze mną... Nie mogę narzekać, bo i podarków mi się kilka dostało, i—co droższe nad nie, zaufanie mi okazywał.

Ktoś mnie przed nim zdradził, że się szalenie kochał w Felicji, z czego raz wraz żartował, ale nie pół żartem radził mi się z téj choroby wykurować, twierdząc że dziewczyna była płocha innych też francuzów mu bałamuciła, a że mi się i tem ktoś u niego przyśłużył że o Federbie powiedział, śmiał się rając się i swatając Kostuchę, jako bardzo rozumną i stateczną niewiastę.

— Ta cię nie zdradzi—śmiał się, pomocnika do tego nie łatwo znajdzie...

Markotne mi były te żarty, ale i w nich dobre serce króla czuć było...

Gdyśmy powrócili i połączyli się ze dworem królowej, Szaniawski mi zaraz dał znać żebym sobie Felicję z głowy wybił i ani o niej myślał, bo francuz Boncour, już ją zaswatał, a królowa przyrzekła wydać za niego.

Boncour ten był sługą królowej, którego do różnych potajemnych robót używała — miał zachowanie wielkie mówiono że pieniędzy umiał od niej wyciągać sporo i już trzos dobrze nabity nosił.

Nie powabny był, bo i nie młody i ospowaty nieco, sprytny, żywy, kłamca i intrygant wielki.

Chociaż wiadomo było wszystkim że się żenił z Felisią i ona temu nie zaprzeczała. Gdym przybył przyjęła mnie — tak żem zmysły postradał, z wielką uprzejmością, z takimi czułymi wejrzeniami, jak gdyby istotnie w sercu dla mnie co miała.

Nie mogłem tego zrozumieć. Wiedziałem ci że francuzki mężów oszukiwać zwykły, i to chleb powszedni, że mąż u nich do serca nie ma prawa — ale mnie to obrzydzenie i pogardę sprawiało, bom prostą drogą nauczył się chodzić.

Gdyśmy się tedy spotkali, a ta ząbki do mnie szczerzyć zaczęła, ja powinszowałem jój Boncoura.

Rozśmiała się poruszając ramionami.

— Jeszcze do tego daleko — rzekła — królowa mnie swata, ja się mojej dobrodziejce i opiekunce nie opieram, ale Boncoura nie lubię.

Odszedłem od niej rozmarzony — i byłbym może uwierzył zalotnicy, ale drugiego dnia już innego wabiła i z nim się zabawiała — a jam poszedł w kął.

Oszaleć było można z tą dziewczyną.

Nie koniec na tém.

Federba też przypomniła sobie żem jój w oko wpadł i witała mnie straszliwie czule, na większe utrapienie moje. Szaniawski mi tego szydząc zazdrościł.

— A toś powinien p. Bogu dziękować że się starój babie głowa zawróciła — ona u królowej może co chce; sam król się jój kłania.

Co prawdą było — bo Letreu i Federba nawet Sobieskiemu straszne były, a często — gdy co u żony potrzebował wyrobić i szło mu opornie, udawał się do jednej lub do drugiej.

Tak samo biskup Forbin ujmował je sobie relukwjami i agnuskami, a niemi się posługiwał.

Miedzy niemi zaś była rywalizacja ciągła chociaż jedna drugiej niemogła całkiem wyprzeć z łask i odedworu. Bywało że tygodniami Federba górą stała przy królowej, a Letreu popadała w obojętność, potem naprzemian ta brała górę a Federba musiała głowę suszyć jak się królowej przypodobać.

Niemal wszyscy, którzy przez królowę coś chcieli wyrobić sobie, a to był sposób najpewniejszy, zaczęli od ujmowania jednej z dwu faworyt. Pomiędzy niemi zgoda i pokój, napozór czasem panowały, ale w istocie szkodziły sobie wzajemnie, jedna drugiej pozbyć się starała, niemogąc tego dopiąć.

Ile razy księżna Radziwiłłowa z Białej do brata przyjeżdżała, zawsze dla obu jejmościerek przywoziła podarki, toż samo później musiała rodzona siostra królowej Wielopolska naśladować, ani jedna ni druga nie zabezpieczyły się tem od plotek i posądzeń.

Federba tak się jawnie z tem popisywała, że raczyła mnie wyszczególniać i protegować, iż Letreu, która jej z oka nie spuszczała, była o tém uwiadomioną i niemogła wytrzymać, żeby jej na przekorę coś nie począć.

Jednego dnia, gdy przy obiedzie nie było Federby, która u królowej została—chwilowo będąc w większych łaskach niż Letreu—gdysmy od stołu wstali, zbliżyła się ona do mnie z uśmiechem i dała znak że ma mi coś do powiedzenia.

— Siadaj no, odezwała się zaprowadziwszy mnie do kąta. Ja to wiem od dawna żeś się zakochał w Felisi, którą królowa wydaje za Boncoura i że ta stara

Federba miżdrzy się do ciebie. Wszyscy się z nią śmieją!

Spuściłem oczy.

Co się tyczy Felisi, mówiła dalej—dziewczyna płocha, nie ma się co spieszyć, może się ustatkuje, a z Boncourem, choć królowa przez Federbę namówiona chce ją wydać za niego i przyrzekła—rzerz nieskończona. Można jeszcze mu stolka przystawić. Federby się nie masz co obawiać, —ja wpanu dobrze życzę i nie dam ci uczynić nic złego.

Ona sobie pochlebia że ma wielką moc w naszój pani ale to nieprawda. Znosi ją, cierpi, nawykła, a czasem po całych tygodniach do niej nie przemówi ani słowa.

Podziękowałem jój za życzliwość, a co się tyczy Felisi, choć nie zapierałem się że bardzo mi się po dobała—zbyt się jój narzucać nie chciałem.

— W. Pan jesteś dla Federby nazbyt grzecznym, ciągnęła dalej—a ona to sobie inaczej tłumaczy i duży się napróżno. Powinieneś jój dać poznać że się w niej przecie rozkochać nie możesz. Obawiać się nie masz co, spuść się na mnie

Znowu tedy dziękowałem dodając że obawy nie miałem żadnej — bo oprócz chęci służenia królowi J. Mości nie byłem ambitny i o nie się nie dobijałem.

— Pan Bóg dał mi—rzekłem—chleba kawałek po ojcu—a służbę przyjąłem żeby za młodu świata i ludzi trochę zobaczyć. Dopóki Najjaśniejsi Państwo z moich usług radzi, trzymać się będę u dworu — a, uchowaj Boże nie łaski—wrócę na wieś.

Ta moja obojętność niepodobała się pannie Letreu.

— Jak to może być—przerwała —żeby młody czło-

wiek ambicyi nie miał?. Patrzajże na tych co po ro-  
dzicach ogromne majątności odziedziczyli, a dla tego  
za starostwami i dzierzawami biegają. Wiem że król  
was lubi, królowa też z usług była zawsze kontenta,  
potrzeba z tego korzystać—ale bez Federby w. pan  
się możesz obejść, ja mu dobrze życzę. Ona zaszkod-  
zić wam u królowej nie potrafi—a u Felisi ja pomo-  
gę. Głupią by była żeby starego Bonenra wybrała,  
który tylko jurgelt swój ma, a może trochę grosza,  
gdy wpan jesteś młody, masz majątek i sperandy  
przed sobą.

Nie trać więc nadziei, ale Federbie daj do zrozu-  
mienia—aby się darmo nie durzyła.

Odpowiedziałem na to—że byłem zawsze z uszano-  
waniem dla panny Federby, ale więcęj nic.

Rozmowa się przeciągnęła nieco, a że obie fawo-  
ryty miały swoje partje u dworu, pewnie tegoż same-  
go dnia Federbie doniesiono iż miałem na stronie po-  
nufną rozmowę z panną Letreu.

Nazajutrz wyrwała się na chwilę od królowej —  
i przybiegła szukając mnie niespokojnie, chcąc się do-  
wiedzieć czego Letreu odemnie żądała i co znaczyła ta  
narada na stronie.

Odpowiedziałem śmiejąc się że ciekawą była szcze-  
gółów o obozie pod Żurawnem i że o nie tylko roz-  
pytywała. Na to Federba głową potrząsnęła...

— Strzeż się waćpan Letreu—rzekła — ja tam nie  
chcę jej szkodzić, ale was—dobrze życząc, muszę prze-  
strzedz—to jaszczurka jest, żmija, komu tylko może  
zaszkodzić—nigdy nie pominie zręczności, pomódz ani  
umie ani może—królowa nią dawno znudzona, radaby  
się pozbyć, ale kto to weźmie—astnę ma, byle trochę

się poruszyła żywięj—dysze i kaszle. Wiem że mnie nie lubi, bo zazdrosną jest że u królowej mam łaskę, że gotowa była na mnie i przed wami wymyślać.

— Nie było mowy o was—odparłem—i powodu do niej.

— No--dodała Federba—miejcie się na baczności. Ona gotowa czynić wam nadzieje, obiecywać złote góry, aby się popisać ze swoją mocą, a żadnego wpływu niema. Wiercie mi.

Wpadłem tedy między te dwie baby zazdrosne i byłem w dosyć nieprzyjemnem położeniu, a że matka się dawno upominała, ażebym ją odwiedził, wyprosiłem się u króla na kilka tygodni do domu. Szaniawski też, który chciał mnie oderwać od Felisi — a spodziewał się że ją tymczasem za mąż wydadzą, nagił i napierał abym jechał.

— Co z oczów to z myśli, mówił — póki będziesz ją miał codzień przed sobą, nie uwolnisz się od téj miłości, z której ci się otrząsnąć potrzeba, bo to dziewczyna nie dla szlachcica-wieśniaka na żonę. Dworaką była od dzieciństwa i pozostanie nią do śmierci.

Wprędce tedy poszedłem do króla pokłonić się i poprosiłem o urlop do matki, na który natychmiast przystał, rozkazując mi wydać Wardyńskiemu viatyk, ale kazał powracać i nie zasiadywać długo, bo—będziesz mi potrzebnym—dodał.

Wybrałem się więc pożegnawszy u stołu z mojami protektorkami, które trochę były zdziwione żem z placu im uszedł.

W domu matka i siostra—sąsiedzi—co żyło serdecznie mnie przyjmowali. Nie mogłem im dosyć naopowiadać o Żórawnie—o królu, o turkach i o tem oblę-



zeniu kilku tygodniowem, w jakim nas wytrzymał Seraskier, a nie nie wskórawszy sam o pokój prosić musiał. Za ten pokój wszyscy króla błogosławili, bo cała Rzeczpospolita zmordowana wojnami i najazdami, była żądną odetchnienia.

Znaczniejsza część ziemian króla pod niebiosa wynosiła, ale i tego zataić niemogę, że się złośliwe głosy dawały też słyszeć przeciwko niemu. Obwiniano go o zbytnią uległość i powolność Francji, o tajemne knowania aby dzieciom za żywota tron zapewnić i t. p. królowa wogóle przyjaciół nie miała, a kto niewymyślał na nią — to się już liczył do jej stronników. Niebyło się z czego chwalić.

Po cichu zaś sobie z ust do ust podawano że ona w zмовie i serdecznych stosunkach z Jabłonowskim kieruje i prowadzi wszystko i t. p.

Z Podola szczególnież głosy sarkających przeciwko królowi przychodziły, bo mu za złe miano, że wszelkimi siłami się nie starał o odzyskanie Kamieńca, w którym turecy kościoły na meczety przerabiali coraz się mocniej sadowili, i chcieli bronić do npadłego. Tego zaniedbania twierdzy, która się za perłę najdroższą korony rachowała, nie mogli przebaczyć królowi choć z nas każdy wiedział że Sobieski dzień i noc prze-myślał o zdobyciu Kamieńca i jak prawdziwy kamień leżał mu on na sercu.

Zapraszano mnie w koło ciągle, do Steckich, do innych domów w sąsiedztwie, w Łucku księża przyjmowali i gdybym był chciał, dnia bym jednego nie miał wolnego, chociaż z matką i siostrą sam na sam najmiliej mi było. O Michale tyleśmy tylko wiedzieli,



że z jednej rezydencji do drugiej przenoszono go, że on też się nie skarżył na dołę swoją.

Matka nie spodziewała się, że kiedyś do Żytomierza zawita, a ona go tam widywać będzie mogła.

Tym razem wspomniała też że czas by może dwór porzucić, o gnieździe pomyśleć, żenić się i gospodarować—dając do zrozumienia że panny by się znalazły ze wszech miar dla mnie stosowne, młode, majątne, dobrych rodzin, przystojne...

Podziękowałem pani rodzicielce za jej troskliwość, ale odparł że do stanu małżeńskiego ochoty jeszcze nie czułem i wolałbym to zostawić czasowi.

Na co mi zaraz odpowiedziała.

— Mój Adasiu, tylko żadnej żony z miasta i ze dworu, uchowaj nas panie... Nie przyzwyczai się to nigdy do naszego wiejskiego życia, a tęsknić będzie za miastem i dworem... Dopókim ja żywa, nie dopuszczę tego, ale i po mojej śmierci, spodziewam się że rady usłuchasz—a żony sobie u swoich równych szukać będziesz...

Nie przyznawałem się przed matką do Felisi, bo nigdyby w świecie ani myśleć o niej nie dała, raz że na dworze przy królowej i splendorach była wychowana, powtórę że francuzka była, a francuzów u nas nie lubiono i obawiano się.

Mimowolnie pobyt mój na wsi się przeciągnął, bom na polowaniu przeziębwszy się dostał srogić gorączki, tak że bezprzytomny majacząc leżał więcej tygodnia, a gdy dzięki księdzu kanonikowi, który razem doktorem był, do siebie przyszedł, kilka miesięcy musiałem się odżywiać, aż mi siły dawne powróciły. Przy-

czem włosy z głowy wypelzły laniebnie i już nigdy nie odrosły bujne jak były.

Przez ten czas król z królową pojechali do Gdańska, gdzie się syn Sobieskiemu narodził.

Gdańszczanie przyjmowali oboje królestwo nadzwyczaj świetnie i wspaniale, co u nich nie nowina — bo i Marię Ludwikę oni w Polsce jedni tak witali jak nawet stolica nie mogła kosztowniej i wystawniej.

Ale o tym pobycie w Gdańsku królestwa tyle tylko wiedziałem, co mi Szaniawski donosił — zapewniając że się król o mnie informował i kazał mi donieść że pożądanym mu będę gdy powrócę.

Przez cały ten czas choroby mało co wiedział ze dworu i co się na świecie działo — anim tak bardzo ciekaw był — bo się pokojem cieszone — a to była główna rzecz... I z Moskwą też traktaty przedłużone, z téj strony zapewniały bezpieczeństwo... Naostatek wydobrawszy przy macierzyńskich pieczętotach, gdy mi włosy cokolwiek na nowo odrosły pojechałem znowu na służbę mało co przed tem gdy się królestwo na Sejm do Litwy wybierali, przeciwko czemu wrzawa była ogromna, iż dla niej tak znaczne czyniono ustępstwo.

Pacowie to wymogli że Litwie alternaty zapewniono, ale zawiedli się srodze, spodziewając iż Sejmy naznaczone będą do Wilna, gdyż król im na przekór wybrał Grodno, dla tego tylko ażeby Wojewodzie Wileńskiemu nie dać zbyt gospodarzyć, jako u siebie w domu!

Grodno nikomu prawdę rzekłszy dogodnym nie było, bo naówczas gdy się pierwszy Sejm miał tu zgromadzić, miasto było całe drewniane, a i lepszych dworów z drzewa mało w niem było.

Zamek zaś nie dosyć opuszczony, niewygodny, szczególnie pod zimę, trzeba było na gwałt wyporządkować dla królestwa—bo mury wszędzie poopadały z tynków, dachy były pogniłe, podłóg na dole całe żadnych...

U dworu zastałem tę niespodzianą zmianę, w którą mi się wierzyć nie chciało z razu, iż Pacowie co trzymali z Austrią, a królowi byli przeciwni i wszędzie mu szkodzić a na przekory czynić się starali—mieli za sobą królowę, chociaż się z tem nie wydawała, bo wiedziała że męża nie pociągnie za sobą. Rozgniewana na Ludwika XIV, który nie dosyć dla niej był powolnym, królowa zwróciła się ku rakuskiemu stronnictwu przeciwko francuzkiemu... I tak stała się rzecz niedowiadana, że ona trzymała z Pacami, a król z Sapietami, których podnosił i opiekował się niemi, aby złamać wpływ jaki sobie tamci pozyskali, poczynawszy od panowania Michała...

Dwór wybrał się w tę podróż do Grodna, w najgorszą porę, po najokropniejszych drogach—które w części grzązkie były, tak że powozy w nich zapadały po osie, a za ładą przymrozkiem gruda, straszna pośpieszać nie dawały... Łamały się kolebki ciągle, niewygód, strachu, królowa miała tyle do zniesienia, że właśnie brzemienną będąc, ledwieśmy do Białej przybyli, musiała się położyć i rozchorowała niebezpiecznie.

W Białej Radziwiłłowie książęce albo raczej królewskie przygotowali przyjęcie... Dosyć powiedzieć że muzyków i śpiewaków sprowadzono aż z Włoch, a dla króla do zwierzyńca niedźwiedzi nałapano, łosiów, jeleni z puszczy radziwiłłowskiej moc ogromną. Od rana do wieczora, przy ogromnym zjeździe sproszonych gości karmiono, pojono, zabawiano ze wspaniałością nie-

słuchaną, a że szło szczególnie o pozyskanie królowej dla téj i podarki i wszelkie możliwe wygódki a czego tylko zapragnąć mogła, starano się przysposobić.

Tymczasem wszystkiemu temu choroba jéj szyki pomniejszała, i--co gorzej—nadzieja potomka zniweczona, została nad czem król bolał niezmiennie.

Po tym wypadku trzeba było koniecznie, z porady doktorów, choć parę niedziel spocząć w Białej, a króla puścić na Sejm samego bo ten zwołany był i w dniu naznaczonym otwarty być musiał.

Na to królowa pozwolić nie mogła w żaden sposób. Już sam ów przepych i występowanie wspaniałe siostry królewskiej razilo ją i było widocznie przykrem. Powtóre króla uwolnić samego nie chciała, i choć zdrowie nie pozwalało, zerwała się z łóżka, nie dając sobie spoczynku, upierając się jechać z mężem do Grodna. Starań o to było i prośb a zaklęć nie mało, aby cokolwiek w Białej spoczęła, ale nie było sposobu przełamać jéj i przekonać, gdy co raz postanowiła. Musiano dla niéj kolebkę tak wysłać aby w niéj leżeć mogła, i wcześniej daleko niż się można było spodziewać puściliśmy się, chociaż powolnie jadąc do Grodna.

Król bardzo był w czasie drogi markotnym, ale woli swéj nie miał, słuchać musiał. Między nim a królową, spory były zajättrzone jak nigdy—niemal wojna.. a Sobieski stawiał opór jeżeli nie jawnie, to z pomocą przyjaciół i swoich...

Gdyśmy przybyli do Grodna, senatorów było mało, musieliśmy czekać, aż się, ich większa liczba zbierze.

Tymczasem między chorążym koronnym Lubomirskim a Wiśniowieckimi walka się rozpoczęła o dobra zakonu Maltańskiego .., a obie strony przyciągnęły z ta-

ką liczbą żołnierzy jakby sobie wojnę wistocie wydać zamierzały i siłą się rozprawiać.

Naprzód więc król musiał się starać uspokoić umysły, i do porozumienia się przyprowadzić, co nie przyszło łatwo.

Potem sprawa się wytoczyła o kancelerstwo, które Wydzga arcybiskupem, po zmarłym nagle Olszowskim mianowany, trzymał i złożyć musiał, a król je szwagrowi Wielopolskiemu konferował.

Na ostatek rumor wielki uczyniono o to że po pijanemu z pistoletu postrzelono popiersie króla, i chciano winowajcę sądzić za *crimen lesae majestatis*, na ucięcie głowy i ręki, ale król go ulaskawił.

Na ostatek sprawa Jezuitów Jarosławskich poruszyła zakon i padł jój ofiarą spowiednik królewski O. Piekarski, który się rozchorował z aprehenzij, z żałości do króla i zmarł w rozpacz, że zakon został znieważony, chociaż Sobieski miał dla Jezuitów powolność wielką.

Wszystko to razem, w ciasnem mieście, gdzie nagle ludzi się zjechało kilkakroć razy tyle ile mogło pomieścić, a przy ścisku niechęci i nieprzyjaźni siła—odgróźki po pijanemu, rąbanina, nieustanna... nie dały nam spoczynku ani na chwilę, król też go nie zażył, bo go oblegano, a królowa często stała na przeciw i na przekór jego woli...

Że zaś świeżo była po chorobie i o zdrowie się jój lękał, więc przeciwko przekonaniu nlegać musiał i gryzł się tem a narzekał...

Przy tem całem nieszczęściu, musiał dla ludzi wychodzić z twarzą pogodną, zabawiać się, zachęcać do wesołości, godzić, jednać i zapobiegać aby zgorszenia nie było... Pomiedzy nim a królową, usłużny hetman

Jablonowski pośredniczył, a przy nim mała garstka przyjaciół.

Król chciał wojny i odzyskanie Kamieńca, ku czemu umysły przysposobić należało... Królowa zaś nie bacząc na tę sprawę najważniejszą o sobie tylko myślała i niepowiedziawszy nic mężowi, korzystając z tego że niechętnych jój posłów wielu jeszcze nie przybyło, skłoniła kanclerza swego Załuskiego, aby bez wiedzy króla wniósł o zapewnienie jój oprawy...

Król był na podziw cierpliwy i już wdrożony do noszenia ciężkiego jarzma, ale tym razem zbuntował się i przyjął Załuskiego w taki sposób, że osobiście obraził.—Wprost niemal precz iść mu kazał.

Na ten wybuch gniewu Załuski z dosyć zimną krwią, odparł.

— Jeżeli W. Król. Mśc zapominasz, że kapłanem jestem, to proszę pamiętać żem też szlachcicem polskim...

A trzeba wiedzieć, iż Sobieski go lubił i cenił, obejść się bez niego nie mógł.

Obrażony przy świadkach Załuski, odjechał do domu, po drodze głośno oświadczając, że składa urząd i zupełnie się usuwa od wszystkiego...

Doniesiono o tem królowi, który już był ochłonał... Nie było to Załuskiemu przeznaczone, na prawdę, ale królowej, niemogąc po koniu, uderzył po hołoblach, czego już żałował...

Wpadł tedy niemal w rozpacz Sobieski, niewiedząc co począć... Nastęrczyła się szczęściem siostra księżna Radziwiłłowa, oświadczając pośredniczyć do pojednania...

Król chodził struty, lecz trzeba go uniewinnić, bo kogo od rana do nocy, bez chwili spoczynku ciągle

drażnią, w końcu, gdyby aniołem był, musi na kiel wziąć. Niestety, że to na Załuskiego trafiło, który, choć królowej posłuchać musiał, nie mniej powinien był i króla przestrzedz na co się zanosilo. Tłumaczył się zaś tem, iż znając stosunki obojga królestwa, niewątpił, iż za wspólną zgodą wniosek był postanowiony...

Księżna natychmiast pojechała w pogoń za Załuskim i uprosiwszy go a zakławszy, we własnej karecie nazad na zamek przywiozła...

Zobaczywszy to król (byłem przy tem) obie ręce do niego wyciągnął.

— Ojciec mój—zawołał—przebac, ale oba jesteśmy gorączki.. Przyrzecz mi, że się gniewać przestajesz, a ja ci słowo daję, że powodu do sporn niedam..

I w najlepszej się komitywie rozstali.

Temu zmartwieniu królowa była winną, jak we wszystkich niemal sprawach, które Sobieskiemu dolegały; bo nigdy na niego nie miała najmniejszego względu.. Co ją obchodził Kamieniec gdy chciała swoją sprawę otrzymać! Chciwość miała nienasyconą.

Ta przygoda z Załuskim, szczęściem jakoś prędko naprawiona z łaski siostry królewskiej, nie zbyt się rozniosła, ale zostawiła po sobie ślady.. królowa, choć postawiła na swoim była gniewna za to na króla że śmiał się jej woli przeciwieć, król znowu zżymał się na żonę po cichu za jej postępowanie, a wyrzutów czynić nie ważył się.

Ale ze wszystkiego najosobliwszem i najdziwniejszem była ta niespodzianka, że gdy na stół przyszła sprawa oprawy królowej, ani królewska partja, ani jej przyjaciele nie śmieli jej jawnie popierać, a natomiast



wystąpili z tem, kto? Pacowie! Wiśniowiecki oświadczył grubiańsko że kucharkę przyjmując przecież się jój pensja naznacza a miano by odmówić królowej? Cały ten obóz na przekór Sobieskiemu, tak gardłował za królową, że jój dwakroć sto tysięcy złotych w starostwach i gotowym groszu z żup Wielickich wyznaczono.

Około tych rozpraw czas się zwłóknął i to co król miał na sercu głównie, pobór na wojsko pod Kamieniec — pozostał nieuchwalony. Król chodził tak pograżony w siebie, że do żony się nie odzywał, choć się przymilała.

Austryjacki poseł z jednej strony, z drugiej Bethune, ciągnęli go każdy do polityki swojego pana, a on ani całkiem jednej, ani się zupełnie drugiej nie chciał oddać.

Słowem że ten Sejm był niustannym dla nas mankamentem, bo i człowiek w końcu niewiedział komu się uśmiechać, na kogo marszczyć, kto tu przyjacielem a kto wrogiem. Ja, że w tę politykę naówczas niebardzo byłem wtajemniczony, przyznam się, że m cho-dził jak w ślepój babce.

Pomiędzy królem a królową — chłód, zatargi, — po gabinetach szeptania, narady, posyłania... kwasy ciągle.

Wstał czasem król weselszy z łóżka, ledwie się do niego schodzić zaczęli, czoło mu się fałdowało. Poseł od tatarów, poseł od Moskwy... oba odprawieni z niezem.

Całuteńką zimeśmy się tak przemęczyli w tem Grodnie i już wierzhy puszczać zaczęły, gdy naostatek znuzeni wszyscy na króla się zdali — głosując jak



sobie życzył. Sobieski brał na siebie odpowiedzialność politycznych układów z Francją, z Wiedniem, ze Szwedami.

Jednej nocy, nagle, szybko zgodzono się aby raz dokończyć... i Sobieski odetchnął dopiero, ale też i żonę przeprosiwszy, położył przed nią łapki, jak to powiadają. Odzyskała swój wpływ, oprócz tego na swą rękę nie przestając prowadzić po cichu polityki własnej, wynierzonej przeciwko Francji.

Tenże sam plan, który zajmował od wieków wszystkich monarchów chrześcijańskich, złamania wielkim sojuszem potęgi otomańskiej, teraz na ramionach króla ciążył.

Wszyscy się po troszę obiecywali być pomocą, chociaż największe brzemie spadło na Rzeczpospolitą, która była narażoną na nawalę niewiernych. . a odzyskanie Kamieńca musiało z nią wojnę wywołać, bo o ustąpieniu go król ani słuchać nie chciał.

Tymczasem sposobiąc się do téj wojny przeciw poganom, wysłał Sobieski do Francji od siebie Morsztyna, który jój cały był oddany, a do Wiednia Radziwiłła; — nie tracąc z oczów przygotowań do wojny.

Widocznem tylko było, że się ona przewlecze.

Pomiędzy Paryżem a Warszawą, jakem i ja już ślepy mógł się dopatrzyć, coraz zadrażnienie rosło większe, bo Ludwik XIV, jak mi mówiono, z Turkami trzymał dla niechęci swój ku Austrii, a Sobieski przeciwko Turkom się gotował. Ztąd wielkie na Polskę gniewy.

Zmieniono miękkiego margrabiego Bethune, a w jego miejsce przybył do Polski biskup marsylski, For-

bin — i pan Vitry, francuz wielkiego rodu, ale większej jeszcze przebiegłości, chytrłości i zuchwalstwa.

Gdyby umyślnie wybierano człowieka coby oliwy do ognia dolewał, lepszego by pewnie nie znaleziono. Dumny, szyderski, śmiały, potęgą snadź tego pana, którego reprezentował, wzdęty, jeżeli cokolwiek okazywał królowi poszanowania, to tak jakby zmuszony, innym zaś, których by sobie powinien był starać pozyskać, szyderstwami, przycinkami zalewał za skórę, że go cierpieć nie mogli. W Polsce zaś sam i przez swoich pomocników tak się rządzić chciał, jakby istotnie w kraju hołdowniczym.

Ale przy tem wszystkiem jemu i Forbinowi nie zbywało na dowcipie, na umiejętności zabawiania króla, a nawet pochlebiania mu podczas bardzo zręcznego, tak że, choć się go bał Sobieski i nie odkrywał mu się, obcował z nim chętnie i rozrywał się rozmową.

Okazało się, że i król w potrzebie dyssymulować umiał, gdyż Vitremu nie okazywał, iż go przenikał na wyłot, a tak się z nim obchodził, jakby go znał przyjacielem najlepszym.

Słowem, powiedzieć było chyba patrząc na to, że na teatrze komedji się asystowało, a mnie młodego te kłamstwa i podstępny, mogą śmiało wyznać, smak do życia odbierały.

Niekiedy tęsknota mnie porywała za tym naszym wiejskim, prostym obyczajem, za spokojem i — prawdą, gdy tu wszystko kłamstwem było i na kłamstwie się opierało i w tem powietrzu zatrutem żyć i oddychać było potrzeba. Nieśmiem sądzić o królu, bo któż tam zajrzeć może w duszę człowieka, ale mi się czasem

zdawało z jego słów rzuconych bezmyślnie, że i on się dusił i męczył.. a wyrwać z téj opresyi nie mógł.

Bywało w Jaworowie zajdzie do ogrodu, do swoich drzewek i kwiatków, zastanie tam ogrodnika, albo parobka, prostego człeka, — zaczepia go do rozmowy, półgodziny z nim spędzi na gawędzie, wesół taki, a smakując w tym chłopskim rozumie, jakby to który z nas po czerstwych bułkach białych, dorwawszy się do świeżego razowego chleba.

Kochanie jego z królową zawsze niby też same było, całował paluszki, delektował się zapachem jój sukni, — unosił się nad wszystkimi ślicznościami najukochańszej Marysienki — ale absentował się chętnie, i — choć w listach tęsknił — rad był wypocząć...

Z nią niebyło dnia spokojnego tak około niej wyścigi się nieustanne odbywały za wakansami, które ona samowolnie rozdawała; — biorąc od każdego *certum quantum*, a drugie tyle dla króla. Ułatwiali to pośrednicy i pośredniczki... Rzadka rzecz była żeby kto, bodaj najzasłużeńszy, dostał co darmo, a złożyło się tak, że król od siebie przyrzekł innemu, królowa obiecała drugiemu, musiał się Sobieski dla spokoju wykupić aby jój nie drażnić.

Uchowaj Boże sprzeciwieństwa, wpadała w gniew, w furję — ciskała wymówkami, łajała, zamykała się, czyniła chorą, dopóki król nie przebłagał.

Gdy się to wszystko działo, moja panna Felicja za mąż się naprawdę wybierała, a jam już prawie życzył aby się to raz skończyło, bom sądził że gdy ślub weźmie, a ja ją cudzą żoną zobaczę, ostygnę i nie będę więcej myślał o niej.

Pomimo że tam zachodziły jeszcze intrygi różne,

koniec końcem w zapusty tego roku naznaczono wesele, i — pod niebytność moją, bo ja umyślnie zjechał na ten czas — ożenił się Boncour. Niewiem czy sobie imaginował, że żonę ze dworu weźmie, ale ona królowej była potrzebna i ani myślała się ruszyć. Tyle tylko, że im mieszkanie wspólne wyznaczono, ale że Boncoura król ciągle posyłał, ona zostawała sama jedna.

Będąc już zamężną i wolną, przyjmowała kogo chciała, wieczorami wyprawiała kolacyjki gachom i koleżankom, słowem bawiła się jak chciała.

Dostałem i ja tego szczęścia, że mnie też zapraszała abym przychodził, ale noga tam moja nie pozostała. Oburzała się dusza na to ażeby złodziejem zostać i komuś szczęście a cześć kraść dla zabawki. A takiego kochania płochego, jakim się wróble na dachach popisują, nigdy nie lubił; ona zaś innego pono nie rozumiała.

Żał mi jój było... bo patrząc na nią czasami — zdawało się, że to najświętsza panienska, najniewiniejsza istota, skromność sama — gdy pod tą powierzchownością mieszkała zdrada i fałsz.

Raz i drugi mnie zaprosiłszy do siebie pod niebytność męża, gdym nie przyszedł, spotkała mnie w podwórzu i wprost przysła z zapytaniem:

— Cóż to? gniewasz się na mnie, że nawet nosa nie pokażesz, choć zabawił byś się weselój niż w przedpokoju u króla... Zły jesteś zem Boncoura wybrała?

— Nie — odpowiedziałem poprostu. Wolno było uczynić wybór wedle upodobania, ale raz męża wzięwszy... trzeba na nim poprzestać...

Spojrzała na mnie z pogardą.

— Nauki będziesz mi dawał? — zawołała. Boncour nie jest zazdrośny, a ja dla miłości jego wędzić się nie myślę.

— Jest panią Boncourową i bezemnie komu bawić— począłem — więc się obejdzie bez takiego jak ja niezdary.

— A! że nietęsknię tego możesz być pewnym — przerwała — ale ludzie widzą że waćpan mnie znać nie chcesz... to znaczy jakbyś potępiał...

Chciała mnie zmusić abym do niej przyszedł, bo się obawiała języka mojego, niesłusznie, słowam bowiem nigdy złego nie powiedział o niej.

Przeprosilem ją że u króla mam służbę ciągle pilną i ani wieczór nie jestem wolnym.

Oprócz niej musiałem się od Federby salwować, która mnie swoją miłością prześladowała. Dała mi nawet jasno do zrozumienia, że gdybym się z nią ożenił, królowaby ją starostwem tłustem wyposażyla. Udałem że tego nierozumiał, a dla oswobodzenia się raz na zawsze, oświadczyłem jej w rozmowie, że matka mi się zenić nie dozwalała, a i ja do tego stanu nie czulem powołania.

Nie to nie pomagało, nudziła mnie wielce, szczęściem że Letreu długo jej nigdy nademną się znęcać nie dozwalała.. Myślałem już, mimo całego mego przywiązania do króla, czyby się nie lepiej oddalić było odedworu...

Czas upływał w większej części na podróżach z królem, który dosyć lubił być w ruchu, i—jak sam często powtarzał, na powietrzu, jeżdżąc konno, polując czuł się najzdrowszym, chociaż tuszy mu coraz przybywało i stawał się czasem ociężałym. Wedle po-

wszechnego zwyczaju medyków, skoro niedysponowanym był, krew mu puszczano i to bardzo obficie, a niekiedy raz po raz kilkakrotnie.

Felicja była już od roku prawie zamężną, gdy raz będąc z obojgiem królestwem w Jaworowie, — przy wielkim konkursie gości—posłów, senatorów, cudzoziemców z powodu których bardzośmy się licho mieścili siedziałem wieczorem na strychu w mojej izdebce. Miałem bardzo szczupłą i lichą—co nie dziw gdy Vitry francuzki ów poseł nie mógł dostać więcej nad dwa pokoje.—Wtem słyszę że ktoś bieży po strychu i drzwi moich szuka, a nim wstałem aby je otworzyć, wpada zapłakana, w sukni pomiętej, zmieniona owa Felicja Boncourowa.

Niemogłem pojąć co się stało.

— Panie Adamie, krzyknęła od progu, ja tu nie mam nikogo coby się ujął za mną, okazywałeś mi zawsze przyjaźń; broń, ratuj mnie. Mąż mnie bije!

Oślupiałem, a ta padłszy na krzesło w płacz.

— Na Boga żywego—zawołałem—gotówem czynić co tylko w mej mocy, ale jakimże ja prawem mogę wdawać się między małżeństwo!

— Na to nie potrzeba żadnego prawa—przerwała Felicja, mężczyzny każdego obowiązkiem jest za pokrzywdzoną kobietą się ujmować. To człowiek podły, ulęknie się gdy zobaczy że ja mam kogoś co mnie broni.

— Ale cóż on pomyśli! co ludzie? szepnąłem wachając się—zkaźde przyszło do sporu i do tego aby się ważył rękę podnieść.

— To jest najpodlejszy z ludzi—krzyknęła Felicja, posądza mnie—zazdrosny jest. Wyjechał w pole, a po-

wróciwszy zastał u mnie francuza Dupont. Niewiedząc co mu się przywidziało tamtego przepędził, mnie złajał, a w końcu laską uderzył. — Nie mam nikogo — jestem sierotą, zlituj się nademną.

— Gotów jestem na wszystko—odparłem wzruszony w końcu—lecz cóż to pomoże. Wszak się nie uląkł Duponta.

— To co innego—wołała Felicja, oni między sobą jako francuzi po swojemu się rozprawia, wy tylko natrzyjcie—stechórzy.

Czułem że żądała rzeczy ani dla siebie ani dla niej nie dobrój —ale łzy, prośby tak mnie upoiły, że postanowiłem się rozprawić z Boncourem.

Nikogo się nie radząc—nikomu nie zwierając — natychmiast z szedłem go szukać, a że właśnie od króla wracał, w podwórzu go pochwyciłem.

— Za pozwoleniem — rzekłem odprowadzając go na stronę—mam mały interesik do waćpana.

— Wy, do mnie? spytał ciekawie

— Tak jest ciągnąłem dalej—niech to waści nie dziwi że na pozór się wdam w to co do mnie nie należy. Kochałem się długo w téj która waćpana żoną została. Los jój nie przestał mnie obchodzić. Dowiaduję się że waćpan męczysz ją — i ważyłeś się rękę podnieść na kobietę. Nie jestem z żadnego innego tytułu opiekunem ale czuję się w obowiązku jako przyjaciel—oświadczyć że za wszelką jej wyrządzoną krzywdę—mścić się będę.

Francuz patrzył na mnie i pogardliwie się z żymał.

— Ale waćpan szalony jesteś? zawołał - co komu do mojej żony? Sprawa między mną a nią.



Chciał odchodzić—porwałem go za guzik od sukni i wstrzymałem.

— Zrozumiałeś mnie waćpan? powtórzyłem Mam czy nie prawo—żał mi kobiety, nie dam się znęcać nad nią

Boncour śmiał się.

— Waćpan gdzieś dziś za dużo piłeś wina—rzekł do mnie. Daj mi pokój.. mówię ci—daj mi pokój..

Niewiem czym go w pasij potracił, ale Boncour się rzucił do mnie, a w złości już będąc okrutniem się z nim obszedł, tak że peruki postradawszy uchodzić musiał.

Ledwiem ochłonał wołają mnie do króla. Znajduję go samego w gabinecie z Mateczyńskim.

— Coś zrobił Boncourowi? pyta mnie.

— Nie—rzekłem.

— Z czego poszło! mów prawdę! nie mogę pozwolić aby mi endzoiemców—których potrzebuję—którzy mi służą—lekceważono. Boncour powiada, że nie nie zawinił.

Pomyślawszy trochę i widząc że tu inaczej jak prawdą szczerą nie wybrnę—odezwałem się z cicha.

— N. Panie—żał mi się zrobiło żony jego—która lamentuje, bo się z nią źle obchodzi. Człowiek nie może dopuścić aby nad słabą kobietą choćby nawet własny mąż się znęcał.

Słuchał król jakby nierozumiał.

— Po cóż wpan palec we drzwi wkładasz? co komu do tego?.

— Skarżyła mi się, bije ją.

Oburzył się na to Sobieski.

— A to—infamia! zawołał. Prosił się, do nóg nam padał żeby mu ją dać. Cóż zawiniła?

— Niewiem spełna, rzekłem—zazdrosny jest, zastał u niej kogoś pono.

— Dziewczyną była płochą — król wtrącił — ale przecież nie wmości u niej zdybał.

— Nie—odparłem—podobno Dupont'a.

Rozśmiał się król.

— A! ten wszędzie się do kobiet wciśnie.

Tymczasem, rzekł zwracając się do mnie—Boncour się tylko na waćpana skarży. Poco się w to wdajesz.

— Biedna kobieta płacze, skarżąc się że nikt się za nią nie ujmuje—dodałem skruszony—przyznaję się nie mam prawa się w to mieszać—ale jak się tu łzom oprzeć?

Wzruszył Sobieski ramionami.

— Dajże mu pokój i niech się na tem skończy.

— Będę się starał—rzekłem cicho.

Z tej małej rzeczy we dworze powstała gadanina wielka, która mnie na sztych wystawiła. Widziałem żem zhytnią powolnością dla Felisi, sobie i jej kłopotu poczynił.

Mało kto wiedział o Duponce, opowiadano więc że mnie zastał u żony, i choć się zaprzysięgałem nie wierzone. Wyśmiewano się ze mnie, z Boncoura—ale Felicja nie sobie z tego nie czyniąc, tak śmiało w oczy wszystkim patrzyła—jakby się to jej nie tyczyło.

Nazajutrz król gdzieś wysłał Duponta; Felicja opuściła wspólne mieszkanie z Boncourem i przeniosła się do panien królowej, a że tej zabawiać nie było czem, zaraz jej Federba opowiedziała całą historję—mnie nie oszczędzając, bo zła była.

Letreu przybiega przed obiadem do jadalnego pokoju i daje mi znaki.

— Co waćpan najlepszego robisz? powiada odprowadziwszy na stronę. Jak można było Boncourowej dać się namówić do wystąpienia w jej obronie, przeciwko mężowi? Gdzież to kto widział! Że ona rozumu niema i mogła tego zażądać,—nie dziwuję się, ale żeś wpan dał się namówić?.

A wiesz o co to idzie? Felicja przed przyjaciółkami powiada iż doprowadzi do tego abyście pojedynkowali się i żebyś Boncoura zabił.

Dla tego was wybrała—że najpewniejszą jest iż dokazesz czego ona chce.

Sama się z tym nosi iż na życie jego godzi.

Byłem skonfundowany nie wypowiedzianie, a bolało najwięcej to, że owo ucieczenie się do mnie Felisi wziąłem za dowód jej serca — gdy tymczasem była to prosta rachuba — bo chciała ze mnie kata uczynić.

Nie mówiłem nic o tem Szaniawskiemu — bo mi wstyd było słabości — ale się dowiedział i dopieroż wpadł na mnie, a gorzej jeszcze na Boncourowę.

— Nie warta jest tego aby dla niej pocziwy człowiek życie ważył, przewrotna, płocha i wszystkich gotowa poświęcić dla siebie.

Nie mogłem się już tłumaczyć nawet, czując żem zbłądził. Nie pozostawało mi nie tylko się w kąt zaszyć i milczeć. Król zaś z miarkowawszy moje położenie wyprawił mnie do Warszawy z pismami do Senatorów, którzy tam podówczas byli, kazał mi tam aż do sejmu pozostać.

Co się czasu tego sejmu działo, nie nmiem opowie-

dzieć bom zdala i ze sluchu tylko mógł wnosić o okrutnem poburzeniu umysłów, jakie panowało z powodu fakeji francuzkiéj, i intryg Vitrego...

Między Pacami a Sapietami przychodziło do tego że wśród sejmu szabel dobywali... Król chciał koniecznie poboru i wojska dla odzyskania Kamieńca, a całe sejmowanie upłynęło na godzeniu zwaśnionych, na zasadzkach, potyczkach służby, pojedynkach i krwi rozlewie...

Nie było dnia, nie było nocy ażeby z jednej lub drugiej strony trupów kilka nie padło, które do Wisły rzucano. W ulicach byle się spotkały czeladzie nieprzyjaźne, wnet się rwały do szabel, a nie było sposobu karać, bo obie strony równie zawiniły. Francuzka fakeja, Forbin i Vitry tak się krzatali, płacili, podkurzali, że w końcu sejm zerwali, aż król niemal płakał...

Nie uchwalono nic aby go bezbronnym uczynić i niedopuszczyć do wypowiedzenia wojny Turkom.

Gdy już termin nadchodził i o głosowanie szło, nmyślnie zwlekano do nocy, aby czasu nie stało do uchwały... Wiadomo, że prawo przy świecach nie dopuszcza sejmować.

Chciał król, szanując je, poradzić sobie, w sąsiednich salach światła kazawszy zapalić a drzwi pootwierać, aby sejmującym widno było..., ale spisek był na zerwanie. Zaprotestował naprzód Przyjemski, któremu ofiarowano znaczną summę aby odstąpił—ale nie chciał, i wyszedł, poparł go poseł Dubrowski i tak wszystko spęzło na niczem... a gdy mówię, że król płakał, to nie a nie nie przesadzam.

Słyszałem go z Mateczyńskim chodzącego i powta-

rzającego.—Odebrali mi Kamieniee!! nie puszczają mnie niepocziwi przeciwko nieprzyjacielowi wówczas gdy mi go zmódz było najłatwiej.

Po sejmie, po tych burzach, jakoś się niby nkoilo... pozostały tylko frymarki królowej z wakansami i chwy-tanie pieniędzy, które ze wszech stron starała się za-garnąć. Królowa obawiając się wpływu czyjegokolwiek—bądź, który by z jej wpływem mógł walczyć—starala się zwaśnić męża z familją jego, a nawet z własną, odsuwać odedworu wszystkich, którzy jemu byli naj-mils. Podejrzliwa, niespokojna—otaczała go szpiega-mi, najmniejszą czynność śledziła...

Całą pociechą, króla była nowa jego fundacja pod Warszawą, nad Wisłą, w bardzo pięknem położeniu, którą nazwał *Villa nova*, gdzie pałac stawił i ogrody zakładał.

Pochlebey francuzi, choć się wyśmiewali po kątach głośno porównywali ją do Wersalu i nazywali polskim Wersalem. Bóg tam wie, bo ja go nigdy niewidziałem, czy piękniejszy jest i wspanialszy od Willanowa, ale ta fantazja królewska wiele Sobieskiemu chwil szczę-śliwych przyczyniła, bo z nadzwyczajną, można było powiedzieć pasją, sadił, kopał, plany rysować kazał i pilnował ich wykonania. Szczególniej zaś owocowe drzewa go zajmowały, gdyż owoce lubił bardzo i jadtł ich wiele, a nie było ich w Żółkwi, Jaworowie i po własnych ogrodach, zwożono mu je zdaleka i delekto-wał się niemi. Słyszałem od Brauna i innych lekarzy że się owoce do otyłości mu przyczyniły.

Oprócz ogrodów, król wszystkiego był ciekaw i rad każdej rzeczy probował, a wprowadzał do Polski o czem

gdzie zasłyszal—w Willanowie holendrów osadził, którzy nabiąłem i robieniem serów się zajmowali.

Tych gustów królewskich, wielkiego bohatera i hetmana, pospolici ludzie zrozumieć nie mogli. wyśmiewali się z nich... po kątach, ale gdy on ogród pokazywał drzewka swoje opatrywał, sam kołki wbijał i lyczkiem, które w kieszeni nosił przywiązywał do nich szczepki—unosili się i admiirowali. Królowa też wołała go ogrodnikiem widzieć niż wtrącającym się w jej sprawy.

A jak to zawsze bywa, gdy ludzie możnemu się chcą przypochlebić—ci co przypodobać się pragnęli i cybule z Holandji i kwiaty szczególne zwozili, i nasiona i drzewka.

Tak samo było ze zwierzętami — bo i te Sobieski lubił, szczególniej osobliwe, nie znane w kraju, albo przyswojone i ułożone, jako to była Wydra pana Paska, co ryby łowiła... W Jaworowie strusie, wielbłądy, wilki ogłaskane, niedźwiadki i różne stworzenia wolno chodzące i w klatkach widzieć było można.

Przez parę lat spokojniejszych tych właśnie, które wielką wyprawę poprzedziły — można powiedzieć że Sobieski cokolwiek domowego szczęścia zażył, o ile ono z taką kobietą jak królowa Jejmość możliwe było...

Familja z Francji niemal cała się około Maryi Kaźmiry gromadziła, mieszkał ojciec, który pewno nie na czym koszcie żył tylko na królewskim, a honory mu oddawać musiano i wygod też ci francuzi wymągali nadzwyczajnych.

Honorami i pieniędzmi chciwój rodzinie nastarczyć nie było można. Dwór też dla ciągłych posłów cudzoziemskich, książąt i grafów przybywających na wysokości stopie król trzymać musiał — i był prawdziwie

pańskim, licznym a wspaniałym, chociaż on dla siebie tego wszystkiego niepotrzebował.

Na łowach kawałkiem chleba, owocami, kubkiem wina się kontentował, a w nocy pod lada namiotem, na cienkim materacyku leżał...

Gdy występować musiał z całym majestatem i pompą królewską, miał potężną i postawę i oblicze, ale daleko szczęśliwszym był w małym kółku, w letnim ubraniu za stolikiem, godzinami rozprawiając. Ciekawy byłem nieraz przedmiotu tych rozmów, które się do północy i za północ przeciągały...—podśluchiwałem, Boże odpuść, podedrzwiami.

Przybył jakiś cudzoziemiec, inżynier, uczony lekarz, fizyk,—król się z nadzwyczajną ciekawością informował o nowych wynalazkach, o książkach, o doświadczeniach jakie gdzie czyniono.. Z duchownymi zaś godzinami o nieśmiertelności duszy, o życiu przyszem o Bogu i t. p. rozprawiał, a często się tak zapędzał, że mu to spowiednik potem naganiał...

Ale w ciągu tych rozpraw trudno go było poznać, tak się poruszał, ożywiał cały i niemi przejmował.

To mu dozwalało o dawnych troskach zapominać i o dzieciach, które kochał bardzo i wielce się troskał o nie. Królowa jak Faufonika, Jakubka, tak i inne wychowywała na francuski sposób i niańki, dozorców, nauczycieli sprowadzała francuzów, tak że dzieci szwargotały lepiej tą mową, niż polską władały.

Sam słyszałem jak się o to upominał nie jednokrotnie, aby z nich nie robić cudzoziemców..., ale o to sam się starać musiał, bo go królowa nie słuchała...

Miała w głowie aljanse monarchiczne i chciała aby synowie i córka były po europejsku wychowywane.



Jakubkowi, choć król, sobie tego życzył bardzo, polskiego stroju włożyć nie dała wcale. Musiał uleżeć dla świętego spokoju.

W nim samym polskiego szlachcica nie zatrzeć nie potrafiło — a najszcześliwszym był, gdy nim się mógł nie przymuszając do niczego, okazać...

Jak ona nigdy swój dostojności królewskiej nie zapominała, tak on się jój pozbywał łatwo... Nieraz też mu brak ambicji wyrzucała.

Dwory króla i królowej chociaż się z sobą łączyły ale bliżej się przypatrując, tak się od siebie segregowały, że nigdy zmieszać nie mogły, i co królowi było upodobaniem, to ona odpychała, a on tego co ją otaczało wprost się obawiał...

Dosyć było łaskę u króla mieć, aby się królowej stać podejrzanym.

Ale o tem i o francuzach na naszym dworze wogóle, jeszcze pisać będąc, a teraz do roku 1681 przystąpię, w którym się rozstrzygnęła sprawa o to z kim król i Rzeczpospolita trzymać będzie w razie konfliktu rakuskiego z turkami, którzy Tekelemu pomagać mieli, a w istocie zażyli go tylko aby całą swą potęgę przeciw Cesarstwu rozwinąć.

Zaprawdę mi trudno wszystko opowiedzieć i jak do tego przyszło i jak maleńkie na pozór przyczyny spowodowały bardzo wielkie i ważne następstwa. Dziś i pamięć nie starczy, bo w niej tylko niektóre się szczegóły zatrzymały i uwięzły, tak jak, nieprzymierzając w sieć z mąki niektóre grudki pozostają.

Niemogę inaczej powiedzieć tylko że król większym się politykiem okazał, (zawsze nie zdradzając na któ-

ra stronę się przechyli) — niż po nim spodziewać się było można.

Mnóstwo okoliczności składało się na to, ażeby z Cesarzem iść raczej i Papieżem przeciwko odwiecznemu wrogowi Polski Turkowi, niż z królem Francji i Turkami przeciw domowi rakuskiemu.

Nikt tu Cesarza nie lubił, ani mu wierzył. Słyszałem nie jeden raz Sobieskiego, który na rok przed sojuszem, w przewidywaniu jego, powtarzał, iż niewdzięczności Cesarskiej tak jest pewien, jak że żyw się czuje — ale dobrze zrozumiane Rzeczypospolitej interesa nie dozwalały na żaden sposób podać ręki Turkom. Złamawszy potęgę Cesarską, dyktowaliby prawa Polsce i czynili z nią co chcieli a król Francji pewnieby jęj nie pomógł ani ratował, a niby mógł nawet myśleć o tem.

W dodatku Vitry, którego wysłano do króla, najniemilszym był wszystkim, bo z nikim się obejść nie umiał, aby pozyskać, zrażał dumą, szorstkością i sztyderstwem...

Naostatek i sprawa siostry królowej naszój, pani Bethune we Francji przepełniła naczynie i królową naszą niemal do szaleństwa oburzyła.

Król Ludwik XIV, który chciał sobie pozyskać Polskę, bo nawet ze swoim protegowanym Tekelim, któremu pieniądze posyłał, aby go przeciw Cesarstwu ciągle na stopie wojennój trzymać, nie mogła Francja mieć stosunków tylko przez Polskę, do czego tu trzymała osobnego agenta Duvernego. Tymczasem, gdzie szło o jakieś uchybienie przeciwko etykietce i powadze Ludwika, którego się miała dopuścić siostra królowej pani Bethune — nie wahał się król jęj zakazać

przystępu do dworu i pokazywania się w Paryżu. Skazano ją na wygnanie gdzieś do dóbr na prowincji.

Można tedy sobie wystawić, co się z królową naszą działo, gdy o tem otrzymała wiadomość, której z razu i wierzyć nie chciała. Było to wprost znieważenie rodziny króla polskiego i bardzo łatwo przyszło królowej jakoś wytłumaczyć Sobieskiemu iż on tego przebaczyć nie mógł, bo to była obraza Majestatu jego i lekceważenie go.

Sam król wziął to do serca mocno i nazywał „doznaną sromotą”.

Bardzo mu łatwo było z tego natychmiast skorzystać i Duvernego z Polski wygnąć, przecoby się przecięły stosunki Ludwika z Węgrami, — ale miał w tem subtelny rachunek swój król, aby Vitrego i Francję zostawić w niepewności — na którą stronę się stanowczo przechyli.

Z Cesarzem potrzeba się było targować, bo na jego wspaniałomyślność wcale rachować król nie mógł.

Francuski poseł, Vitry, czując że niebezpieczeństwo grozi stosunkom z Rzeczpospolitą, króla niemal nieodstępował, pod pozorem ciekawości na łowy i wycieczki mu towarzysząc, w których więcej był naprzykrzonym niż pożądanym.

Z Tekelim też król Jan do samego końca — albo, prawdę rzekłszy, nawet gdy się rozstrzygnęło to że Cesarzowi w pomoc szedł — nie zerwał zupełnie i zachował prawie przyjacielskie stosunki, które, nawet czasu wojny nieraz się przydały.

Królowa do żywego dotknięta sprawą siostry, której upokorzenia królowi Ludwikowi przebaczyć nie mo-

gła — dyssymulowała... Z Vitrym ciągle była ceremonjalnie, zimno, ale nihy z największą rewerencją dla Ludwika i poszanowaniem. Czy Vitry temu wierzył, o tem niewiem.

Oprócz niego, krzątał się tu w interesie Francji Duverne, który szczególnie komunikacji przez Polskę z Węgrami pilnował, doktor Akaleja w Gdańsku, przez którego chodzily wszystkie pieniądze, a nareście Morsztyn. Ten będąc wolnym rzeczpospolitej szlachcicem — nikomu krom Bogu nie podlegającym, dobrowolnie się zaprzedał, jak się później okazało, w poddaństwo królowi Francji i jemu służył przeciwko własnemu królowi. Ten na wszystko oko miał, donosił, dozorował Vitrego i bystrzej wgłądał we wszystko niż francuzi.

Umiął też długo tak się obchodzić z królem i królową iż — choć go posądzano — znoszono wszakże i nie zrywano z nim jako ze zdrajcą.

Jesienią król (1681) zabawiał się łowami, przy którym byłem ciągle, rad żem się wyrwał z babskich intryg... Towarzyszył nam Vitry z francuzami, którzy i w myślistwie nie okazali się bardzo szczęśliwymi...

Nikt z nich, ani z towarzyszków Cesarskiego Rezydenta Zierowskiego o takich łowach jak nasze, wyobrażenia nie miał, gdzie kolo Dzieduszyce i Międzyrzecza bywało jednego dnia w kniejach po dziesięciu niedźwiedzi i tyleż dzików nielicząc pomniejszego zwierzra, ubito — francuzi tymczasem szrótem do psów królewskich strzelali i poranili je, — król stracił charta ulubionego, jeden z towarzyszków postrzelonego brytana. Jednemu janczarowi królewskiemu niedźwiedź głowę obdarł, ale był tak poczwarnie ogromną bestją, że nikt jako żyw podobnego nie widział...

Król nadzwyczaj wesół był, dobrej myśli, i choć się skarżył na jakąś niemoc a lekarstwo miał brać, tak nakoniec z drugimi dotrzymywał placu, że pociecha było patrzeć na tę jego dzielność.

Najtrudniej mu bywało na siodło się dostać, ale raz na koniu, po godzin kilka nie zsiadając — nigdy się nie poskarżył. Na tych łowach około Dzieduszyca i Międzyrzecza, dzień w dzień, bez spoczynku się zabawiał.

W tym roku już, zdaje się, szala na stronę aljansu z Cesarzem przechyliła się, ale Vitry i francuzi znajdując króla do czasu powolnym dla Duwerna i zawsze z pewnym respektem wyrażającego się o Ludwiku XIV, pochlebiali sobie iż króla i królowę pozyszczą.

Vitry znając pewnie jak nasza pani chciwą była grosza, wnosił aby Francja sto tysięcy rocznie zaofiarowała, kupując sobie przymierze. Nie wątpiono iż się to powiedzie. Ale nieznali pono oni Sobieskiego, któremu o tem mówić nawet nie było można, ani nawet królowej, która chciwą była, ale jeszcze bardziej dumną, a w osobie siostry dotkniętą tak boleśnie iż tego przebaczyć nie mogła.

Na wiosnę tego roku zuowuśmy z królem, który rad był trochę swobody mieć od żony i odetchnąć na świeżem powietrzu — ruszyli na łowy w kwietniu — a rezydent Cesarski tak pilnym był, iż nawet na polowaniu chciał Sobieskiemu towarzyszyć. Od tego się ledwie oswobodzono.

Jednakże pamiętam że gdyśmy około Dziedziłowa z nieosobliwem szczęściem polowali, bo zwierza było mało i tu króla nowiny od Turcji przez Wołochy dostarczone doszły, które przepisane zaraz rezydentowi

Cesarskiemu posłano. O Tekelim też i wszystkich jego obrotach i zamiarach, król był lepiej uwiadomionym niż sam Cesarz.

Królowa siedziała niedomagająca w Jaworowie ze swą rodziną—a król zarazem i dobra swe oglądał porządek w nich zaprowadzając.

Po kilkudziesięciu latach, jak sam powiadał król, z wielkiem wzruszeniem odwiedzał przy téj okazji, w Kwietniu, zamek w Olesku,—gdzie się urodził. Znaleźliśmy go bardzo zdezelowanym i opuszczone—bo komnaty niektóre zaciekały, za co król bardzo się na burgrabiego gniewał. Pokazywano nam tu marmurowy stół pęknięty, na którym przyszedłszy na świat naprzód był położonym. Olesko restanrować, choć miejsce bardzo piękne i ogrody pozakładane w dobrym stanie podczas przy budowaniu i robotach w Willanowie i Jaworowie, trudno było myśleć, ale król to sobie obiecywał w przyszłości.

Kościół i groby Daniłowiczów znalazły się dosyć dobrze utrzymane.

Z Oleska, gdzie król dłużej dnia nie bawił, jechaliśmy do Złoczowa i do Podhorzec do Koniecpolskiego. Wiosna była najśliczniejsza—a tam z podziwieniem się mógł przypatrzeć jak ten wielki rycerz i bohater nie postradał, mimo wszystko to co miał na głowie, upodobania w tem co pospolitych ludzi bawi i zajmuje.

Musiałem raz w raz z Morawcem, z konia zsiadać i pierwsze kwiatki nad drogą się pokazujące, które król radośnie witał, zrywać dla niego. Cieszył się tak miodunkami, podlaskami, żółtymi sosenkami, jakby, z pozwoleniem, dziecię. Inni się uśmiechali, a jam na to patrzył z poszanowaniem, bo — dali Bóg, pó-

ty w człowieku serca i poczciwości dopóki go takie proste rzeczy radują i smaku w nich nie traci... A tu mimo Cesarza i króla Ludwika, nasz pan śmiał się do przelaszek tak, jakby turka na świecie nie było.

Z Oleska, *ni fallor*,—ciągnęliśmy na Zborów do Huty nad Krynicą, około Olejowa dwadzieścia sarn i ogromne wilczyisko upolowawszy,—dalej do Medyki, gdzie ten nieszczęsny francuz Duverne czekał na nas bo mu jego szpiegów z listami Tekelego pochwycono..

Tych podstarości Niemirowski chował na strychu, aby francuz o ich wzięciu i o listach, które wieźli nie dowiedział się ..

Listy odesłano rezydentowi cesarskiemu, a ludzi pobranych odprowadzić król kazał na zamek do Sosnicy pod Wysockiem.

Francuz już miał wiatr o ich przejęciu—czemu Sobieski nie zaprzeczał, ale udał, że ich rezydent cesarski sam pochwytał..

My, czuliśmy już że z francuzami szło coraz gorzej co i po nich widać było, bo nosy bardzo pospuszczali, a Vitry nawet taki był teraz grzeczny i nadskakujący jak nigdy. Nie chybiano mu też, ale chłód ceremonjalny coraz był jawniejszym.

Politykowano.

Przed podróżą tą do Oleska i do dóbr na Rusi, Vitry, obawiając się na chwilę go stracić z oczów, ofiarował się towarzyszyć, ale Sobieski grzecznie dał do zrozumienia, aby na niego poczekał.. Oprócz tego posłał z kancelaryi swój Czarnowskiego, który najlepiej po francuzku umie i więcej niepowie nad to co potrzeba, aby panu Vitry poufnie oznajmił, iż rezydent cesarski, a nadewszystko nuncjusz papieski Pallavicini



uskarżają się na to, że król toleruje stosunki Węgrów z Francją przez kraje rzeczpospolitą i że Sobieskiemu trudno będzie na dłuższy pobyt Duvernego pozwolić—Papieża musiał mieć na względzie dla subsydjów, jakich się od niego spodziewał, wrazie wojny z Turkami.

Czarnowski wszystko to odniósłszy, co Vitry kwaśną miną przyjął—króla od osobistych nieprzyjemnych tłumaczeń uwolnił.

Powróciwszy z tej wycieczki, zastaliśmy Vitrego w Jaworowie, który, jak nam powiadano, nieszczęśliwie się dowiadywał o powrót króla i zaraz nazajutrz rano, gdy król w ogrodzie się zabawiał około tulipanów, pochwycił go na długą rozmowę.

Z tej powróciwszy — Sobieski, choć wcale gorąco nie było, pot z czoła ocierał, a królowa natychmiast nadeszła na konferencję z nim, aby się pewnie dowiedzieć... czego Vitry żądał i na czym się skończyło...

Z pochmurnego oblicza posła można się było domyślać, że nie bardzo był rad z posłuchania. Przy obiedzie wszakże królowa dla francuza nadzwyczaj była uprzejmą, jakby na przekorę i szyderstwo, a król też głośno się oświadczał z wielką dla Ludwika XIV admiracją i sympatją.

Francuzi między sobą szeptali, że Duvernemu wskazano, aby się ztąd oddalił, bo go dłużej cierpieć nie chcieli...

Jawną już była przegrana francuzów, na których się królowa mściła nie tylko za siostrę ale i za ojca, któremu tytułu książęcego i parostwa dotąd odmawiano.

O ilem ja moim mizernym rozumem, mógł naówczas

penetrować co się knuło, składało i przygotowywało—jawnem było co raz bardziej, iż mimo zapewnień poszanowania dla Francji, wszyscy już z Cesarzem trzymali, a król niekoniecznie dla żony, ale z własnego przekonania się na tą stronę przechylał. Siostra księżna Radziwiłłowa, szwagier króla Wielopolski, żona jego siostra królowej trzymali z rezydentem cesarskim...

Pomiędzy ludźmi, przysłuchując się, różne można było zdania chwycić, bo u nas wkorzeniony był wstręt do rakuskiego dworu, obawa jego, a również i dla Turków miłości nie mieliśmy, ani dla Francuzów. Więc głosy się dawały słyszeć najsprzeczniesze, nie gdzie życzliwość i miłość prowadziła, ale gdzie nienawiść skłaniała.

Vitry, jakom później słyszał, przypisywał usposobienie króla i niechęć ku Francji, jedynie królowej obrażonej jej dumie i chęci pomszczenia się za ojca. Doradzał więc aby mu choć późno, owo pożądane księstwo i starostwo ofiarowano, gdy królowa głośno się z tem odzywała—że teraz nie przyjmie choćby dawano i niepotrzebuje łaski królewskiej.

Rachował też Vitry na owe sto tysięcy pensyi, którą Ludwik królowej czy królowi chciał ofiarować, ale—z tem wystąpić nie śmiano. Myśmy z samego pochmurnego oblicza posła francuzkiego mogli wnosić—że tu mu coraz ciasniej było i niewygodniej.—Siedział jednak, a w towarzystwie oboje państwo okazywali mu zawsze uprzejmość wielką, tak że się skarżyć nie mógł.

Przez cały ten rok, nieumiem powiedzieć czy Francuzi się ludzili, czy ich łudzono tem że sobie mogą pozyskać króla, gdy wistocie w miarę tego co mógł

zyskać Sobieski stojąc po stronie Cesarza, Ludwik XIV—ani w części nie mógł mu równoważnych zapewnić korzyści. Morsztyn—który dawniej u króla miał pewne zachowanie, stał się nietylko podejrzanym, — przyjmowano go chłodno—a w końcu królowa, która mniej dyssymulować umiała, jawnie już poczęła niechęć ku niemu objawiać.

Ale we wrześniu jeszcze Vitry się upierał dworując ciągle—choć niezbyt zręcznie—że Sobieskiego przeciągnie na stronę Francji. Tymczasem Cesarz już nawet tytuł majestatu królowi pruskiemu dawać począł, a pono królowa się obietnicami cieszyła że dla Fau-fanika rękę arcyksiężniczki pozyszcze.

Była to dla niej najprzyjemniejsza pomsta nad Francją.

Nie przyznaję sobie wcale prawa sądzenia o polityce, bom się jój nie nauczył, choć się o nią ociera-łem codzień, ale mi się widzi teraz — gdy poglądam zdala na ówczesny skład okoliczności, że więcej przewidując a mniej króla i Rzeczpospolitą sobie lekcewa-żąc, Ludwik XIV byłby mógł sobie pozyskać królowę, jój rodzinę, a przez nich i Sobieskiego, który zdawna—od młodu miał skłonność sprzyjać Francji. Tymczasem czyniono wszystko co tylko było można, aby królowę i jego zrazić i odepechnąć—a w dodatku posłano tu Vitrego, który nikogo sobie pozyskać nie umiał.

Król roznawiać z nim lubił, ale ni mniej ni więcej jak z innymi ludźmi trochę wykształconemi, konwersował z nim godzinami, nigdy mu się pono nie zwierzał z niczego, a sam na uszy moje słyszałem—bo się mnie nie wystrzegano, jak powróciwszy z ta-

kić konferencji z nim, przed królową z niej się spowiadał, podżartowując z Vitrego, którego pólśłówka doskonale rozumiał, a przed nim udawał że inaczej pojmuje to niżeli on i wyslizgał mu się nigdy nie dając wypowiedzieć szczerze, tak jak sam szczerze się przed nim wygadać nie chciał.

O ile wiem i przypominam Vitry się ludzi dłużej dawał niż bystrzejszy—od niego Morsztyn, który widział zawczasu że interesa Francji źle stały i ratować ich już nie było można.

W Listopadzie, jeśli się nie mylę, Vitry naostatek królowej oświadczył że Ludwik XIV, przez konsyderację dla niej--margrabiemu ojcu p. d'Arquien nadać był gotów ów tytuł książęcy i parostwo osobiste, ale Marja Kazimira grzecznie a dumnie odpowiedziała mu że jej godność i terażniejsze położenie nie dozwalały już przyjąć téj łaski, za którą dziękowała nie mogąc z niej korzystać.

Wyszły pono przy téj zręczności na stół żale za siostrę, panią Bethune i Vitry już nie miał nic więcej do ofiarowania jako kompensatę nad owe sto tysięcy liwów, na które rachował znając chciwość i skąpstwo królowej, a posadzając i króla o to że zbyt pieniądze lubił. Tymczasem i to już chybione było—bo spóźnione—albo li całkiem nie zreczne—bo godności króla uwłaczające. Można było tę ofiarę jak chcieć malować i tłumaczyć—zawsze ona była pensją która stawiała Sobieskiego na żoldzie Francji.

Na to już duma królowej nawet nie mogła przystać. Napróżnoby Vitry chciał dowodzić iż tajemnicą mogła pozostać pensja,—bo w polityce takiej, ledwie

krótko się sekret uchować może, gdy kilka—co najmniej, osób—mieć go musi powierzonym.

W Grudniu wiem że gdy Sejm zwoływać miano, przejęto list Morsztyna do francuza jakiegoś, w którym stało: „Liga pomiędzy naszym dworem a Cesarzem zawarta, a nawet okupiona przyrzeczeniem wydania Arcyksiężniczki za księcia i zapewnieniem sukcesij tronu. Samo z siebie, z natury rzeczy wypada iż gdy sejm zerwany zostanie—zerwie się i ta Liga.“

Z tego wnosić już łatwo, jaki się sejm gotował — i jak wyteżone były wszystkie siły i intrygi — aby przykładem innych—zerwany został.

To zaś Morsztynowi i francuzkiej klice zdawało się bardzo łatwem—bo dosyć było jednego posła przepłacić i kazać mu okrzyknąć—*veto*—aby wszystkie narady i uchwały w łeb wzięły.

Z takimi aprehensjami jechaliśmy do Warszawy, jawnie już mając wystąpić z przymierzem rakuskim, które tylko to zabrało że je Papież przez nuncjusza miał popierać.

O sobie jak mi się pod te czasy działo—niewiele powiedzieć mogę, tyle tylko że u króla w łaskach byłem zawsze—a nawet coraz większe zdobywałem zaufanie, które, oprócz Szaniawskiego i Morawca we wszystkich zazdrość i niechęć ku mnie obudzało.

Bóg widzi że z królewskiego dla mnie usposobienia nigdy na nieczyją krzywdę nie korzystał — owszem, gdy król pytał o kogo, zawszem tłumaczył—za-lecał, a żadnego sobie złego słowa do wyrzucenia nie miałem.

Najwięcej się przeciwko temu oburzono—gdy—pomijając starszych we dworze,—król mi powierzył swój

osobisty skarbczyk. Były to jego kieszonkowe pieniądze, o których ani królowa ni też nikt nie wiedział, ani z kąd przychodziły ni gdzie się obracały. Podskarbi prowadził wielkie rachunki, jam miał w zawiadywaniu woreczek królewski, ażeby zaś stosunek ten cokolwiek pokryć, dał mi król nadzór nad swojemi kosztownościami, których choć niewiele nżywał, ale ich dosyć było—po Daniłowiczach, Żółkiewskich, po pradziadach.

Już naówczas samych szabel w złoto oprawnych miałem na rejestrze kilkanaście — (z których jedną najulubieńszą—król sankami jadąc zgubił w tym roku)—drugie tyle było siodeł, rzędów, czubów, zbroi szmelcowanych, spinek pod szyję, pasów, łańcuchów i różnego srebra.

Nigdy nie wychodził król bez sakiewki, w której jednym końcu złoto miał, a w drugim srebro, bo zawsze złotem rzęcać nie lubił—choć jałmużnę chętnie dawał i nigdy nbogiemu odejść bez niej nie dopuścił.

Trafiło się bardzo często że kilkadziesiąt dukatów wzięwszy z sobą, powracał wieczorem i oddawał mi śmiejąc się sakiewkę próżną, a gdym pytał co mam wpisać, po namyśle najczęściej, na rachunek ogrodowy to wpisywać kazał.

W istocie dla ogrodników hojnym był, ale też i dla innych podnupadłych szlachty, petentów, których zawsze było mnóstwo, umiał być szczodrym—szczególniej gdy do rodzin mu znanych należeli. Skąpym ani chciwym nigdy nie był, choć rozrznieć nie lubił.

Tu też może słowo powiedzieć nie zawadzi o francuzach na dworze u nas—około których teraz mnsiała być oględność wielka, bo do nich Vitry i jego pomoc-

nicy łatwy przystęp mieli i przez nich wiedzieli co się u nas mówiło i działo.

Nie mogę ich o to wszystko obwiniać aby króla zdradzali, bo wielu z dobrą wiarą się wygadywali, nie wiedząc że to szkodzić mogło, ale i na tych nie zbywało, którym Vitry i Forbin i inni agenci dawali pensje... Pomiędzy kobietami królowej też pewnie na ujętych przyjaciółkach francuzom nie zbywało. A jako dawniej powiadano, że za Wazów, aż do Marji Ludwiki, przemagała u nas na dworze niemczyzna, tak Michala wyjąwszy—z królową francuzką, a potem z naszą margrabianką tak się francuszczyzna rozwieliła iż prawie ją tylko słyszeć było na dworze.

Królowa Sobieska, wprowadzie od młodych lat mieszkając w Peszcie, języka się mimowoli nauczyła, ale nim mówiła bardzo źle, a pisała jeszcze gorzej, jeżeli parę słów czasem nakreślić była zmuszoną. Z mężem, z dziećmi, z ojcem, z bratem — siostrą, szwagrami, z całą służbą rozmawiała po francuzku tylko. Około króla było dworzan i służby polaków kilku, około królowej nie wiem jeżeli kto oprócz Szumowskiej jednej. Faworyty obie Federba i Letreu francuzki były, dziewczęta przeważnie też, lokaje nie mniej. Dopiero zstępując niżej coraz, przy kredensie i koniach polaków znaleźć było można.

Z powodu Margrabiego Ojca, brata, siostra królowej, gdy ci do stołu siadali, albo w towarzystwie się znajdowali, francuszczyzna w salonie panowała, król też książki francuzkie przeważnie czytywał, albo łacińskie, polskich, oprócz panegiryków mało było i to tak szpetnie drukowanych, że ich do ręki wziąć było trudno. Nie razem biblioteki oglądając dawne i książ-



ki widząc dawniej u nas drukowane w Krakowie, w Gdańsku, nawet po mało znanych miastach, dziwić się musiał temu że u nas i papieru dobrego nie stało i drukować nie umieli. Dla króla gdy panegiryk wydrukowano, to się już zmogli na papier ludzki, ale toż samo dla pospolitych ludzi, gorzej niż na bibule odbijano, a królewskie konterfekty jak od siekiery wyrybane wyglądały.

Ale to naówczas nikogo nie obchodziło, bo kto się o polską książkę troszczył, a kto jój był żądny??

Wracając do francuzów, właśnie naówczas gdy królestwo oboje najgorzej byli z Francją, gdy Vitry się wściekał nie dokazać niemogąc, powszechnie nienawidzony—francuzów na dworze, po miastach, przy magnatach, w wojsku naszym było mnóstwo. Inżynierowie niemal wszyscy byli z Francji posprowadzani. Przy królu pisarze, sekretarze, lokaj i felczer razem Dumoulin, Lafore służący—niezliczyć ilu francuzów.

Można pojąć jak nam tu było cokolwiek przed posłem i agentami francuzów ukryć. Czego mężczyźni nie wygadali, wypaplały kobiety... W Warszawie, we Lwowie sklepów i kupców z Francji moc było, jak niegdyś w Krakowie włochów.

Myśmy się wszyscy prawie po niewoli czy po woli musieli nauczyć języka tego, choć kto mówił źle, rozumiał go dobrze. Jak na przekorę ta cała francuszczyzna teraz, z królową razem stała przeciwko Francji i jój królowi, ale Vitry i Morsztyn, z całym zastępem swoich jawnych i skrytych pomocników, zakupionych, gotowali się bodaj Sobieskiego z tronu strącić, a do przymierza z Austrią przeciw turkom nie dopuścić.

Vitrema w téj niepocziwój robocie nie tyle przypisywać należało, co nader zręcznemu, przebiegłemu, okrutnemu a duszą i ciałem oddanemu Francji Morsztynowi, który już więcej francuzem był niż polakiem, i dobra nabywszy we Francji, sam się tam z radością przenieść zamierzał.

Jak do tego przyszło iż z wielkiego przyjaciela i sługi króla JMci przeszedł do obozu jego wrogów,—trudno tłumaczyć inaczej, tylko wielkiemi dobrodziejstwami jakich za zdradę własnego kraju spodziewał się od Ludwika XIV.

Królowa też w tem jak we wszystkim cokolwiek się u nas działo, miała udział nie mały. Brat jój kawaler de Maligny, któremu jako mężnemu dowódcy nie zarzucić nie było można, nie stary, przystojny, stała się o córkę Morsztyna. Odmówiono mu jój. Królowa za brata i za własną obrazę poprzysięgła pomstę, a choć Morsztyn tłumaczył się i uniewinniał że córki zmuszać nie mógł—nie przebaczone mu tego że śmiał wzgardzić kolligacją z królewską rodziną.

Morsztyn naówczas już przygotowany opuścić całkiem Rzeczpospolitą, mający tu licznych przyjaciół i stosunki, zręczny, umiejący wszelką odegrać rolę jaka na niego przypadła — ważył się na spisek przeciw królowi... Nie miał Ludwik XIV czynniejszego ani doskonalszego agenta w Polsce nad niego.

Nie umiem powiedzieć prawda li było czy potwarzą co później głoszone, a król tał i nie dopuszczał by się rozchodziło—iż spiskowi zamierzali nie tylko go z tronu zrzucić a wielkiego Hetmana Jabłonowskiego w miejscu jego okrzyknąć, ale nawet na życie Sobieskiego godzili.

Tam gdzie o tak straszliwe oskarżenie idzie, lekomyślnie go rzucać nie pozwala sumienie, ani zapisywać ku wiekuistej pamięci, tego co bodaj zapomnianem zostało. Nie będę się więc rozpisywał z tem co mnie doszło później o spisku, który Bóg strzegł — nie przyszedł do skutku.

W całej tej sprawie ciemno było i jest — ci co w niej ręce umaczali, wyparli się udziału — o Jabłonowskim mówiono iż bez jego wiedzy nim rozporządzano, król bowiem do ostatka miał go za najlepszego przyjaciela, a u królowej był nie tylko w największej estymie, ale bodaj więcej jej upodobanym niż mąż. Tego szlachetny charakter i otwartość nie godziły się często z jej polityką nie patrzącą i nie przebierającą w środkach — byle prowadziły do upragnionego celu.

Przed Sejmem król tak był spokojnym i zdawał się swojego pewien iż najmniejszej obawy nie miał o rezultat. Obmyślanem było wszystko aby do zerwania nie dopuścić — a wnioski królewskie poparte przez Nuncjusza Inocentego XI i przez rezydenta Cesarskiego przeprowadzić... Zdaje mi się że i królowa nierównie podejrzliwsza i przebieglejsza nie domyślała się uknutej zdrady...

Lecz nim do tego Sejmu przyjdziemy, moją własną nieszczęśliwą przygodę, opowiedzieć muszę, gdyż ona wielkich dla mnie strapien, zgryzot i mankamentu była przyczyną. Wspomniałem wyżej jak mnie Felicja ta nieszczęsna, dziś już Boncourowa wciągnęła w to że z mężem jej o nią się powaśniłem.

Wiedzieli o tem wszyscy, bo i my oba od siebie stronili, nie mówili jeden do drugiego, francuz mnie omijał, a jam go też nie szukał. Wiedziałem o tem że

się na mnie odgrażał po kryjomu i ciągle obiecywał mi dać naukę. Śmiałem się z tego — ale z żoną jego stosunków unikałem i choć mi się uśmiechała pięknie a wabiła, nie dawałem się pokusie.

Tak stały stosunki nasze, gdy jużśmy się naówczas na Sejm wybierali do Warszawy, rano jednego dnia wpada do mnie poczciwy Szaniawski tak za-perzony, iż od razu poznał że coś przynosi nie dobrego...

Nagle stanąwszy naprzeciwko mnie wśród izby, woła:

— Człowiecze! coś ty zrobił, do czego cię ta głupia pasja twoja doprowadziła!!

Przeżegnałem się.

— Co tobie jest? pytam spokojnie.

— Przedemną nie udawaj—krzyknął Szaniawski— póki czas, ubieraj się, uchodź—to nie przelewki..

*Vox populi* na ciebie wskazuje... wszyscy mówią że to sprawa twoja. Jeżeli ci życie mile...

Mnie się w głowie mieszało.

— Bóg świadek duszy mojej, zawolałem z łóżka się porywając, ani wiem ani rozumiem o co idzie... Czego ty chcesz? o czym mówisz?

Popatrzył na mnie Szaniawski.

— Czyś winien, czy nie winien, bo dalibóg nie wiem już co sądzić... rzekł ciężko oddychając... ratować się jakoś należy, bo jeden jedyny głos że to twoja sprawa...

— Ale, do kroćset djabłów — przerwałem, powiedz że mi w końcu o co idzie. Jestem jak w rogu...

— Boncour zabity—począł Szaniawski, znaleziono dziś rano w śmierć porąbanego w lasku za ogrodem.

Wczoraj wieczorem widziano was z sobą się sprzeczących...

Dreszcze po mnie i ogień przeszły...

— Jakżeż ty mógł przypuścić, zawołałem, żebym ja był zabójcą, żebym pokryjomu napadał i zarębał!! Waśniliśmy się z sobą nie jeden raz, wczoraj też drwiłem z niego, aleśmy się w podwórzu rozeszli. O niczem nie wiem...

Przestraszony jednakże wstałem natychmiast się odziewać.

— Pójdę do króla wprost, zawołałem, niech zaraz inkwiruują... jam nie winien...

— A! już tam od dnia inkwizycja się poczęła i król uwiadomiony — rzekł Szaniawski, byłem pewny żeś uszedł—bo i ja ciebie posądzałem...

— Z inkwizycji nie wyszło nic więcej nad to że wczoraj późno wyście z sobą jeszcze koty darli, a potem on się z mieszkania wysliznął i już nie powrócił. Nocą trupa w łasku czeladź z miasteczka powracająca znalazła... Mówię ci, że jednym głosem wszyscy ciebie obwiniają...

Trupa złożono w szopie na tapczanie, posiekany strasznie, głowa rozplątana... Żona wpadła, słyszę, zobaczyć go, i lży nie uroniwszy wyniosła się ze wspólnego mieszkania do fraucymeru...

Wcale żału po nim nie ukazuje...

— Jam nie winien — odparłem Szaniawskiemu. Znasz mnie, nie miałbym dla ciebie tajemnicy. Prawda się musi wykryć. Ubieram się i idę do króla...

Ledwie tych słów dokończył, gdy Morawiec wpadł zobaczywszy mnie ręce załamał i krzyknął.

— Król kazał wołać cię—czemu nie wpadłeś zawczasu.

Pasja mnie porwała.

— Człowiecze! zawołałem, coś ty z innemi oszalał także czy co? Ja o Bożem świecie nie wiem...

— Król rozgniewany jakim go nie widział dawno, dodał Morawiec. Już na ostatnim sejmie, pojedynki i zabójstwa około zamku doprowadziły go do srogiego oburzenia—chciał dać przykład a tu przy nim — pod jego boki, taki kryminał i na Boncourze —którego on potrzebował i lubił.

Nie było już co z niemi rozprawiać — tyle tylko zem porwał obraz Chrystusa wiszący nad łóżkiem i przysięgłem im że zabójcą nie byłem...

— Żebyś sto razy przysiągł—odparł Szaniawski—ludzi nie przekonasz — ja ci wierzę, ale król — ale inni...

Jak w gorączce pierwsze z brzegu suknie wdziawszy, pobiegłem do króla, którego właśnie Lafore ubierał i nogi mu smarował...

Z twarzy Sobieskiego postrzegłem zaraz, że sprawa źle stała. Zobaczywszy mnie w progu zatrzęsł się.

— Zbóju ty! zawołał—nie poszanowałeś nawet majestatu króla twojego... Wiesz że ty co to szabli dobyć tam gdzie król rezyduje... na gardle za to odpowiesz! na gardle.

Padłem na kolana bijąc się w piersi.

— N. Panie, krzyknąłem z boleścią, jam niewinien. Sprawa to nie moja... Poprzysiądz to mogę...

— Precz! precz! pókiś cały! — począł król —mężobójcą a w dodatku cheesz być krzywoprzysięzcą. Pa-

trzej że do czego cię ta głupia miłość doprowadziła. Gubisz duszę...

— N. Panie! zawołałem.

— Milcz—krzyknął król—milcz, wynoś mi się pókiś cały—nie pokazuj na oczy... Gdy cię marszałkowscy urzędnicy wezmą, ja nie obronię i bronić nie będę.

— N. Panie — począłem błagając, jeżeli ujdę to mnie wszyscy winnym uznają, a ja nim nie jestem. Nie chcę, choćby życie ratując, sromotą się okryć — niewinny jestem...

— Wszyscy cię obwiniają, wtrącił gwałtownie król wszyscy! widzieli was wczoraj wieczorem waśniących się z sobą i takeście wyszli razem...

— Ale ja wprost do mieszkania na strych poszedł, anim Boncoura widział—powtórzyłem.

— Jedź ztąd—słyszysz—przerwał mi król—mam litość nad tobą. Prawda się odkryje, ale nim się ta twoja niewinność, w którą ja nie wierzę—okaże—będziesz więzionym, bo niemal *in flagranti* cię pochwyciono... Z Marszałkiem żartów nie ma...

Spojrzał na mnie.

— Nie, N. Panie—uciekać nie będę, odparłem spokojnie—zabójstwa winien nie jestem...

— Tak! tak—gniewnie przerwał mi Sobieski—sophistykujesz—zabójstwa niepopelnileś, powiadasz, ale pojedynek był... O toż tak! pojedynek bez świadków to morderstwo...

— Ale ja się z nim nie biłem—zawołałem zrozpaczony. Sam się oddam w ręce marszałkowskiej straży, bo nie mogę tego ścierpieć aby mnie obwiniano—gdy się niewinnym czuję.



Pomimo zaklęć moich, król się nie mógł uspokoić, ni chciał mi zawierzyć.

— Rób sobie co chcesz — zawołał — ale ja cię dłużej trzymać nie mogę przy osobie mojej i przy dworze. Dosyć posądzenia o zabójstwo... tolerować mi się tego nie godzi. Mnożą się pokątne kryminały, folgować im niemogę. Zdaj wszystko Szaniawskiemu i czyń co chcesz... znać cię nie chcę.

Mnie się niemal na płacz zaniosło, kląknę znowu.

— N. Panie—począłem ręce podnosząc—nie karz mnie niewinnego, nie odpychaj. Dosyć będzie téj oznaki gniewu twego aby mnie wszyscy potępił...

Nie dał mi mówić.

— Dość, dość—rzekł—niemogę tego słuchać i po-błażać nie wolno mi... Com rzekł to się stanie...

Wskazał mi na drzwi — Lafore widząc go zagniewanym, otworzył je przedemną, mnsiałem iść precz.

W głowie mi się zawracało — uciekać nie myślałem...

Szaniawski stał w przedpokoju, czekając naczem się to skończy, rzuciłem mu klucze, powiadając że skarbczyk miał przejąć.

— A ty? — zapytał.

— Cóż, ja? — odparłem. Nie możesz przecież myśleć że ja ucieknę, kiedy się niewinnym czuję. Ja pozostanę tu, póki się instygowanie nieskończy. Sam będę instygatorem bodaj, a winowajcę odkryję, bo na sobie plamy takiego mordu znieść niemogę.

Ludzie, którzy sądzili że ja już za górami jestem lub za kratą, zobaczywszy mnie chodzącego swobodnie i ani myślącego o ucieczce — poczęli zmieniać zdanie.

Nikt jednak do mnie, oprócz Szaniawskiego i Morawca nie zbliżał się, bo się obawiali wszyscy — aby o współnictwo i pomoc nie byli posądzeni, a w konflikt wejść ze sądami marszałkowskimi nikt sobie nie życzył.

Pierwsza rzecz poszedłem z Szaniawskim do szopy gdzie trup był złożony. Ażem się wzdrygnął tak haniebnie porąbany był. Oprócz głowy, z której mózg wyprysnął... twarz, ramiona miał posieczone... ale krew już dawno płynąć przestała i tylko skorupa czarno-krwawa go okrywała...

Z tego wnosić było można iż jeszcze z wieczora został zamordowany...

Rany były od szabli zadane, a przy nim tylko złamany rożenek francuzki się znalazł. Nie był to więc pojedynek, ale wprost napaść jakaś, a z ilości ran zdawało się, że chyba nie jeden ale conajmniej dwu na niego naskoczyło...

Od niego potem poszedłem do żony, do francymeru królowej, chcąc ją widzieć, ale mnie niedopuszczono. Z tego co mi Letreu przysła podszepnąć, wniosłem, że i ona mnie musiała posądzać o zabójstwo—choć po mężu tym wcale nie płakała...

Letreu też życzyła mi uchodzić, alem wprost jej oświadczył, że ani myślę się ruszyć, póki zabójców nie wysłedzę—i ja się nie oczyszczę...

Nie ruszyłem się więc ani krokiem z Jaworowa, ale że mnie już za ekskludowanego uważano, nie poszedłem do stołu i zostałem w izbie pod strychem. Com wycierpiał przez ten czas, nie opisać.

Marszałkowski zastępca nie chciał mnie aresztować, bo widział, że uchodzić nie myślę, ale to brano wprost

za zuchwalstwo z méj strony nie za dowód niewinności i powiadano, żem był pewien królewskiej protekcji dlatego tak sobie śmiało poczynam.

Inkwizycja też szła przez ten wzgląd na króla opieszale, tak że ja sam musiałem ją niemal prowadzić... Najmniejszego śladu nie można było natrafić, ani nawet domysłu powziąć, kto mógł to morderstwo popełnić.

Znałem już teraz do tyła Boncourową że ją mogłem posądzić, iż jeśli zabójców nie nasłała, to przynajmniej przyczynić się mogła do tego... Nie ja jeden dla niej głowem stracił, było innych wielu co szaleli, z tą różnicą że moja miłość stateczną była, a ich przemijającą namiętnością.

Rozpytując, rozpatrując, śledząc, tyle tylko doszedłem, że w ostatnich dniach przed zabójstwem, najwięcej się około Boncourowej uwijali Słoniewski niejaki i Margocki, oba młokosy. Letreu mi mówiła że widziała jejmość kilka razy to z jednym z nich, to z drugim śmiejącą się i szepczącą po kątach — i że Słoniewski i Margocki nazajutrz po zabójstwie do stołu przyszedłszy tak mieli zmienione twarze, wejrzenia niespokojne, że ją to zaraz uderzyło...

Mnie oni oba bardzo byli mało znani, zwierzyłem się Szaniawskiemu... Ten mnie nic nie mówiąc, gdy oni oba na obiad poszli, poszedł ich mieszkanie i szable obejrzeć. Otóż u Słoniewskiego wprowadzie na szablę śladów krwi nie było, ale w kącie znalazł starą koszulę, o którą widocznie zakrwawioną szablę ocierano i tę zabrał z sobą...

Krew była niedawna, a na dworze o żadnym po-

jedynku wieści nie mieliśmy. U Margockiego żadnego śladu nie natrafił...

Trzeba było siebie ratując drugich gubić.—Rada w radę—co tu począć—Szaniawski mi powiedział — nie mięszaj się, gorączka jesteś i o skórę ci idzie — zdaj na mnie—ja poprobuję azali się nie uda wykryć prawdy.

Mądry Szaniawski, tegoż wieczora gdy z kolonij wychodzili, przysunął się do Słoniewskiego i szepnął mu—mam ci coś powiedzieć.

Przystąpił do niego młokos, jak pijawka — nagłąc niespokojnie.

— Ludzie prawią szepnął mu Szaniawski, że waszmości wieczorem widziano idącego do lasku w którym Bonconra zabito, a potem powracającego jakoby z szablą zakrwawioną.

Młokos nieopatrzny a już w sumieniu niespokojny odparł na to natychmiast.

— Któż to śmie mówić? kto? nikt mnie nie widział? nikogo nie spotkałem.

Szaniawski języka zagryzł—*Habemus confitentem*—szepnął sobie.

— A Margocki, spytał cicho — którędy zemknął?

Słoniewskiemu jakby się słabo zrobiło—rzucił się ściskać Szaniawskiego.

— Nie gub mnie! Zkąd wy to wiecie? jakim sposobem?

— O to nie pytaj—odparł Szaniawski—powiedzieć ci tego nie mogę. Jedno tylko radzę i ty i Margocki zabierajcie manatki póki czas i uchodźcie na Wołoszczyznę—bo tylko nie widać jak was wysłedzą, a wów czas gardłem przypłacicie.

Słoniewski już tak był strwożony że z niego mógł inkwirujący dobyć co chciał.

— Myśmy oba niewinni—mówił—jak poczęła przedemną i przed Margockim narzekać i piszczeć franczka—kto mnie od tego tyrana zazdrośnika uwolni! kto mnie temu zbójcy z rąk wyrwie.

A płakała—rozpaczała, i wprost podburzała do tego aby ją wyswobodzić zabójstwem, bo inaczej ona musiała się otruć lub utopić.

Przyznał się Słoniewski do tego, że się we dwu zasadzili na Boncoura—i że od żony mieli wiadomość iż tego wieczora do miasteczka ma iść sam do Duponta, ze zleceniem od króla.

— Słuchaj Słoniewski, rzekł wybadawszy go przyjaciół mój—zguby waszej niechcę, ale nie czekając dzisiejszej nocy i ty i Margocki na Wołoszczyznę ruszajcie. Wątpię żeby za wami pogoń wysłano—w tem rozum abyście umknęli. Paskudna rzecz we dwu na jednego po nocy napaść i bezbronnego tak zamordować. Chcecie życie salwować — nie traćcież ani chwili.

Mnie Szaniawski tego wieczora nie przyszedł nie powiedzieć.

Rano wyrostek mój wchodzi do izby po odzienie, i przed łóżkiem stanawszy mówi.

— Pan wie że Słoniewski i Margocki dzisiejszej nocy gdzieś znikli ztąd, najlepsze konie zabrawszy i mało co rzeczy. Ludzie mówią że to sprawa Boncoura.

Zerwałem się tedy równemi nogami.

— Prawdę mówisz?

— A cobym miał kłamać?

Ledwie tych słów dokończył, wchodzi Szaniawski w rannym kożusku z uśmiechem na twarzy.

— Chłopiec ci już pewnie przyniósł wiadomość? spytał.

— Prawda-li to?

— Obu ich niema—odparł Szaniawski oczyma mi pokazując abym odprawił wyrostka.

Posłałem go do stajen.

— Podziękuj mi—odezwał się przyjaciel. Wczoraj wieczorem zagadnąłem Słoniewskiego, a że na złodzieju czapka gore—zdradził mi się od razu. Dziś ich już obu niema—zatem oczyścić się będziesz mógł, a ja pozbędę się utrapionych kluczków od skarbczyka, które mnie pała—bo mi się ciągle zdaje że ktoś go okradnie— a ja będę musiał odpowiadać.

Rzuciłem się go ścisnąć z radości wielkiej, a ten dopiero usiadłszy *per extensum* mi wszystko opowiedział—nastając na to że oba młokosy nie tyle były winne co ta przebrzydła Boncourowa—która ich nasadziła—podbudziła i właściwie ich rękami sama popełniła zabójstwo.

— Niechaj że cię to—dokończył, raz na zawsze wyleczy z tej miłości niegodnej ciebie dla kobiety — która warta jest najsroźszej karni. Właśnie się dowiaduję — że francuz mąż jój — testament zostawił, którym wszystko co miał niepocziwój przekazał.

We dworze wiadomość o ucieczce Słoniewskiego z towarzyszem uczyniła wrażenie ogromne, a na moją stronę się przechyliła waga i poczęto ubolewać że mnie nadaremnie posądzono, iż król w pośpiechu mnie skrzywdził i t. p.

Nie narzucając się przecież pozostałem na strychu

w izdebce, oczekując co z tego będzie. Tymczasem poczciwy Szaniawski drugiego dnia podając królowi sakiewkę odezwał się.

— N. Panie—wypadałoby mi zdać i klucze i skarb znowu Polanowskiemu,—bo on za cudzą winę pokutuje.

— A gdzież on jest? zapytał król.

— Wybiera się do matki—rzekł Szaniawski—jeszcze tu.

Zadumał się Sobieski.

— Nie—rzekł—zostaniesz przy kluczach, a z Polanowskim ja nie wiem jeszcze co zrobić. Znajdzie się dla niego zajęcie.

— Czy mam mu oznajmić—aby się stawił? naglił Szaniawski.

— Daj pokój—nie mieszaj się w nieswoje rzeczy odparł Sobieski—będę wiedział co zrobić.

Doniósł mi o tem zaraz, czekałem tedy—ale tego dnia do późnego wieczora—napróżno. Zrana nie zawołano mnie też—i już mi się przykrzeć poczynało oczekiwanie, gdy jeden z paziów króla przyszedł mi oznajmić—abym do gabinetu szedł z nim zaraz.

Uśmiechnął się widząc mnie wchodzącego.

— Widzisz—rzekł—prawda jak oliwa zawsze na wierzch wychodzi, ale do mnie żalu niepowinieneś mieć żem był surowym i posądzenie samo ukarałem... Król jest sędzią, a sprawiedliwość litości nie zna...

Milczałem. Przeszedł się parę razy po gabinecie, z dużej misy srebrnej biorąc owoce, które zawsze miał pod ręką—i chciwie je zjadając.

— Oddał bym ci nazad skarbczyk—rzekł—ale mi będziesz gdzieindziej potrzebnym. Znam cię ześ roztropny i język za zębami trzymać umiesz. Będę cię



musiał ztąd wysłać przed sejmem do Warszawy i instrukcję ci dam. Wrzekomo powieziesz co ci da szatny... i na zamku będziesz miał co czynić, ale ja ci ważniejsze rzeczy zwierzę... Przyjdź jutro...

Co się tyczy rehabilitacji, téj nie potrzebujesz, dosyć, że w służbie pozostajesz i jurgielt ci każe powiekszyć.

Zjawiłem się tedy tego dnia u wspólnego stołu umyślnie — Boncourowej nie było — nie pokazywała się — Terica i Federba obie mi winszowały.

Nikt się teraz nie chciał przyznać aby mnie posądzał — wszyscy utrzymywali że o mojej niewinności byli przekonani. O zbiegłych mówiono osobliwe rzeczy.

Boncourowa się wypierała, i czerniła ich gorzej niż inni..

Krótko trwała ta historia, a miała ten skutek że w początku zupełnie mnie ze słabości dla wdowy wyleczyła. Nie starałem się jój nawet widzieć. Powiadali jedni że chce dwór i służbę opuścić, drudzy że pozostanie przy królowej, która się bez jój szczebiotania obejść nie może.

Jam starał się zapomnieć że na świecie była — choć, pasja pasją, we snach mi ciągle stawiała na oczach w takich jasnych niewinności szatach.

Przychodziłem codzień na służbę do króla — widział mnie, uśmiechał mi się — ale czekać kazał. Upłynęło dni kilka. Jednego dnia późno w noc, Szaniawski wbiegł do mnie, wołając natychmiast do króla...

Zastałem go już rozebranego w jednym popielicowym kożuszku na koszulę wdzianym, nad stolikiem, w papierach, które z otwartej dobywał szkatułki. Czo-

ło miał zmarszczone i twarz bardzo smutną. Nierychło mówić zaczął.

Chociaż lat od tego czasu upłynęło wiele—nie sądzę ażebym mógł tu zapisać z czem mnie król posłał, dosyć powiedzieć iż chodziło o spisek, o potajemne stosunki z Morsztynem i Vitrym tych osób, które on dotąd za najwierniejszych swoich przyjaciół liczył, a naostatek o podchwycenie listów, które Morsztyn do Francji wysyłał.

Na piśmie nie mi król nie dał, a kazał poprzysiądź że tajemnicy dochowam, której i dziś zdradzać nie chcę.

Ośmieliłem się pokorną uczynić uwagę, iż mi powierzał ciężar nad siły, że przy najlepszej chęci, mogą ramiona moje nie dźwignąć brzemienia.

— Serce pocziwe ci dopomoże odparł król, wiem że nie zdradzisz, a rozumu dość masz abyś sobie dał radę. Jedź w imie pańskie, głównie mi o listy Morsztyna chodzi—jak i któreśdy je posyła, najpewniej przez Gdańsk i Akację—musisz dojść—i środki obmyśleć, ażeby choć jedną przesyłkę pochwycić i do rąk moich oddać..

Sprawa ta może wymagać wydatków, więc masz do wiernych rąk kilkaset dukatów, z których mi zdasz rachunek. Uprzedzam tylko abyś nie oszczędzał, bo na wagę złota bodaj trzeba dowód zdrady dostać.. czarno na białem. Na tem mi zależy bardzo wiele. Jeżeliby nie starczyło co daję, Aron będzie też w Warszawie i ma polecenie pod kwit WMOści dać ile zażądaś.. Dla kilkudziesięciu dukatów—bodaj dla kilkuset nie godzi się opuścić tego, na czem mi zależy wiele...

Trzymał mnie potem król, informując o drogach, któremi iść miałem i ludziach jakich w pomoc użyć mogłem, tak że dobrze było po północy gdym na strych mój powrócił. Zastałem tu Szaniawskiego który czekając na mnie — położył się na łóżko moje i usnął. Ledwie się go dobudziłem, bo sen miał bardzo twardy. Począł tedy pytać, ale — mimo całej naszej przyjaźni, nie mogłem mu się przyznać z czem i po co jadę. Powiedziałem tylko, że król kazał szaty swe wieść i na zamku mnóstwo różnych odmian zlecił porobić, dla tego tak trzymał mnie długo.

Uwierzył Szaniawski czy nie, ale nie badał więcej, bo znał mnie że gdy milczeć należało, żadna siła w świecie z ust mi słowa wydobyć nie potrafiła.

Nie zwlekając więc począłem się wybierać tak pośpiesznie, ażebym przed wieczorem z Jaworowa mógł ruszyć... Wozów ze mną szło kilka, ludzi dosyć, koni luźnych też dodano, słowem że się tabor wcale zebrał pokaźny.

Mogłem się cieszyć z nadzwyczajnego zaufania jakie król miał we mnie, lecz prawdę mówiąc, więcej mnie to niepokoiło niż radowało. Zadanie było tak trudne, a takięj niemiłej natury, że gdyby nie to iż szło o życie i spokój króla, nigdybym go nie podjął. Wymagało ono chytrości, której ja nigdy nie miałem, maskowania się — wykrętów dla mnie wstrętliwych...

Podróż z powodu bardzo złych dróg ni zimowych ni jesiennych — trwała dłużej niżeli rachowałem, a było kilka takich przepraw w ciągu nięj, żeśmy na ramionach niemal wozy dobywać musieli z grzęzawicy i błota.

W Warszawie już zastałem zjazd i ruch wielki

a jak zawsze przed Sejmem, w mieście przygotowania na przyjęcie licznych gości, a razem niepokój o rozruchy jakie oni z sobą przywożą. Mało co wypocząwszy, wedle wskazówek danych mi przez króla puściłem się na wywiadywanie po ludziach, a w tydzień byłem już pewnym, że się w istocie na coś zanosi dla króla groźnego, nie mówiąc już o Sejmie, który niezawodnie zerwać chciano.

Wielu bardzo przeciwko przymierzni rakuskiemu szemrało—przywiązując do niego to znaczenie co zaw sze do rakuskiej praktyk, to jest o panowanie tronu i zmienienie na dziedziczny, *absolutum dominium*. Nie chciano ani arcyksiężniczki na tronie ani Jakuba, choćby Mołdawja i Wołoszczyzna do Polski się przyłączyły... Wszystkie te przeciwko królowi głosy szerzyła partja francuzka, więcój jak uważałem, oszczędzająca królowę niż króla.

Nie chciało mi się temu wierzyć, gdym się dowiedział że Hetmana Jabłonowskiego wciągnięto do spisku, a przynajmniej na niego rachowano.

Vitry, Morsztyn, zawczasu byli bardzo czynni, i nie trudno przyszło dosledzić że ostatni bardzo często korespondował z królem i innemi osobami, że Vitry pieniądze odbierał znaczne, nie dla węgków ale dla robót na Sejmie, na którym wcześniej oddanych sobie mieć chciała klika francuzka.

Nie zbywało na przyjaznych i oddanych królowi, którzy w niego wierzyli i po nim się wszystkiego spodziewali—ale byli to po większej części ludzie małego znaczenia.

Brakło też na dowódcy obozowi temu, bo na Jabłonowskiego rachować było trudno. Królowa, której

nie lubiono nie wiele mogła. Ciągły frymark wakan-sami, przysporzył ję pieniądze, ale poszanowania ujmował.

Smutno mi się sejm przygotowujący prezentował. Ale do mnie to nie należało, przywiązałem się cały do Morsztyna, aby owe listy, których król tak był żądny podchwycić. Miałem taki wstręt do tęg pokątnęj praktyki, że musiał sobie po sto razy powtarzać iż o zbawienie rzeczpospolitéj i ocalenie króla chodziło.

Nie łatwo też przyszło wysledzić jaką drogą szły przesyłki od Morsztyna i Vitrego do Akakij, gdyż in-nęj drogi pewnęj nie mieli. Byłbym może wcale nie mógł dokazać tego czego król tak pragnał, gdyby Akakia sam potajemnie nie przybył do Warszawy, pod przybranem nazwiskiem. Nie traciłem go tu z oczów jak cień chodząc za nim, ale wcisnąć się między spiskujących nadzwyczaj było trudno.

Wstyd mi nawet wyznać jakich musiałem używać środków aby dopiąć co zamierzałem. Ale czegoż z pomocą tych wszechmogących pieniędzy nie dokaze człowiek?

Zbliżał się już termin naznaczony na przybycie króla, a ja jakże, oprócz nadziei, nie miałem nic. Przyrzeczony był pakiet korespondencji do pana de Cail-léres adresowanych, ale Bóg jeden wiedział czy one zawierały co królowi czarno na białem mieć było potrzeba, a ja rozpieczętowywać i rozczytywać się nie miałem prawa.

W wigilję wyjazdu doktora Akakji dopiero mu papiery owe doręczono, które zręczny mój pomocnik na inny, podobnie adresowany i zapieczętowany pakiet białego papieru zamienił—i mnie wręczył.

Ale takem się lękał ażeby się to nie wydało a mnie nie wydarto drogo zapłaconych pism, żem żadnej nocy na zamku nie spał—i nosiłem je przy sobie na piersiach. Wiedziałem, że i na zamku francuzi mieli swoich ludzi, a gdyby się wydało, życia mojego i mnie by nie szcędzili. Z najwyższą więc niecierpliwością wyglądałem przybycia królewskiego, tymczasowo uciekwszy do Wilanowa, gdzie u znajomego mi ogrodnika przechowywałem się, kazawszy zaufanemu słudze, aby mi dał znać, gdy królestwo przyjadą.

Czas mi się okrutnie wydawał długim, — a i niepewność ta czym się niezawiodł, ładajakięj bibuły za drogie pieniądze kupiwszy mocno mnie dręczyła.

Na ostatek mój Wasylek mi dał wiedzieć, że na króla czekają, i że wieczorem przybywa. Ruszyłem więc z Wilanowa na zamek, gdzie już dosyć urzędników, senatorów i wojskowych oczekiwało Sobieskiego.

Przyjęcie wszakże było zimne, a król zaledwie wysiadłszy—zdawało się że mnie szukał oczyma. Stałem tak aby spostrzedz mógł, a gdy wejrzenie jego spotkałem niespokojne, ręką uderzyłem się po piersiach, pokazując, że mam to czego sobie życzył.

Nastąpiły witania długie, rozmowy i taki natłok cisnących się do ręki królewskiej, że ja w garderobie musiałem czekać do późna. Wszedł do niej król z Matczyńskim, pytając o mnie.

Nie śmiałem przy świadku ust otworzyć, ale mnie klepnał po ramieniu.

— Mów—masz ptaka czy nie?

— Mam N. Panie, ale jeden Bóg wie czy kuropatwa czy nietoperz, bom kota w worku brać musiał.

Rozpiółem suknię i podałem pakiet. Matczyński

na dany znak drzwi pospuszczał na rygle. Sam król rozerwał pieczęcie i kopertę...

Wypadło listów kilka, Vitrego do króla, do Forbina, na ostatek znaną ręką Morsztyna do pana de Caillières, król naprzód ten otworzył i czytał stojąc przy świecy, a jam mu patrzył w twarz, usiłując odgadnąć.. com złowił...

Zblad bardzo czytając i papier mu w rękach dygotał, ale chciwie aż do końca odczytał wszystko,—niektóre miejsca, o ile mogłem pomiarkować raz i drugi—aż na ostatek rękę z listem do Matczyńskiego wyciągnął.

— Patrz—czytaj! Więcej nie potrzeba—rzekł choć najsmaczniejszy kasek w cyfrach.

Zapomniał o mnie na chwilę, potem odwrócił się szukając i klapiąc po ramieniu, szepnął głosem w którym wielkie wzruszenie czuć było.

— Spisałeś się dobrze—Bóg zapłaci—uczyniłeś mi przysługę wielką, której ci ja nie zapomnę. Pomyślę abym cię niewynagrodził—teraz idź, i ani mi piśnij nikomu.. nikt wiedzieć o tem nie powinien..

Pocałowałem rękę królewską i wysunąłem się z sercem bijącym. Szaniawski, który ze dworem przybył poznał zaraz po mnie żem był wielce uradowany, a że nic nie mieliśmy do czynienia—po polsku więc, do winiarni na kubek wina!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

